

ANNA JEDNA

SYCHAR

ILE JEST WARTA TWOJA OBRAĆZKA?

książka dla pragnących kochać
mimo wszystko



SYCHAR

ANNA JEDNA

SYCHAR

ILE JEST WARTA
TWOJA ○BRĄCZKA?

książka dla pragnących kochać
mimo wszystko



Redakcja i korekta: Karolina Kalinowska

Projekt okładki i łamanie: Anna Sulencka

Fotografie na okładce:

© zimmytws – Fotolia.com

© jalcaraz – Fotolia.com

Imprimatur: Kuria Metropolitalna w Krakowie, nr 617/2014 z dnia 27 marca
2014, ks. bp Jan Szkodoń wikariusz generalny, wicekanclerz
ks. Kazimierz Moskała

Wydanie VI, 2019

Copyright © Wydawnictwo Fides

ISBN 978-83-61860-38-9



Wydawnictwo Fides, ul. Kozińska 17, 30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

KAŻDE TRUDNE
SAKRAMENTALNE
MAŁŻEŃSTWO
JEST DO URATOWANIA!

Każde sakramentalne małżeństwo (nawet po rozwodzie i gdy współmałżonek jest w drugim związku) ma szansę się odrodzić, gdyż każdy sakramentalny małżonek ma szansę otworzyć się na łaskę nawrócenia i wypełnienia przysięgi małżeńskiej.

Charyzmat Wspólnoty Trudnych Małżeństw SYCHAR

Trzeba, by (...) o własnym losie mówili, pisali, wypowiadali się przez filmy czy środki przekazu społecznego nie tylko ci, którzy – jak twierdzą – „mają prawo do życia, do szczęścia i samorealizacji”, ale także ofiary tego obwarowanego prawami egoizmu. Trzeba, by mówiły o tym zdradzone, opuszczone i porzucone żony, by mówili porzuceni mężowie.

Homilia Jana Pawła II w czasie Mszy św. odprawionej dla rodzin w Szczecinie 11 czerwca 1987 roku

SŁOWO WSTĘPNE

G enialni wielcy pisarze fascynują niesamowitą akcją, fantastycznymi opisami, rewelacyjnymi kreacjami osób, barwnością języka. Wielcy twórcy zachwycają nas wymyśloną przez siebie... fikcją.

Książka „Ile jest warta twoja obrączka?” Anny zachwyci... prawdą. W niej wszystko jest prawdziwe, bo wydarzyło się (i nadal się dzieje) naprawdę. Prawdziwe są opisywane sytuacje, prawdziwe reakcje ludzi, prawdziwe ich przemiany, prawdziwe i głębokie wybaczenie małżonkowi, który odszedł, prawdziwe czekanie – choćby na najmniej prawdopodobny – powrót współmałżonka, prawdziwe i szczerze dostrzeżenie swego udziału w tragedii rozbicia rodziny, wreszcie prawdziwe nawrócenie i zaufanie Panu Bogu, że czemuś dobremu ma to wszystko służyć.

Książka mówi o nienaruszalnej (nawet odejściem współmałżonka) świętości sakramentalnego małżeństwa, o którym naprawę trzeba walczyć do końca życia, bez względu na nawet beznadziejne (patrzac po ludzku) okoliczności.

Powinni ją przeczytać wszyscy małżonkowie przeżywający kryzys małżeński, aby nabrać poczucia sensu walki o małżeństwo i ducha niezłomnej troski o przywrócenie jedności małżeńskiej.

Książkę powinny przeczytać też małżeństwa mające się dobrze oraz wszyscy przygotowujący się do zawarcia sakramentalnego związku małżeńskiego, by docenić zawczasu („przed szkodą”)

ranę świętości, sakramentalności, wierności i nierozzerwalności małżeństwa.

Książkę tę powinni przeczytać również kapłani pracujący z małżeństwami i spowiednicy, by nigdy względy ludzkie nie przesłoniły im poczucia głębokiego sensu walki o ratowanie każdego małżeństwa sakramentalnego.

W dobie kryzysu małżeństwa, zwłaszcza sakramentalnego, książkę tę powinni przeczytać wszyscy ludzie wierzący, by w ich myśleniu, wyobrażeniach i tęsknotach małżeństwo było jedno, nierozzerwalne, święte, sakramentalne, wierne, wyłączone i dożgonne.

Jacek Pulikowski

To nie przypadek, że w naszych czasach wielu ludzi na czele wartości stawia tolerancję i akceptację w miejsce prawdy i miłości. Tak czynią ci ludzie, których niepokoi prawda o ich własnym postępowaniu i którzy myślą miłość z uczuciem, romanowaniem czy byciem razem „na próbę”. Tak czynią zwłaszcza ci, którzy łamią złożoną przez siebie przysięgę miłości małżeńskiej.

Pierwsze polecenie, jakie Bóg skierował do Adama i Ewy, było powołaniem do małżeństwa i rodziny: *Bądźcie płodni i rozmnażajcie się* (Rdz 1,28). Bóg, który nas we wszystkim rozumie, świetnie wie, że doczesny los ludzi najbardziej zależy od tego, co dzieje się między mężczyzną a kobietą, a zwłaszcza między mężem a żoną. Na tej ziemi nic tak nie cieszy, jak wzajemna miłość małżonków, ale też nic tak nie boli, jak małżeńskie kryzysy.

Kto rozumie przysięgę małżeńską, ten rozumie Boga, człowieka i miłość, a kto wypełnia przysięgę małżeńską, ten trwa na drodze świętości. Kto walczy z małżeństwem, ten walczy z Bogiem i człowiekiem. Kto łamie złożoną przez siebie przysięgę małżeńską, ten zadaje ogromne cierpienie małżonkowi i dzieciom,

a sobie w dramatyczny sposób komplikuje życie i oddala się od Boga, a przez to od szczęścia. Od momentu zawarcia małżeństwa małżonkowie mogą być bowiem szczęśliwi wyłącznie razem. W XXI wieku troska o człowieka to troska o trwałość małżeństwa i rodziny, a podstawowa forma pracy duszpasterskiej to solidne przygotowanie nowego pokolenia do miłości małżeńskiej i rodzicielskiej.

Ogromnie cieszę się z powstania tej książki o wierności małżeńskiej w każdej sytuacji. Autorką publikacji jest pani Anna Jedna – żona i matka trojga dzieci. Pani Anna walczy o swoje małżeństwo ze stanowczością i niezachwianą nadzieją. W podobnej sytuacji znajdują się obecnie setki tysięcy małżonków w Polsce. Ta książka zawiera świadectwa wielu osób, które pokazują, że można trwać w wierności Bogu i małżonkowi w każdej sytuacji i że z pomocą Boga każde małżeństwo sakramentalne można uratować.

Niniejsza książka stanowi nie tylko zachętę do trwania w prawdzie, miłości i wierności w obliczu kryzysu małżeńskiego. Pokazuje też narzędzia, które w tym pomagają: słowo Boże, modlitwa i grupa wsparcia. Taką grupą wsparcia dla małżonków, którzy w niezachwiany sposób chcą walczyć o uratowanie swojego małżeństwa, są wspólnoty Sychar. Wspólnoty te istnieją już w wielu miejscach w Polsce i zagranicą. Ich istnienie i szybki rozwój to znak czasu i szczególnie potrzebny wymiar nowej ewangelizacji.

Dziękuję pani Annie Jednej za odwagę podzielenia się z czytelnikami swoim życiem i swoją nadzieją w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Dziękuję też innym osobom za ich odwagę podzielenia się z czytelnikami świadectwem własnego życia w obliczu osobistego kryzysu czy kryzysu współmałżonka. Niniejsza książka to pomoc dla tych, którzy chcą zachować wierność małżeńską, niezależnie od okoliczności i ludzkiej słabości. To także znakomity podręcznik Bożej mądrości i Bożej miłości dla tych, którzy

przygotowują się do zawarcia sakramentalnego małżeństwa oraz dla tych, którzy już są małżonkami i pragną uczynić wszystko, aby ich małżeństwo nie znalazło się w kryzysie.

ks. Marek Dziewiecki

*Mojemu Mężowi
Wszystkim Sycharowiczom*

WPROWADZENIE

Moja obrączka jest złota, gładka i wyjątkowo mała, aby dobrze leżała na szczupłym palcu. Noszę ją od czternastu lat z krótką przerwą, kiedy to musiałam zwiedzić piekło – tu, na ziemi. Wysłałam za mąż wcześniej i byłam z niej bardzo dumna. W drodze na uczelnię opierałam wówczas prawą rękę na poręczach autobusu tak, by wszyscy wokół mogli zobaczyć obrączkę. Co z tego, że to nie była ich sprawa? Małżeństwo napęniało mnie dumą, którą najchętniej obwieściłabym całemu światu. Ale tak naprawdę wartość tego niewielkiego, okrągłego symbolu poznałam dopiero wtedy, gdy zaczęłam płacić za niego ogromną cenę.

Wszyscy zostaliśmy wychowani na tych samych bajkach, w których królewicz i jego wybranka najpierw pokonują przeciwności losu, a po ślubie już tylko żyją długo i szczęśliwie. Niejeden raz zapominamy, że w życiu jest raczej odwrotnie. Jakże czujemy się oszukani, kiedy nasze związki się rozpadają! W końcu w żadnej baśni nie było mowy o rozwodzie królowej i króla. A fakt, że dziś te dramaty są tak powszechne, że dotyczą aż tylu osób, w żaden sposób nie umniejsza cierpienia poszkodowanych i ich dzieci. Kto zatem jest zagrożony rozwodem? Każdy, kto trwa w małżeństwie.

Ja także po dziesięciu latach udanego – jak sądziłam – małżeństwa, stanęłam wobec kataklizmu, który zmiotł z powierzchni

ziemi cały mój znany, oswojony świat. Ale w tych najgorszych chwilach mojego życia Bóg przypomniał mi o naszym przymierzu. Wyciągnął ręce, a ja zdołałam się ich uchwycić.

15 SIERPNIĄ 2013 ROKU W SANKTUARIUM MATKI BOSKIEJ RYCHWAŁDZKIEJ ZOSTAŁA ODPRAWIONA MSZA ŚWIĘTA Z INTENCJĄ O BŁOGOSŁAWIENSTWO BOŻE DLA WSZYSTKICH PRZYSZŁYCH CZYTELNIKÓW TEJ KSIĄŻKI.

ROZDZIAŁ I

Bo dary łaski i wezwanie Boże są nieodwołalne

(Rz 11,29)

Każdy człowiek, stając na progu śmierci, będzie miał własną historię najważniejszego związku w ludzkim życiu – więzi ze swoim Stwórcą. Być może będą w niej momenty, w których szczególnie mocno czuliśmy, jak bardzo jesteśmy dla Niego ważni, potrzebni, wybrani spośród milionów. Warto wciąż do tych chwil wracać i nie tracić ich z oczu, kiedy z wygodnej, malowniczej trasy skręcamy nagle na drogę krzyżową.

Dla mnie najwcześniejsze wspomnienie przynależności do Boga wiąże się z wypadkiem i dość ciężką operacją, którą przeszłam jako sześciolatnia dziewczynka. Potem w szpitalu miałam sen. Wśród jasnego światła pojawił się Pan Jezus, taki, jakiego widywałam na obrazkach w książeczce do nabożeństwa prababci, i powiedział: Ja ciebie uratowałem.

Nie pamiętam żadnego innego snu z dzieciństwa, ale ten – niezwykle wyraźnie. Dorastając, wracałam czasem myślami do tamtej nocy z uczuciem, że mam na tym świecie coś do zrobienia. Że mogę się na coś przydać.

Miałam piętnaście lat, kiedy poznałam mojego przyszłego męża. On był starszy zaledwie o parę miesięcy. Zaprzyjaźniliśmy

się na obozie harcerskim i rozpoczęliśmy kilkuletnią korespondencję, ponieważ pochodziliśmy z różnych miast. Nie mieliśmy jeszcze wtedy Internetu ani telefonów komórkowych. Spędzaliśmy razem wakacje i ferie, wykradaliśmy krótkie chwile w trakcie roku szkolnego. Wciąż tęskniłam. Nie było dla mnie nikogo innego.

Prawie równocześnie rozpoczął się mój piękny i intensywny romans z Panem Bogiem. Przez wszystkie lata liceum byłam w salezjańskim Ruchu Światło-Życie, a w klasie maturalnej zostałam oazową animatorką.

Nie, nie miałam „świętobliwego” usposobienia. Przepadałam za przyjemnościami, rozrywkami, obowiązki zawsze mogły pocześć i rodzice pewnie niejedną raz mieli ze mną prawdziwe utrapienie. Ale pomimo tego otrzymywałam wiele łask i charyzmatów Ducha Świętego, doświadczałam Bożej Miłości i Obecności. To nie była moja zasługa. Jeden człowiek z natury jest bardziej otwarty na sprawy wiary, na taką łaskę, a inny mniej. W moim domu rodzinnym wiara była obecna raczej w skromnym, tradycyjnym wymiarze, więc poszukiwałam Boga sama, w lekturze, we wspólnocie.

Miałam cudowne grono przyjaciół, jak to bywa w młodości i bardzo wcześnie postawiłam swojego chłopaka w roli przyszłego męża. Może zbyt wcześnie. Traktowałam swój związek śmiertelnie poważnie. Miał być jeden, jedyny na całe życie. Miał kiedyś przypominać udane małżeństwo moich rodziców. Zdanie mojego ukochanego na ten temat liczyło się chyba mniej.

Pisałam pamiętniki od wczesnej, górnołotnej młodości, więc mogę podzielić się fragmentami mojego rozwoju, który doprowadził mnie do tego punktu:

Sierpień 1993

Dziś wieczorem na polance w Lasku Klasztornym odbyło się obozowe ognisko. Siedziałam koło P. tego wieczoru po raz ostatni. Ostatni raz w tym roku śpiewaliśmy wspólnie harcerskie piosenki.

Gdy wszyscy się już rozeszli, my dwoje wstaliśmy dopiero z miejsc i ruszyliśmy przez ciemny las, aż doszliśmy do pierwszych ulicznych latarni. Obserwowaliśmy swoje cienie i P. powiedział:

– Dałbym wiele, aby zawsze widzieć twój cień obok mojego.

Sierpień 1994

Przez miasteczko przeszliśmy marszowym krokiem w mundurach i znaleźliśmy nocleg w salce katechetycznej przy kościele. Przebraliśmy się w cywilne rzeczy i poszliśmy na spacer nad Odrę. Wieczór był piękny, zerwał się mocny wiatr, pomarszczył wody Odry. Po powrocie zastaliśmy na dziedzińcu grupkę modlących się ludzi: tutejsza oaza miała właśnie Apel Jasnogórski – była bowiem godzina dziewiąta. Dołączyliśmy do nich całym zastępem. Od razu poczułam się swojsko, choć otaczali mnie nieznani ludzie, modlitwa już nas do siebie zbliżyła, zanim zdążyliśmy zamienić choć słowo.

Gdy skończyliśmy, rozsiedliśmy się pod małymi drzewkami z gitarami i śpiewaliśmy – raz harcerze, raz oaza, a ja i A. jako przedstawicielki obu środowisk byłyśmy „pomostem”, mogłyśmy zaśpiewać każdą piosenkę. Jak dobrze, że na świecie jest jeszcze tylu podobnie myślących młodych ludzi, bo w szkole niełatwo ich znaleźć.

Październik 1995

Panie, proszę naucz mnie kochać! Nie chcę drobnych, śmiertelnych miłostek, chcę Miłości! Tak bardzo pragnę prawdziwie kochać, a tylko Ty jesteś w stanie dać mi Miłość, którą będę mogła bezinteresownie ofiarować ludziom.

Potrzebuję Twojej Miłości także po to, by dać ją P. Nie chcę go zagarnąć tylko dla siebie, chcę, by Ciebie poznał. Martwię się o niego, ale Ty nie zostawisz go samego. On jest na dobrej drodze – szuka Ciebie, chce w Ciebie uwierzyć! A ja czuję się za niego odpowiedzialna – jak Mały Książę za swoją różę i za lisa, którego oswoił...

Mój Panie, on jest teraz tak daleko i ja tak bardzo tęsknię, proszę, przekaż mu miłość ode mnie, niech go otacza tam, gdzie się w danej chwili znajduje.

1997

Kończę już mój list, bo znów zapisałam prawie dziesięć stron. Pozdrawiam Twoją rodzinę. I pamiętaj, że czekam – na list, na

telefon, na Twój przyjazd... Do listu dołączam nowy wiersz, który ostatnio napisałam z myślą o Tobie:

*Jestem z twojego żebra
nie zaistnieję bez ciebie
tylko stopieni w jedno
łączymy naszą samotność
jak zrosnięte drzewa konarami objęci
ogarniamy dwie planety nas
jak jedna gwiazda i druga
płaczą meteorami
tak płacząc ukryta w tobie
gdzie szumi twój potok życia
falowanie wzburzonej krwi
gdzie będę gdy ciebie nie będzie?
zadomowiłam się przecież
w twojej myśli i ruchu ręki
mieszkam w twym wzroku Adamie
jedyne domie – mężczyzno
wietrze schwyty w sieć
topniejący w ustach śniegu
nie możesz istnieć beze mnie
bo jestem z twojego żebra.*

Pomimo dzielącej nas odległości przetrwaliśmy próbę czasu i młodościowej niestabilności. Rozpoczęliśmy studia. Tylko jedno przedsięwzięcie się nie udało. Nigdy nie zdołałam połączyć moich dwóch wielkich miłości, nigdy nie zdołałam zachwycić mojego przyszłego męża życiem w bliskości z Bogiem. Modliłam się o to może gorąco, ale bardzo niewytrwale. Myślałam, że go przyciągnę, że mu pokażę, że to tylko kwestia czasu. Nic bardziej mylnego.

Ksiądz Piotr Pawlukiewicz, znany kaznodzieja i duszpasterz rodzin, nauczał w kazaniu młode kobiety, jak mogą zmniejszyć prawdopodobieństwo rozwodu, gdy wybierają kandydata na małżonka:

Sprawdź, czy Twój chłopak, czy Twoja dziewczyna boi się Boga. Bo ty się przestaniesz podobać. Bo ty staniesz się dla swojego współmałżonka przyczyną nerwów. Sprawdź to jedno – że nawet, jeśli powiesz: „Proszę cię, nie zostawiaj mnie i dzieci”, a on powie: „Mam cię w nosie!”, to wtedy zostanie ci jeszcze jedno hasło: „W imię Boga, w imię Jezusa Chrystusa, proszę cię, zostań!”. I zostanie, jeśli się Boga boi. Ale jeśli on się nie boi Boga, wasze małżeństwo będzie grą w loterię. Nie wiesz, co nim zawładnie: wędkarstwo, pieniądze, sąsiadka, pies, loty w kosmos...

Nie miałam pojęcia, że zacznym grać na loterii, statystyki rozwodowe mogły być straszakiem dla innych par, nie dla nas!

Wyjazd na studia wiązał się dla mnie z przeprowadzką do większego miasta, a co za tym idzie, z utratą mojej wspólnoty, z pożegnaniem z przyjaciółmi, moimi młodymi braćmi i siostrami w Panu. Na początku czułam wielką pustkę po tej stracie. A jednak nie zadomowiłam się już w żadnej innej wspólnocie, pomimo wspaniałego Duszpasterstwa Akademickiego funkcjonującego w nowym miejscu mojego zamieszkania. Powinnam tymczasem zrobić to natychmiast, bo człowiek osamotniony w wyznawaniu swojej wiary może się tak łatwo przewrócić! Nawet na mocnych i niezależnych działa presja środowiska i współczesnego, bardzo zlaicyzowanego świata. A przecież dary łaski i wezwanie Boże, które otrzymałam jako młoda dziewczyna – były nieodwołalne.

O czystość przedmałżeńską walczyłam prawie cztery lata, aż w końcu przegrałam z kretesem. Zerwaliśmy zakazane owoce i jedliśmy ze smakiem. Tylko że u mnie ta niewierność samej sobie i Bożym przykazaniom skończyła się niemal stanem depresyjnym. Nie potrafiłam się podnieść. Straciłam wtedy z oczu Bożą wolę. Z perspektywy lat wszystkim młodym ludziom, którzy trwają w prawdziwie chrześcijańskim narzeczeństwie, mogę pogratulować.

Jako dwudziestolatka zapisałam w pamiętniku szczerze zasmucona:

1998

Dziś pierwszy raz od długiego czasu wzięłam Pismo Święte i zaczęłam czytać na głos psalmy. Brzmienie tych słów tak bardzo mi przypomniało dalekiego Boga, cudowną, mało uchwytną atmosferę, którą znam, którą przechowuję w pamięci, pełne majestatu konstrukcje zdań sprawiły, że w oczach stanęły mi łzy ogromnej tęsknoty za zgubionym poczuciem zamieszkiwania w samym środku Dobrego Stwórcy. Trzeba zdążyć ze spowiedzią przed Wielkanocą, ale ja naprawdę nie wiem, czy umiem jeszcze odróżniać żal za grzechy od żalu za zepsute miesiące, czy potrafię wykrzesać z siebie choć iskierczkę wiary w postanowienie poprawy. Chyba najfatalniejszym krokiem mojego życia było zejście z Bożej drogi, aby powlec się za człowiekiem.

Nie mam pojęcia, dlaczego wtedy wolałam leżeć i czuć się beznadziejnie, zamiast wstawać na nogi, wołając pomocy Pana?

Nie miałam wątpliwości, że małżeństwo i macierzyństwo są moim prawdziwym powołaniem. Instykt macierzyński dawał o sobie znać już w pierwszych latach studiów. Wbrew rozsądkowi i okolicznościom zewnętrznym pragnęłam jak najszybciej założyć rodzinę. Może powinnam napisać: „miałam zachciankę na własną rodzinę”. Chciałam iść w ślady moich rodziców, którzy wcześniej się pobrali i wszystko układało im się pomyślnie. I chociaż jeszcze dwa lata wcześniej głosiłam na rekolekcjach, że „Jezus jest moim Panem”, choć w toku formacji oazowej powierzyłam Mu swoje życie, to nie przypominam sobie, bym w tej najważniejszej sprawie prosiła Go o radę.

W trakcie studiów faktycznie pojawiło się dziecko. Dopiero teraz widzę, jak to wszystko postawiliśmy na głowie i z jakiego bałaganu wchodziliśmy w sakrament małżeństwa. Wtedy byłam po prostu zachwycona, zakochana i uszczęśliwiona. Ale gdybym

słuchała nauki Boga i Kościoła, mój mąż po dziesięciu latach nie mógłby mi powiedzieć dla własnej wygody moralnej, że „czuł się zmuszony” ożenić się ze mną w takim, a nie innym momencie. Żadnej kobiecie nie życzę, aby musiała słuchać takich słów. Niecierpliwość może być potężnym błędem.

Niech to będzie jasne: nigdy nie żałowałam, że wyszłam za mąż za tego właśnie człowieka. Z miłością wspominam szereg wspólnych lat. A nasze pierwsze dziecko to był najpiękniejszy podarunek, jaki mogłam otrzymać. Jednak braku faktycznego narzeczeństwa przed obliczem Boga już nigdy potem nie da się nadrobić!

W sakramencie pojednania przed ślubem zdarzyła mi się dziwna i nieprzyjemna rzecz. Starszy wiekiem ksiądz salezjanin powiedział mi w konfesjonale:

– Jeśli nie potrafiliście się szanować przed ślubem, to po ślubie będziecie się zdradzać!

Byłam wtedy oburzona i głęboko dotknięta. Zdrada nie miała nas dotyczyć po wsze czasy! Co ma w ogóle wspólnego jedno z drugim? I jak ksiądz na nową drogę naszego życia śmie rzucać takie okropne słowa, niby jakąś kłatwę złej wróżki?

Ze świecą można szukać młodych ludzi, którzy zdają sobie w pełni sprawę z tego, czym jest sakrament małżeństwa. Krótki kurs przedmałżeński to zazwyczaj zbyt mało. Ja miałam bardzo wysokie (i fałszywe) mniemanie o swoim przygotowaniu do ślubu. Udzielamy go sobie nawzajem, mając samego Boga za świadka. Bez zająknięcia wypowiadamy słowa przysięgi, nawet nie biorąc pod uwagę tego, że będą nas one obowiązywać zupełnie NIEZALEŻNIE od postępowania drugiej strony. Przysięgamy małżonkowi i Bogu. Oddajemy nasze życie bezwrotnie.

ROZDZIAŁ II

*Dlatego zamknę jej drogę cierniami i murem
otoczę tak, że nie znajdzie swych ścieżek*

(Oz 2,8)

W święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, 15 sierpnia 1999 roku, głosem pełnym mocy, aż odbijał się echem w kościele, przysięgałam miłość, wierność, uczciwość i że go nie opuszczę aż do śmierci. Tak miał mi dopomóc Bóg Wszechmogący, w Trójcy Świętej jedyny i wszyscy święci. Znamy to wszyscy na pamięć.

Wyglądałam pięknie i bardzo młodo, pan młody także. Przy-
padkowy uczestnik mszy ślubnej rzucił pod nosem:

– Takie dzieci się żenią, a za rok będą się rozwodzić!

Usłyszał to mój kochany dziadek i ostro zaprotestował:

– Nie będą się rozwodzić! Bo to jest moja wnuczka, proszę pana.

Chciałoby się dopowiedzieć, że, na szczęście, dziadek tego kataklizmu nie dożył. Zmarł tuż przed naszą szóstą rocznicą, spokojny do końca o swoje słowa.

Wśród różnych definicji i prób zaklasyfikowania tego, co się odbyło owego sierpniowego dnia przed ołtarzem, szczególnie przemawiają do mnie słowa księdza dr hab. Andrzeja Bohdanowicza:

Kościół celebryje małżeństwo, uznając je za oddzielny sakrament. Słowo *sacramentum* znaczy: 'zobowiązanie, tajemnica religijna, wtajemniczenie'. *Sacrare* to znaczy poświęcić bóstwu, uczynić świętym, uczynić nierozzerwalnym i nienaruszalnym, umocnić i przypieczętować. Traktując małżeństwo jako sakrament, Kościół daje wyraz przekonaniu, że „tak” wypowiedane przed ołtarzem przez dwoje ludzi jest znakiem obecności pomiędzy nimi Boga. Kościół uświęca małżeństwo, czyni je świętością, powierza je błogosławieństwu Bożemu, tym samym daje nowożeńcom nadzieję na nierozzerwalny i nienaruszalny związek. Z drugiej strony, w języku niemieckim słowo: *weißen* ('uświęcić') łączy się z *weich* ('miękki'). Sakrament czyni małżeństwo miękkim, gibkim, żywym – przeciwieństwem czegoś sztywnego. Boże błogosławieństwo uzdalnia małżonków do większej otwartości na siebie, okazywania sobie czułości i wzajemnego wybaczenia sobie. Chrystus dopełnia i uzdrawia miłość dwojga ludzi, która zawsze jest krucha i zagrożona ich egoizmem, co rodzi wiele napięć i nieporozumień. W perspektywie Bożego błogosławieństwa miłość współmałżonka jest postrzegana jako dar, otrzymywany bez względu na jakiegokolwiek osobiste zasługi małżonków.

Mam zatem za sobą dziesięć lat szczęśliwego, kwitnącego małżeństwa z jednym „drobnym defektem”. Ktokolwiek był w naszej rodzinie na pierwszym miejscu, na pewno nie był to Bóg. A przecież przypowieść o budowaniu na skale, nie na piasku, mogłam wyrecytować nawet zbudzona w środku nocy. Dlaczego nie potrafiłam dopasować jej do swojego życia?

Nie miałam pojęcia, że ciągnę losy na loterii, jak to ujął ksiądz Pawlukiewicz. Skoro zawarłam małżeństwo na całe życie, to dlaczego miałabym się o nie nieustannie troszczyć i trwać w czujności? Rozstania mogły dotyczyć innych ludzi, my mieliśmy być „nie do ruszenia”. Po pierwszej córce urodziła się druga, obie zdrowe, udane, cudne i macierzyństwo pochłaniało mnie w pełni. Podróżowaliśmy z nimi, chodziliśmy po górach z nosidełkami,

zawieraliśmy przyjaźnie z innymi młodymi rodzicami, śpiewaliśmy i graliśmy na gitarach. Przez krótki czas prowadziliśmy nawet scholę dziecięcą w naszej parafii. Podział ról był w naszej rodzinie wyraźny: ja skończyłam dwa kierunki studiów, ale pozostałam w domu z dziećmi, a on dużo pracował, świetnie sobie radził, utrzymując naszą rodzinę. Miałam przyciągnąć go do Boga, ale powoli przestało mi zależeć. Przecież był dobrym człowiekiem! Energicznym, opanowanym, pracowitym, chętnym do pomocy, a dzieci – własne i cudze – Ignęły do niego. Tak je uwielbiał! Ja przystępowałam w miarę regularnie do sakramentów, a on towarzyszył nam w niedzielę w kościele. To mi wystarczało, pomimo Bożego ostrzeżenia, że mamy być zimni lub gorący, ale nie letni.

Nie porzucałam mojej religii, ale miałam własny plan na życie, rozumiecie? Interwencje Pana Boga mogłyby jedynie popsuć moje wspaniałe zamiary. W tych planach mieściło się, na przykład, bycie w przyszłości rodziną zastępczą oraz zgłoszenie się do rejestru potencjalnych dawców szpiku kostnego. Takie miałam proste pomysły na zbawienie! Postrzegałam siebie jako szlachetnego człowieka.

W 2006 roku po pieszej pielgrzymce na Jasną Górę, na którą wybrałam się z najstarszą córką, Matka Boża zechciała nam jeszcze raz pobłogosławić i podsunąć plany Boże. Nieoczekiwanie poczęło się trzecie dziecko. Przeżyliśmy chwile buntu i niepokoju, ale bardzo szybko to maleństwo stało się równie upragnione i wyczekiwane jak poprzednie. Śmiałam się potem, że pierwsze dziecko Panu Bogu wykrađłam, drugie z Nim uzgodniłam, a trzecie dostałam za darmo, w niespodziewanym prezencie. Synek rzeczywiście był prawdziwym błogosławieństwem. Urodził się tak, jak zaplanowałam, w spokoju i ciszy domu, tylko w obecności męża i domowej położnej. Te niezwykle narodziny uczyniły ze

mnie silniejszą kobietę niż byłam kiedykolwiek wcześniej. Dały także powód do radosnego dziękczynienia Stwórcy.

Trzecie dziecko w rodzinie przyspieszyło budowę własnego miejsca na ziemi i gdy synek miał roczek, z wielkim wzruszeniem przeprowadziliśmy się do uroczego, wygodnego domu z ogrodem. Zdawało się, że dosiegamy gwiazd.

To już nie była skromna ścieżka po pagórkach i dolinach. Szłam leniwie szeroką asfaltową drogą. Nasze dzieci były dostatecznie zdrowe, śliczne, inteligentne i miały wiele talentów. Mieśliśmy dobrze sytuowanych przyjaciół. Stosowaliśmy antykonwencję „jak wszyscy”. Już marzyły mi się częste zagraniczne wakacje. Dodatkowo oboje poświęcaliśmy sporo czasu surfowaniu po Internecie. Doradzałam młodym mamom na rodzicielskich forach internetowych. Powoli, niepostrzeżenie stawałam się „kimś równiejszym” w świecie wirtualnym niż we własnej rodzinie. Dla pasjonującej dyskusji na forum warto było w mojej ówczesnej opinii zaniedbać zwykłe domowe obowiązki. Mąż grał w sieciowe gry. Nałóg komputerowy i wzajemne oddalenie wsączyły się w nasze życie kropla po kropli, niemal niezauważalnie.

W dziewiątym roku małżeństwa dzieci zaczęły chorować. Zmagaly się z infekcjami, a ja biegałam pomiędzy nimi zmęczona, zestresowana, niewyspana. Przyszedł czas spłacania kredytu za dom, co z kolei wyczerpywało emocjonalnie i fizycznie mego męża. Przypuszczam, że poczuł się jak schwytyany w pułapkę na trzydzieści kolejnych lat. Prawdopodobnie każde z nas czuło się bardziej obciążone od drugiego. Coraz częściej wymienialiśmy między sobą wojskowe komendy, zamiast rozmawiać.

I nagle okazało się, że w taką niedostrzeżoną lukę weszła „ta trzecia”, że jakaś obca osoba zmieściła się pomiędzy nami.

Nie będę opisywać piekła, jakie rozpętało się, kiedy zdrada wyszła na jaw. Tylko ten, kto przeżył coś takiego, uwierzy, że to

ból, który może zabić – od razu lub na raty, powoli zatruwając życie gniewem, nienawiścią i poczuciem krzywdy. To także stan paniki, który zmienia naszą osobowość. Emocje wykrzywiają rzeczywistość. Człowiek popełnia czyny, o które nigdy by się nie podejrzewał. A odkrycie zdrady poprzedza najczęściej pewien dłuższy lub krótszy okres schizofrenicznego zawieszenia pomiędzy potwornymi podejrzeniami a niedowierzaniem; pomiędzy niezrozumiałym chłodem i odrzuceniem a nadzieją, że jutro „wszystko będzie dobrze”.

Pracowałam wówczas w żłobku, wśród malutkich dzieci, gdzie każdy dzień zmuszał mnie do wymyślania radosnych zabaw i wkładania mnóstwa energii w uśmiech. Więc po pracy miałam już siłę tylko na to, aby chować się po kątach własnego domu.

Amerykański terapeuta małżeński, Don-David Lusterman, w książce *Niewierność* tak diagnozuje ów stan:

Okłamywani i zdradzani partnerzy zachowują się, jakby postradali zmysły. Stają się nieobliczalni. Drażnią ich najdrobniejsze rzeczy, nie wiadomo jednak, dlaczego, chociaż w głębi serca czują, że dzieje się coś strasznego. Ciągłe zapewnienia niewiernego partnera, że wszystko jest w porządku, powodują, że starają się wypchać to przecucie ze świadomości. [...] Wielu niewiernych partnerów twierdzi, że szaleństwo ich partnerów usprawiedliwiało ich romans – w końcu któż chciałby siedzieć w domu w towarzystwie nieobliczalnego wariata?

W mojej duszy pojawiła się blokada, a raczej mur wznoszony dzień po dniu: już nie mogłam się modlić. Nie mogłam iść, by pokrzepić się mocą Eucharystii. Moja wiara wysychała, umierała.

Szukałam ratunku dla małżeństwa, ale tylko wśród ludzkich rozwiązań, a te zawiodły. Mąż odmówił terapii. Określił psychologów „specjalistami od czubków”. On był normalny. W urywanych akapitach pamiętnika widać mój ostry zjazd w dół, w przepaść:

Październik

Huśtawka rozpaczy i wściekłości. Chciałam rzucić się na niego z pięściami i wybić mu to z głowy. Chciałam go zmusić, żeby to odwołał. Chciałam się upewnić, wynająć detektywa.

Mój organizm wariuje, łykam magnez, by lepiej znosić stres i jakoś funkcjonować w pracy. Jak mam wychowywać dzieci w tak dziwnej, pokręconej atmosferze rodzinnego domu?

Kim jest ta dziewczyna, która odebrała rozum mojemu mężowi?

Listopad

Dzisiaj jest właśnie taki wieczór, kiedy wołałabym być jak najdalej od niego, mieszkać z dziećmi w innym mieście, w innym kraju. Czuję się w domu swobodnie tylko, gdy on jest w pracy, a gdy wraca, mam ochotę się schować, najchętniej w obudowę komputera.

Już pod koniec lata zastanawiałam się, czy nie mam jakiegoś rodzaju utajonej depresji. Mam takie dni, gdy jestem na krawędzi – budzę się, czując, że nie warto wstawać z łóżka. Że już nigdy w życiu nie warto się podnosić. Mimo wszystko wstaję i przyrzędam dzieciom śniadanie, a potem w ciągu dnia jakoś rozpędzam opary depresji.

Grudzień

Atmosfera Bożego Narodzenia, a w niej nuty pełne fałszu. Nie-szczere łamanie się opłatkiem. Na szczęście były dzieci i ich radość ze śniegu, z prezentów, ze zwierząt w stajence, z pierniczków, z sukienek, z byle czego.

1 stycznia 2010

Nowy Rok. Niewiarygodna samotność. Patrzę na fajerwerki, sztuczne ognie i triumfalne petardy za oknem i już wiem, że są nie dla mnie. Nie na ten rok.

16 stycznia

Rodzina niedziela u dziadków. Dzwoni komórka męża. Spoglądam na wyświetlacz i widzę kobiece imię. Mąż łapie komórkę i wybiega, aby odebrać. W tej sekundzie jego mowa ciała zdradza wszystko.

18 stycznia

Ferie u rodziców. Odpoczynek od męża. A raczej nie od męża, bo jego przecież wciąż nie ma – tylko od czekania na niego, od jego kłującej nieobecności.

W pogodnym nastroju idę z dziewczynkami na lodowisko. Po-tem mam luksusowe wychodne do znajomej fryzjerki mamy. Czuję, że nie tylko ja się kimś opiekuję, ale i o mnie jeszcze ktoś dba.

22 stycznia

Wracamy do domu. Lodowate powietrze – dosłownie i w prze-nośni. Dom jest tak zimny, jakby nikt w nim nie przebywał w ciągu ostatnich dni. Mąż właśnie rozpala w kominku. Kiedy spogląda na mnie, jego źrenice zwężają się. Stąd to poczucie obcości i ode-pchnięcia.

24 stycznia

Niedziela, jego późny powrót nie wiadomo skąd. Rozmowa, która znów przeradza się w kłótnię. Z jego strony całkowita bloka-da, przez którą nic nie ma prawa się przebić.

Budzi się nasza najstarsza i podsłuchuje fragment kłótni. Pła-cze, chowa się za szafą. Przytulam ją i płaczę wraz z nią. Ona chy-ba przeczuwa, że rodzice, podstawa jej bytu, jej świata, rozpadają się. Dostaje gorączki od płaczu i stresu. Podaję jej lekarstwo. Nie znam lekarstwa dla siebie.

25 stycznia

Schodzę na dół, gdzie mąż, jak zwykle, śpi na materacu przy kominku. Próbuję do niego dołączyć. Odsuwa się, odpycha mnie i wkrótce zaczyna chrapać. Tej nocy skręcam się z bólu, zatykam usta, by nie krzyżeć. Wychodzę do ogrodu i siadam w koszuli noc-nej na śniegu. 16 stopni mrozu. Dusza tak boli, że myślę o uldze, jaką sprawiłyby mi cięcia nożem. Wracam do domu i wpadam w hi-sterię. Znikąd pomocy.

Postawa, jaką w swojej bezradności przyjął, może łatwo utwierdzić drugą stronę w konieczności odejścia. Następnego dnia ten bliski obłądu stan zakończył się katastrofą: mój mąż

wrzucił swoje rzeczy do plecaka i wyszedł w mroźną noc, a ja zatrzasnęłam za nim drzwi. Wtedy do mojego upokorzenia i rozpacz dołączyła nieopisana rozpacz i szok naszych dzieci, tak blisko związanych z tatusem.

Byłam przerażona i zraniona, ale wyrzut adrenaliny pozwolił mi to ukryć i działać dalej – przeciwko mojemu niewiernemu mężowi. Och, jak nienawidziłam! To uczucie całkowicie mnie wyniszczało, sączyło we mnie trujący jad. To jak walka o życie na bagnach: kiedy się miotasz, zapadasz się jeszcze głębiej w muł. I nie widzisz, że przed nosem masz solidną gałąź, której możesz się uchwycić: tą gałęzią jest sam Bóg. Zamiast upaść i błagać o pomoc z góry, ja znalazłam w sobie siłę na to, by niszczyć do końca. Wynajęcie prawnika było moim pierwszym krokiem! Chciałam separacji z orzeczeniem o winie męża. Na moją propozycję separacji, on odpowiedział żądaniem rozwodu. Obrączkę z wściekłością zdjęłam z palca i wrzuciłam głęboko do szuflady, pomiędzy bieliznę. Złorzeczyłam losowi, pełna pretensji, że któregoś dnia naszego „poprzedniego życia” nie spotkała nas wszystkich wspólna śmierć w zmiążdżonym przez tira samochodzie, abyśmy nigdy nie musieli przechodzić przez TO! Całymi nocami śniły mi się koszmary, w których widziałam męża z kochanką i ich przyszłe wspólne dzieci. Szatan musiał skakać wokół nas z radości.

To chyba o mnie ksiądz Pawlukiewicz głośił w kazaniu:

Ktoś kiedyś powiedział, że nie ma tyle nienawiści w piekle, co w sercu wzgardzonej kobiety. Pamiętam wywiad z detektywem, który prowadzi różne rozwodowe sprawy, szuka dowodów, jeździ i patrzy, czy tam jakaś pani ma romans z jakimś panem. I on mówił: „Kiedy przychodzą do mnie mężczyźni, żeby wysledzić ich żony, to panowie są trochę niepewni, a trochę chcą się wyżalić przede mną, jak im jest źle. Ale kiedy przychodzi kobieta, żeby wysledzić jej męża, to ona chce tego człowieka walcem przejechać po prostu. Jak ona nieraz mówi: «Proszę mnie zawieźć na to

miejsce ich schadzek», my jej nie zabieramy, bo to grozi śmiercią lub kalectwem”.

Ponieważ walec i inne mordercze maszyny nie bywają w cywilizowanym świecie narzędziami wymierzania kary, przez jakiś czas próbowałam „odgryźć się” słowami. A skoro moje poczucie własnej wartości i godności zostało zdeptane jak mrówka pod obcasem, błyskawicznie trafiłam też za poradą koleżanki na portale i serwisy randkowe. Tak chciałam się dowartościować, nie być nikim, potwierdzić swoją kobiecość, której brutalnie zaprzeczono. Kombinowałam, że z obciążeniem w postaci trojga dzieci trudno może znaleźć partnera na stałe, ale ze zmienianiem partnerów w celach rozrywkowych nie powinno być problemu. No i wykorystałabym moje prawo do odwetu! Na szczęście ta grząska droga skończyła się na jednej niezbyt zajmującej „randce” zaledwie cztery tygodnie po odejściu męża.

A potem Pan Bóg się o mnie upomniał.

ROZDZIAŁ III

Dlatego chcę ją przynęcić, na pustynię ją wyprowadzić i mówić jej do serca

(Oz 2,16)

Oczywiście wśród tego chaosu znalazły się niewinne dzieci, którym trzeba było pomóc. Najstarsza córka rozchorowała się, spadła odporność jej organizmu, przestała się uczyć i odrabiać lekcje. Średnia zaczęła ssać palce i moczyć łóżko, jakby miała dwa lata, a nie blisko sześć. Najmłodszy synek wołał tatusia w nocy i popłakiwał za samochodem, który wraz z tatusiem odjechał. Moja przyjaciółka, która stawiała się na posterunku (a raczej na zgliszczach), zaproponowała wizytę swojej cioci – psychologa dziecięcego. I zarazem chrześcijańskiego doradcy małżeńskiego, ale nie na tym chciałam się skupić. Pragnęłam cudownego złagodzenia objawów traumy u dzieci. Tymczasem w osobie pani psychologa Jezus Zbawiciel rzucił mi już pierwsze koło ratunkowe.

Pani Barbara wysłuchała nas, każdego z osobna, potem przeprowadziła rozmowy z naszymi córkami, podała im tematy rysunków. W sumie tego pierwszego dnia spędziła z nami pięć godzin, a na koniec, już po wyjściu mojego męża, zwróciła się do mnie:

– Jeśli naprawdę chcesz dobra swoich dzieci, to trzeba ratować to małżeństwo. Nie ma innej drogi. Poprosisz męża, aby wrócił do domu...

– Coooooo? – oburzyłam się. – To JA zostałam skopana jak pies i JA mam pierwsza wyciągać rękę?! Absolutnie! Nie chcę go widzieć!

– W takim razie nie chodzi ci o dobro twoich dzieci. Nie widzisz ich dramatu, a jedynie własny ból i własne zranienie.

To były wypowiedziane łagodnym tonem ostre słowa, pod którymi aż się skuliłam. Nie byłam wtedy gotowa na przyjęcie prawdy o sobie. Kręciłam tylko przecząco głową, tłumiąc łzy. I usłyszałam jeszcze:

– Aniu, będziesz miała piekło, tu, na ziemi, w swoich uczuciach.

Nie dopuściłam tego od razu do siebie, ale pierwsze ziarenko już padło.

Wybrałam się także do poleconej przez koleżankę świeckiej psychoterapeutki i po trzech spotkaniach nie widziałam żadnych efektów. Pytałam:

– Jak mam się pozbyć tej nienawiści i wykańczającego poczucia krzywdy?

Ale nie było dla mnie dobrej odpowiedzi. Bo nie ma dostatecznej odpowiedzi na to pytanie nigdzie poza religią.

Pytałam także, jak mam pomóc moim dzieciom w odzyskaniu poczucia bezpieczeństwa, bo w żaden sposób nie potrafię ukoić ich nieustannego płaczu, a raczej mam ochotę do nich dołączyć, równie bezradna jak one. Usłyszałam odpowiedź:

– Nie może pani teraz dać swoim dzieciom tego, czego pani nie ma. Bo i Salomon z pustego w próżne nie naleje.

Chciałam ratować moje dzieci, ale co miało napełnić mnie?

W tym początkowym okresie gniew chronił mnie trochę przed zbyt silnym żalem, takim nie do zniesienia. Kiedy dowiadujesz się o zdradzie i zostajesz samotnie na ostrym wirażu, to wściekłość jest normalna i potrzebna. Jeśli doznasz wstrząsu anafilaktycznego,

wstrzyknięcie adrenaliny może przywrócić twoje krążenie. Może gdy spotyka cię taki wstrząs, dzieje się podobnie: złość pomaga wciąż jeszcze oddychać i chroni twój organizm. Ale najlepiej wykrzycz ją Bogu, nie jedynie ludziom, którzy albo nie mogą pomóc, albo są obojętni, albo szukają sensacji.

Ja zwróciłam się do ludzi, bo bałam się, że eksploduję od nadmiaru emocji. Chwilową ulgę sprawiały mi komentarze znajomych i sąsiadów. Udawałam, że wdycham z sentymentem na myśl o starotestamentalnych karach za cudzołóstwo i że chętnie widziałabym męża ukamienowanego. Ratowałam się zjadliwą ironią, gorzkim sarkazmem. Jako sygnaturkę na forum wstawiłam sobie ulubiony aforyzm: „Mężczyźni mądrzeją z wiekiem. Najczęściej jest to wieko od trumny”.

A pod tym wszystkim leżała zakopana moja zraniona do krwi miłość, w głębi kryły się uczucia tak bolesne, że bałam się momentu, w którym wypłyną na wierzch.

Rozpoczął się Wielki Post. W całym tym okropnym zamieszaniu dostrzegłam garstkę osób, które gorąco modliły się w naszej intencji. Moją babcię, moją przyjaciółkę, która była świadkiem na naszym ślubie, a nawet daleką znajomą z forum internetowego, która nagle stała się tak bliska modlitwą. Zachowałam jej zwiędłego, ale pełnego treści SMS-a:

Pamiętam o Tobie i dzieciakach codziennie. Także po Wielkim Poście będę Ci towarzyszyć. W tak trudnych sytuacjach tylko Pan Bóg może wprowadzić ład, bo On dotyka serca tego, kogo chce.

Wtedy zrobiłam dla siebie jedyną dobrą rzecz, jaką potrafiłam w tym stanie. Zaczęłam gorączkowo wysyłać prośby o modlitwę do wszelkich znalezionych skrzynek intencji, w tym do wielu wspólnot zakonnych. Przez kilka dni przeszukiwałam Internet szukając grup modlitewnych i zakonów, przyjmujących wysłane tą prędką drogą intencje.

I stał się cud przemiany serca. Tylko zewnętrznie mniej spektakularny od takich cudów, gdzie chorzy wstają z wózków inwalidzkich. Modlitwa wstawiennicza „rozpuściła” gruby mur we mnie, mur izolujący mnie od Boga. Nareszcie mogłam mówić do Ojca i Matki i wołać pomocy z Nieba! Przez ponad rok, a może dwa lata, nie miałam Pisma Świętego w ręku. Teraz pierwszy fragment, na jaki natrafiłam, pochodził z Lamentacji:

Jam człowiek, co zaznał boleści pod różgą Jego gniewu; On mnie prowadził, iść kazał w ciemnościach, a nie w świetle, przeciwko mnie jednemu cały dzień zwracał swą rękę. [...]

Wspomnienie udręki i nędzy – to piołun i trucizna; stale je wspomina, rozważa we mnie dusza. [...] Rozwarli na nas swe usta wszyscy nieprzyjaciele – naszym działem trwoga i pułapka, ruina i zniszczenie. Strumienie też płyną mi z oczu nad zniszczeniem Córy mego ludu. Nie ustaje w płaczu me oko, bo nie ma ulgi, póki nie spojrzy i nie zobaczy Pan z niebios. [...]

Lecz Ty, o Panie, Ty trwasz na wieki. Twój tron – poprzez pokolenia. Czemu chcesz o nas zapomnieć na zawsze, po wszystkie dni nas opuścić? Nawróć nas, Panie, do Ciebie wrócimy. Dni nasze zamień na dawne! Czyżbyś nas całkiem odtrącił? Czy tak bardzo na nas się gniewasz?

(Lm 3,1-3.19.46-50.5,19-22)

W chwili, gdy leżymy w błocie i nie wiemy, czy w ogóle jeszcze zdołamy się podźwignąć, w naturalny sposób możemy zacząć od lamentacji i od błagalnych, nasyconych żalem i trwogą psalmów. Aby w odpowiednim dla siebie czasie przejść do wielbienia Boga.

Tamtego dnia, to była chyba druga niedziela Wielkiego Postu, nagle zobaczyłam moje minione życie w Jego świetle, Jego oczami. Wszystkie własne błędy i zaniedbania, które prowadziły nas na skraj przepaści, a zwłaszcza postawę pełną pychy, typu

„Moja racja jest najważniejsza i nie ma żadnej innej do rozpatrzenia”. Może trochę późno odkryłam, że moje połowiczne sukcesy w osiągnięciu dominacji w związku były w rzeczywistości potknięciami, ale dla Boga nigdy nie jest za późno.

To było niesamowite, gdy trujące opary nienawiści i poczucia beznadziejności odparowywały z mojego serca, a w zamian wlewały się tam dawno zapomniane pokój i wyciszenie.

Są w ręku Boga – zarówno miłość, jak i nienawiść – nie rozpoznaje człowiek tego wszystkiego, co przed oczyma jego się dzieje.

(Koh 9,1)

Moje prawdziwe uczucia, dotyczące postępowania męża i jego nieobecności w naszym domu – tęsknota, samotność, żałoba po stracie – ujrzały światło dzienne (a raczej światło Boskie), ale nie zламаłam się pod ich ciężarem, bo działa się to w leczącej obecności Jezusa. Założyłam z powrotem obrączkę. Nawet mój palec poczuł się lepiej, gdy powrócił znajomy dotyk metalu.

Przebaczenie okazało się czymś innym niż dotąd sądziłam, znacznie prostszym. Do chrześcijańskiego przebaczenia – inaczej niż do pojednania – nie potrzeba skruchy i żalu krzywdziciela. Nie wygląda się zadośćuczynienia na horyzoncie. Przebaczam, gdy się na to decyduję. To jest akt woli, nie uczucie. Nie trzeba „odczuwać” wybaczenia i wyrozumiałości. Ja podejmuję decyzję, Pan Bóg przyjmuje i wydaje resztę. Nie zawsze od razu.

Teraz już wiem, że przebaczenie jest kluczem do uzdrowienia. Że jest jedyną pełną mocy odpowiedzią na niesprawiedliwość życia, na okrucieństwo innych, na zadane krzywdy, na całe zło tego świata. I jeśli wybaczam komuś, kto w żaden sposób tego nie docenia, to nie osłabiam siebie, ale umacniam, bo naprawdę naśladowuję Chrystusa.

Następnym oczywistym krokiem był sakrament pojednania. Wspaniała spowiedź, podczas której powróciłam w rozmowie ze

spowiednikiem aż do dnia ślubu. Trwała tak długo, że miałam kłopot z wyprostowaniem kolan i przyniosła mi „serce nowe i ducha niezwyčajzonego”.

Na nowo uczyłam się modlitwy, nie tylko bezmyślnego „klepania formułek” jak przez ostatnie lata, ale modlitwy własnymi słowami. W połowie marca leżałam w ciemności swojej sypialni udręczona strumieniem niespokojnych myśli. Modliłam się, wlewając cały mój ból.

– Boże, pociesz mnie! – wołałam w ciszy. – Panie, co mi teraz powiesz?!

A On powiedział wyraźnie w moim sercu:

– Ja ciebie tak przytulam, jak ty swoje dzieci, gdy boją się złego snu.

Wzruszyłam się. Naprawdę to usłyszałam. Popłynęły mi łzy.

Ponieważ kiedy ja przytulam moje dzieci, biorąc je nocą do łóżka, to robię to całą sobą – ramionami, policzkiem oraz całym sercem. Uwielbiam je tak tulić, a moja miłość, odpędzająca zło i koszmary senne, sprawia mi radość.

I dokładnie ten obraz podsunał mi Ojciec, gdy żądałam od Niego pociechy. Jestem córką Króla i na tym fakcie mam budować poczucie własnej wartości – a nie na relacji z mężczyzną. Odzyskałam swoje dziedzictwo.

Wtedy byłam już gotowa, aby odnaleźć wspólnotę Sychar. Nie mogę sobie przypomnieć, jak trafiłam na nią w Internecie, skąd ja tam dotarłam, jakie odnośniki mnie przyprowadziły. Wiem tylko, że dołączyłam do Sycharowiczów w marcu, pięć tygodni po odejściu męża, i nie od razu zorientowałam się, że znalazłam idealną dla siebie wspólnotę.

ROZDZIAŁ IV

Przybył więc do miasteczka samarytańskiego, zwanego Sychar. Było tam źródło Jakuba

(J 4,5-6)

Wspólnota Sychar zajmuje się ratowaniem trudnych małżeństw sakramentalnych – i tych w kryzysie małżeńskim, i tych już po rozwodzie – oraz niesieniem pomocy duchowej dla porzuconych, opuszczonych małżonków. Wiara w to, że każde chore małżeństwo sakramentalne może być uratowane z Bożą pomocą, jest jej głównym charyzmatem, gdyż człowiek zawsze ma szansę się nawrócić i wypełnić wolę Bożą zapisaną w przysiędze małżeńskiej.

Nazwa wzięła się od miasteczka przy studni, gdzie Jezus rozmawiał z Samarytanką. Według Ewangelii świętego Jana rozmowa wyglądała tak:

Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny. Nadeszła [tam] kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody. Jezus rzekł do niej: «Daj Mi pić!». Jego uczniowie bowiem udali się przedtem do miasta dla zakupienia żywności. Na to rzekła do Niego Samarytanka: «Jakżeż Ty będąc Żydem, prosisz mnie, Samarytankę, bym Ci dała się napić?». Żydzi bowiem z Samarytanami unikają się nawzajem. Jezus odpowiedział jej na to: «O, gdybyś

znała dar Boży i [wiedziała], kim jest Ten, kto ci mówi: „Daj Mi się napić” – prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej». Powiedziała do Niego kobieta: «Panie, nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy Ty jesteś większy od ojca naszego Jakuba, który dał nam tę studnię, z której pił i on sam, i jego synowie i jego bydło?». W odpowiedzi na to rzekł do niej Jezus: «Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu». Rzekła do Niego kobieta: «Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać». A On jej odpowiedział: «Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj!». A kobieta odrzekła Mu na to: «Nie mam męża». Rzekł do niej Jezus: «Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą».

(J 4,6-18)

Po nawróceniu ta kobieta z pewnością zapragnęła zrobić porządek ze swoim życiem osobistym. Wspólnota Sychar dzisiaj świadczy o tym, że w każdej skomplikowanej sytuacji osobistej można zachować Boży porządek. Czasem nazywa się ją Wspólnotą Wiernej Miłości Małżeńskiej. Jej założycielami byli między innymi Andrzej Szczepaniak i ksiądz Jan Pałyga, a pierwsze spotkanie odbyło się w grudniu 2003 roku u pallotynów przy ulicy Skaryszewskiej w Warszawie.

Andrzej swoją historię opowiada zawsze bardzo prosto:

Jestem sakramentalnym małżonkiem od 20 lat. Moje małżeństwo przeżywa kryzys. W 1993 roku złożyłem mojej żonie i Bogu przysięgę wierności, miłości i że jej nigdy nie opuszczę. Mimo orzeczonego w 1997 roku jednostronnego (bez mojej zgody) rozwodu, jestem wierny żonie. Po rozwodzie moja żona związała się z innym mężczyzną. Weszła w sformalizowany ślubem cywilnym związek

niesakramentalny. Bardzo kocham moją żonę. Jestem otwarty na jej powrót i pojednanie – wzajemne przebaczenie sobie win. Jestem gotowy przyjąć ją wraz z dzieckiem. Wierzę, że prawdziwa miłość zawsze zwycięża. Wierzę, że najlepszym lekarstwem na każdy kryzys w ludzkich relacjach jest miłość. Doświadczam, że kryzys może być łaską, czasem intensywnego rozwoju człowieka, a nierzadko jedyną drogą do poznania prawdziwej miłości i wejścia w relację z najważniejszą Osobą, jaką jest Jezus Chrystus.

Andrzej napisał na internetowym forum pomocy www.kryzys.org jednej ze zdradzanych przez męża Sycharowiczek takie słowa:

Tego formatu kryzys, gdzie występuje permanentna zdrada małżeńska, gdzie ma miejsce porzucenie świętego przymierza zawartego z Bogiem w sakramencie małżeństwa – dowodzi braku żywej wiary i relacji z Bogiem ze strony zdradzającego małżonka. Paradoksalnie kryzys może być szansą dla niewiernego małżonka, aby się nawrócić. Gdy się nawróci i wróci do Boga, automatycznie również powróci do ciebie, o ile ty będziesz na niego aktywnie czekać – „czekać, nie czekając”, tzn. żyć własnym życiem, rozwijać się duchowo, emocjonalnie, intelektualnie i fizycznie ku pełni życia.

A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela (Mt 19,6) – z tych słów Chrystusa wynika jednoznacznie, że Bóg małżonków sakramentalnych widzi zawsze razem, nawet jeśli zdradzają i wchodzi w nowe, niesakramentalne związki. W chwili nawrócenia mąż uświadomi sobie ich sens i je wypełni. *Cierpliwym do czasu dozna przykrości, ale później radość dla niego zakwitnie (Syr 1,23)*.

Wiek XXI jest prawdziwą epoką rozwodów. Stąd potrzeba tworzenia takich i podobnych wspólnot. Duch Święty działa tam, gdzie zagraża pustka. *Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska (Rz 5,20)*.

Podobną do WTM Sychar w dalekim świecie jest kanadyjska wspólnota Retrouvaille (franc. ‘odnalezienie’) założona przez

małżeństwo Guya i Jeannine Beland. Organizacje na wzór Retrouvaille działają już w ponad dwudziestu krajach. Papież Benedykt XVI na spotkaniu z przedstawicielami Retrouvaille w Rzymie powiedział:

W najmroczniejszych chwilach małżonkowie stracili nadzieję; dlatego potrzebni są inni, którzy jej strzegą, potrzebni jesteście my, towarzystwo prawdziwych przyjaciół, którzy z największym szacunkiem gotowi będą podzielić się własną nadzieją z tymi, którzy ją utracili. Kiedy para przeżywa kryzys, znajduje wokół siebie wiele osób gotowych radzić jej separację. Nawet małżonkom, którzy pobrali się w imię Pańskie, proponuje się z łatwością rozwód, zapominając, że człowiek nie może rozwiązywać tego, co Bóg związał.

W Polsce w ciągu kolejnych lat powstawały nowe ogniska wspólnoty Sychar: w Warszawie, Poznaniu, Żorach, Zielonej Górze, Opolu, Gorzowie Wielkopolskim, Krakowie (przy Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach i przy kościele św. Barbary), Gdańsku, Rzeszowie, Szczecinie, Bydgoszczy, Wrocławiu, Lublinie, Rydułtowach, Puławach, Markach, Płocku, Legnicy, Skierniewicach, Rychwałdzie, Katowicach, Radomsku, Siemiatyczach, a nawet u Polonii w Bonn (przy Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech) i Chicago (USA). W czasie oddawania do druku tej książki prowadzono przygotowania do otwarcia ognisk w Toruniu, Wałbrzychu, Koszalinie. Listę miast wraz z adresami podaje na końcowych stronach.

Sycharowski charyzmat przyczynił się także do powstania w Dniu Najświętszego Serca Pana Jezusa, 30 maja 2008 roku, Ruchu Wiernych Serc, skupionego razem z młodzieżowym Ruchem Czystych Serc i Ruchem Czystych Serc Małżeństw wokół czasopisma „Miłujcie się”. Ruchowi Wiernych Serc patronuje Matka Boża Gidelska. Natomiast wspólnota Sychar 8 stycznia 2010 roku doczekała się specjalnego błogosławieństwa arcybiskupa Henryka Hosera o treści:

Członkowie Wspólnoty Trudnych Małżeństw Sychar

Dobra wola ludzi, starających się nieść pomoc małżeństwom przeżywającym trudności, zaowocowała powołaniem do istnienia Waszego stowarzyszenia.

Szlachetne pragnienie, by Małżonkowie odnawiali moc udzielonego sobie Sakramentu i czerpali z niej ratunek w sytuacjach kryzysowych inspiruje Waszą wspólnotę do inicjowania i prowadzenia różnorodnych form pomocy, takich jak Ruch Wiernych Serc, warsztaty rozwoju duchowego „Wreszcie żyć – 12 kroków ku pełni życia” czy internetowe forum pomocy.

Ufam, że tym podejmowanym przez Wspólnotę Trudnych Małżeństw Sychar dziełom będzie towarzyszyło Boże błogosławieństwo i ludzka życzliwość.

Przyjęte zadanie wskazywania drogi uzdrawiania relacji małżeńskich i mądrego przeżywania kryzysów poprzez współpracę z łaską, wzrost duchowy i umacnianie więzi wzajemnych, pozwala żywić nadzieję, że korzystające z Waszej pomocy Małżeństwa otrzymają realną szansę uzdrowienia i zechcą z niej skorzystać.

Członkom Wspólnoty Trudnych Małżeństw Sychar, Małżonkom podejmującym trud odnowy wspólnoty i wszystkim Waszym Współpracownikom z serca błogosławię.

Następnie swoich błogosławieństw dla ognisk wspólnoty udzielili biskupi poszczególnych diecezji. Natomiast 14 marca 2012 roku Episkopat Polski na prośbę WTM Sychar powołał krajowego duszpasterza wspólnoty. Został nim ksiądz Paweł Dubowik z diecezji opolskiej.

Na Sycharowiczów z początku spoglądałam z niedowierzaniem i zdumieniem. Trwać w wierności dla męża czy żony kilka lat po rozwodzie? To chyba przybysze z obcej planety! To dobre dla kobiet i mężczyzn opuszczonych grubo po pięćdziesiątce, ale ja byłam zaledwie po trzydziestce. Tu, na tej ziemi, miarą sukcesu i powodzenia jest to, jak szybko ułożysz sobie życie z kimś nowym. Wtedy dajesz dowód, że jesteś silnym człowiekiem i rozpad

związku cię nie złamał! A że sakrament? No to co, skoro jest się stroną niewinną, porzuconą z premedytacją? Mój mąż, omamiony sloganem „każdy ma prawo do szczęścia”, poszedł szukać tego szczęścia w świecie, zupełnie nie bacząc, że podeptał po drodze kilka innych osób, żonę i dzieci. Wobec tego, czy ja tym bardziej nie mam prawa do szczęścia?

Przeglądałam nowe wątki na forum www.kryzys.org. Tyle tam było cierpienia, tak podobnego do mojego, że współodczuwając z piszącymi, ocierałam własne łzy. Ten schemat „mąż/żona mnie zdradza, nie wiem co robić” powtarzał się chyba najczęściej. Odnajdywałam siebie w setkach wariantów. Niezależnie od tego, czy dochodziło do zdrady fizycznej czy emocjonalnej, trzęsienie ziemi i gruzy po bombardowaniu były zawsze.

Czytałam słowa pisane przez „starych” czyli zaawansowanych Sycharowiczów. Oni mieli w sobie radosną, ufną wiarę. I to niezależnie od tego, jak ułożyły się ich losy, czy ich współmałżonkowie powrócili skruszeni, czy nie. Głosili nowym osobom, że na to forum nigdy nie trafia się przypadkowo. Jeśli ktoś się tam zapłącze, to znaczy że Bóg go woła.

I mnie wołał. Nie przyjął całej nauki od razu, trafiała do mnie w małych dawkach. Kilka długich tygodni zajęło mi zrozumienie, że na naszym ślubie było nas troje: kobieta, mężczyzna i Bóg, który przyjął naszą przysięgę. Nie tylko ja, ale i Bóg pozostał wierny. Żadne czyny i niewłaściwe wybory męża nie zwalniają mnie z danego słowa. Ponieważ ja NIE przysięgałam: „Ślubuję ci miłość, dopóki będziesz mnie kochał... Wierność, dopóki mnie nie zdradzisz... Uczciwość małżeńską, dopóki mnie nie okłamiesz... Oraz że cię nie opuszczę, dopóki ty zostaniesz przy mnie...”.

Każdy chrześcijanin wie, że w rzeczywistości przysięga brzmi inaczej. Mocowałam się z tą prawdą kilka tygodni. Niektórym zrozumienie zajmuje kilka lat. Ale dla Pana nigdy nie jest za późno.

Od Sycharowiczów usłyszałam, że mam prawo prosić i domagać się od Boga powrotu i nawrócenia męża – a zarazem mam taki obowiązek. Bo my się mamy razem zbawić. Ale jednocześnie – jak to pięknie przekazał w wierszu ksiądz Jan Twardowski – jeśli nie masz cierpliwości, to lepiej się nie módl:

Zaczekaj

Kiedy się modlisz – musisz zaczekać
wszystko ma czas swój
widzą prorocy
trzeba wciąż prosząc przestać się spodziewać
niewysłuchane w przyszłości dojrzeją
to niespełnione dopiero się stają
Pan wie już wszystko nawet pośród nocy
dokąd się mrówki nadgorliwe śpieszą
miłość uwierzy przyjaźń zrozumie
nie módl się skoro czekać nie umiesz

Niecierpliwość była jedną z naczelných cech mojego charakteru. Swoje pomysły najchętniej realizowałam natychmiast. Kiedy po raz pierwszy krótko opisałam moją historię na Sycharowym forum www.kryzys.org, zamieściłam tam takie zdanie: „Podziwiam Was, nie sądzę, abym ja była zdolna do takiej świętości, żeby czekać na męża kilkanaście lat!”.

Wzbudziłam chyba tym ogólną wesołość, bo Róża, doświadczona i pomocna forumowiczka, odpisała mi:

Co do świętości – tak dla sprostowania – tu, na Sycharze, jeszcze nikogo świętym nie ogłoszono, ba, nawet błogosławionym – nie. Jeszcze przekonasz się sama, na ile cię stać... Zaskoczysz na pewno samą siebie, jeszcze nie teraz – musisz wszystko po kolei przerobić.

To były właściwie prorocze słowa, do dzisiaj nie mogę wyjść z zaskoczenia, jak bardzo moje życie się zmieniło. Jednak nie od razu.

Najpierw zaczęłam sięgać po lektury polecane przez wspólnotę Sychar. Subiektywną listę lektur pomocnych w kryzysie zamieszczam dla was na ostatnich stronach. Odsunęłam na chwilę na bok świeckie poradniki typu: „Jak pomóc dzieciom w trakcie rozwodu” czy „Rozwód. Jak go przeżyć”, których czytanie było teraz jak sypanie soli na świeże rany. I na początek przeczytałam *Urzekającą* Stasi i Johna Eldredge, która była jak kojący balsam na zdartą skórę. Ta książka od pierwszej do ostatniej strony przekonywała mnie, że jestem nieskończenie przez Kogoś kochana. Przeczytałam *Dziki serce*, które poniewczasie odkryło przede mną potrzeby mojego męża.

Obejrzałam także film *Ognioodporny* (w innym tłumaczeniu *Próba ogniowa*) – historię komendanta straży pożarnej, ratującego we współpracy z Chrystusem swoje małżeństwo. Obejrzałam raz – a potem sześć razy pod rząd, za każdym razem wylewając w ciszy nocy nad bohaterem filmowym te łzy, których nie miałam czasu ani siły wylać nad sobą. I z tego filmu wzięłam sobie motto na najbliższe miesiące: „Nie idź za głosem serca, ale sam prowadź swoje serce w dobrym kierunku”.

Sama na swoich emocjach, które doprowadziły mnie na skraj rozwodu, zawiodłam się gorzko i nie chciałam, aby kiedykolwiek jeszcze miały nade mną pełną władzę. Nie miałam już żadnych wątpliwości, że trzeba otworzyć mężowi zatrzaśnięte wcześniej drzwi. Byłam to winna moim dzieciom, mojemu Panu – wszystkim. Bóg kocha i wymaga, swojego Syna oddaje za nas na śmierć, ale nas nie rozpieszcza. Od zdradzonej żony oczekuje przebaczenia i przyjęcia męża z powrotem. Nie żąda z pewnością od kobiety, nad którą mąż się znęca, by pozwoliła się krzywdzić. Wskazuje na separację, czasowe rozdzielenie, na obronę dostępnymi środkami – ale nawet wtedy to nie jest koniec małżeństwa.

Mój mąż i ja żyliśmy we wzajemnym szacunku przez długi wspólny czas. Przez szereg lat zdawał się odpowiedzialnym

człowiekiem. Dzieci zapamiętały całą jego dobroć. Potem się zagubił. Zdecydowanie miałam o co zawalczyć. Napisałam maila:

Ogromnie mi przykro za moją działkę wyrządzonego zła, także za nagłaśnianie sprawy, gdy działałam zamroczona gniewem, rozpaczą i strachem. Patrzyłam jak twoje serce jest gdzie indziej i wpadałam w panikę, bo widziałam, że duchowo się już wyniosłeś, a myślałam, że umrę bez mojego męża. Teraz już wiem, że nie umrę, i to mi dało dużo wolności i spokoju. Wybaczyłam ci niejako zaocznie, nie wiedząc, co się dokładnie działo. Ależ sobie i dzieciom pokomplikowaliśmy życie. Głupio wyszło, że zbudowałeś piękny dom, a teraz wynajmujesz mieszkanie. Ja to rozumiem tak – uczucia mijają, i to zarówno uczucie do innej kobiety, jak i ta gorąca nienawiść do mnie. A dzieci pozostają, nawet jako dorosłe nie przestają być ważne, dom też pozostaje. Cóż, wiesz już, że cię kocham, że wybaczam i przepraszam, a teraz zrobisz, co zechcesz. Nie ma pośpiechu, poczekam.

Z modlitwą – żona

Wysłałam maila, świadomie wystawiając się na ponowne odrzucenie. Zdawało mi się, że dokonałam najtrudniejszej rzeczy, jakiej można by ode mnie zażądać. Rzeczywiście, aby to zrobić, musiałam się trochę połamać i poskładać na nowo. Musiałam przeredagować sobie w głowie pojęcie dumy i godności. Tylko że wtedy jeszcze mierzyłam siły na sprint, a tymczasem czekał mnie maraton. Dlaczego sądziłam, że się opamięta? W moim odczuciu straty poniesione przez mojego męża po opuszczeniu domu nieporównywalnie przewyższały korzyści – tę garść endorfin i innych hormonów, jakimi cieszą się zakochani.

Byłam pełna nadziei, że powróci, że rozpoczniemy jeszcze raz, że nauczeni tak ogromnym błędem nigdy nie popełnimy podobnego. Modliłam się o to do wszystkich świętych i patronów po kolei. Jednocześnie codziennie uczyłam się coraz sprawniej żyć bez niego, radzić sobie w sytuacjach najbardziej prozaicznych,

układać dni logistycznie i organizacyjnie, zajmować się dziećmi samodzielnie przez całą dobę. Stawałam na nogi. Musiałam poczuć, że potrafię żyć bez męża, aby szczerze i bez psychicznego „uwieszania się” na nim zaproponować powrót. Czekaając na jego reakcję, czytałam wielokrotnie Księgę Ozeasza, na którą natrafiłam zaraz po wspomnianych wyżej Lamentacjach:

*Dlatego zamknę jej drogę cierniami
i murem otoczę,
tak że nie znajdzie swych ścieżek.
Za kochankami swymi pobiegnie,
ale ich nie dogoni;
pocznie ich szukać, ale nie znajdzie.
Wtedy powie:
„Pójdę i wrócę do mego męża pierwszego,
bo wówczas lepiej mi było niż teraz”.
Zapomniała już o tym, że to Ja właśnie
dałem jej zboże, moszcz, świeżą oliwę,
<że nie skąpiłem srebra ni złota,
z którego czyniono Baala>. [...]
Położę kres wszystkim jej zabawom,
świętom, dniom nowiu, szabatom
i wszystkim uroczystym zebraniom.
Ześlę na nią karę za dni Baalów,
gdy im paliła kadzidła,
a zdobna w swe kolczyki i naszyjniki biegła za swymi kochankami,
a o Mnie zapomniała.
Dlatego chcę ją przynęcić,
na pustynię ją wyprowadzić i mówić jej do serca.
Oddam jej znowu winnice,
dolinę Akor uczynię bramą nadziei –
i będzie Mi tam uległa jak za dni swej młodości,
gdy wychodziła z egipskiego kraju.*

*I stanie się w owym dniu – wyrocznia Pana –
że nazwie Mnie: „Mąż mój”,
a już nie powie: „Mój Baal”. [...]
W owym dniu zawrę z nią przymierze,
ze zwierzem polnym i ptactwem powietrznym,
i z tym, co pełza po ziemi.
Łuk, miecz i wojnę wyniszczę z jej kraju,
i pozwolę jej żyć bezpiecznie.
I poślubię cię sobie [znowu] na wieki,
poślubię przez sprawiedliwość i prawo,
przez miłość i miłosierdzie.
Poślubię cię sobie przez wierność, a poznasz Pana.
(Oz 2,8-10.13-18.20-22)*

A ksiądz Pawlukiewicz w jednym z kazań przekłada te słowa na współczesny język:

Pan Bóg mówi: nie zostawisz mnie. Ja cię kocham. Ja cię kocham! Ja cię chcę mieć w niebie. Rozumiesz? Depresją będę cię szukał. Niepowodzeniem będę cię szukał. Sen ci dam, film ci dam. Spotkanie z drugim człowiekiem ci dam. Stłuczkę samochodową ci dam! No, zwróć na mnie uwagę!

A dla mnie, tak jak dla wielu innych osób we wspólnocie Sychar, może był przewidziany kryzys małżeński, abym wreszcie przejrzała na oczy?

Po kilku dniach przyszła mailem odpowiedź, która powinna mnie zmiądzzyć. Na moment stanęłam na rozdrożu. Mogłam się teraz poddać, rzucić te wszystkie różańce, koronki do Miłosierdzia Bożego, litanie do wszystkich świętych, skoro i tak nie przynoszą widocznych efektów. Mogłam skasować Sycharowe forum z zakładek, znów odpowiedzieć złem na zło. A mogłam wstać spod tego krzyża i nieść go dalej. Jezus trzymał mnie mocno, bardzo mocno tamtego wieczoru. Pomógł się podnieść. A ja powoli uczyłam się,

o co mam prosić dla siebie: o dary Ducha Świętego, o Jego rozum, wytrwałość, mądrość, aby przegrupować te siły na maraton. Sycharowicze podsunęli mi bardzo popularną we wspólnocie modlitwę o Pogodę Ducha:

Boże, użycz mi **pogody ducha**,
abym godziła się z tym, czego nie mogę zmienić,
odwagi, abym zmieniała to, co mogę zmienić
i **mądrości**, abym odróżniała jedno od drugiego.

Zamówiłam mszę świętą w swojej parafii w naszej intencji. Ksiądz proboszcz nie wziął ode mnie ani grosza na ofiarę. Chciałam być dzielna i opanowana, ale nic z tego nie wyszło, płakałam jak dziecko w kancelarii parafialnej i z trudem wyjaśniałam, o co chodzi. Na tej mszy świętej byłam zupełnie sama, nikt mi nie towarzyszył. Dopiero zaczynałam wokół siebie zbierać krąg osób, które mogły dać mi prawdziwe wsparcie.

Pomimo faktu, że byłam tak świeżym nabytkiem wspólnoty Sychar i że nikogo nie znałam tam osobiście, a nieśmiałość mnie paraliżowała, zgłosiłam się na rekolekcje Sycharowe w Otwocku, które miały się odbyć w połowie kwietnia. Pan Bóg pozwalał mi szukać Jego woli na wszystkie sposoby i ustawiał drogowskazy podpisane wielkimi literami, abym ich nie przegapiła.

Takiego Wielkiego Postu nie zapomina się do końca życia.

ROZDZIAŁ V

Oto co do mnie należy – zachowywać Twe postanowienia

(Ps 119,56)

S topniowo wśród gęstwiny odnajdywałam właściwą ścieżkę. Łatwo można ją było rozpoznać po tym, jak jest kamienista i ciernista. Po moim nawróceniu, uwierzcie, dało się odczuć, jak bardzo szatan się przeraził, że odmawiam współpracy z nim. Zaczął miotać nami podwójnie, usłyszałam mnóstwo raniących słów, po to, abym się zniechęciła z „narzucaniem mojej dobrej woli”. Nieraz się we mnie gotowało, wrzało, kipiało. Czasem łąpałam za telefon i dzwoniłam do pani Barbary, aby mi podpowiedziała, jak się zachować, jak odpowiadać po chrześcijańsku w konkretnej sytuacji. Byłam tak odzwyczajona od bycia świadkiem miłości, że musiałam uczyć się od nowa, po kolei, jakiego tonu i jakich sformułowań używać, a jakie wyrzucić ze słownika. Najtrudniej przychodziło mi milczeć. Nie odpowiadać wcale na złość, nie podsycać jej. Marnował się mój wspaniały talent prawnienia wyszukanych złośliwości, takich soczystych, by przeciwnikowi w pięty poszło. I bardzo dobrze, że się marnował.

W piątą rocznicę śmierci Jana Pawła II mieliśmy po raz pierwszy spotkać się z mężem w Komitecie Ochrony Praw Dziecka, aby uzgadniać zakres udziału dochodzącego ojca w wychowywaniu

dzieci. Modliłam się więc z wiarą za pośrednictwem wkrótce już błogosławionego Ojca Świętego o światło Ducha Świętego dla pani psycholog, która miała z nami pracować.

Pani psycholog okazała się prawdziwym skarbem na tym etapie naszych kłopotów. Miała znakomite rozeznanie w potrzebach dzieci i pewnie w tym, kto mówi szczerze, a kto się tylko usprawiedliwia. Była wierząca, więc do pewnego stopnia zrozumiała moje podejście. Podkreśliła na wstępie, że „rozchodzić” można się dopiero wtedy, gdy uczyniło się dosłownie WSZYSTKO, by uratować rodzinę. Mój mąż próbował na pierwszym spotkaniu przekonać ją, że dzieci będą miały teraz lepiej, bo nie będą świadkami rodzicielskich sprzeczek. Na to padła odpowiedź:

– Proszę pana, ja mam ponad dwadzieścia pięć lat doświadczenia w tym zawodzie i od razu widzę, w których rodzinach należałoby dla dobra dzieci odseparować rodziców od siebie. Tu nie ma ku temu żadnych przesłanek.

Nie wiem, jak bez spotkań w Komitecie Ochrony Praw Dziecka poradzilibyśmy sobie z ustaleniem najbardziej prozaicznych i najpilniejszych spraw, jak podział weekendów z dziećmi, ich wyjazdy do dziadków, rozplanowanie wakacji i tym podobne. Po długim czasie okazało się dopiero, jak łaskawie została wysłuchana moja modlitwa. Ale na początku te spotkania w KOPD były wyczerpujące emocjonalnie i bardzo, bardzo trudne.

Nadeszła Wielkanoc. Pierwsze święta bez męża, pierwsze święta, gdy musieliśmy podzielić się dziećmi. Był więc smutek, bo brakowało go przy rodzinnym stole, ale smutkowi towarzyszyła radość Zmartwychwstania. Był spokój czystego serca i sumienia.

Wiadomo, że po każdym głębokim wstrząsie człowiek odradza się psychicznie. Wtedy powietrze mocniej pachnie, potrawy lepiej smakują, uściski dzieci bardziej cieszą, zmysły są wyczułone, wszystko jest wyraźniejsze. Cieszyłam się wiosną. Patrząc z zewnątrz, moje życie miało jeszcze daleko do wyjścia na prostą.

Nie miałam zasądzonych alimentów, nie miałam stabilnej pracy. Ale dzięki otwarciu się na Zmartwychwstałego Pana, sporo najgorszego było już za mną.

Rozpoczęłam pracę nad sobą w konkretnym celu. Chciałam uratować moje małżeństwo, zgodnie z zasadą „nie próbuj zmieniać innych, jesteś odpowiedzialny tylko za siebie i swoją przemianę”. Dopiero z biegiem czasu odkrywałam, jak wiele korzyści te zmiany wnoszą w codzienne życie moje i dzieci. Modliłam się razem z córkami, później i z rosnącym synkiem, za całą rodzinę, a gdy rozmawialiśmy o ich tatusiu, nie musiałam niczego udawać. Nie musiałam ukrywać przed dziećmi swojej nienawiści, bo już jej nie było. Dzieciom, tak znakomicie wyczuwającym fałsz, sprawiło to wielką ulgę.

Budziłam się w nocy, aby błagać Boga o ocalenie małżeństwa. Stopniowo wśród tych modlitw coraz bardziej pragnęłam Tego, do którego wołałam. Jeśli twoje życie wali się na łeb, na szyję, jeśli wszystko, co cię urządzało, wypada ci z rąk, jeśli nie wiesz, co przyniesie jutro, bo twoje plany runęły – pomyśl, czy to nie właściwa chwila na całkowite oddanie się Bogu?

Ksiądz Pawlukiewicz powiedział o takiej sytuacji:

Kiedy przeżywamy kryzys, oczywiście chcemy z niego wyjść, bo to boli. Człowiek czuje się paskudnie, ma tak zwanego „doła”. Ale uważajcie, bo kryzysy są po to, aby je przeżyć do końca. [...] Kiedy pociąg jedzie w tunelu, to się z niego nie wysiada. Pociąg musi przejechać przez tunel, człowiek musi nieraz przejechać przez trudną sytuację, przez kryzys. Kryzys da się znieczulić, ale on może nam coś powiedzieć o najgłębszych pragnieniach serca. [...] Jak chcesz zobaczyć, czy masz dużo fusów czy herbaty na dnie, to zamieszasz. Jak się miesza w garnku, to gęste idzie do góry. Pan Bóg nam miesza, żeby z dna serca poszło do góry i żebyśmy zobaczyli, czego my naprawdę chcemy.

Kryzys małżeński jest po to, aby wspiać się na wyższy poziom miłości. A ja dotychczas umościłam się na bardzo niziutkim.

Przemówiły też do mnie słowa z 2 Listu do Koryntian, które zapisałam sobie wielkimi literami i przyczepiłam na tablicy korkowej:

To teraz raduję się – nie dlatego, żeście się zasmucili, ale żeście się zasmucili ku nawróceniu. Zasmuciliście się bowiem po Bożemu, tak iż nie ponieśliście przez nas żadnej szkody. Bo smutek, który jest z Boga, dokonuje nawrócenia ku zbawieniu, którego się potem nie żałuje, smutek zaś tego świata sprawia śmierć.

(2 Kor 7,8-12)

W Niedzielę Miłosierdzia Bożego, tuż po katastrofie pod Smoleńskiem, po przyjęciu Komunii Świętej spytałam Boga dość natarczywie:

– Dlaczego mój mąż nie chce wrócić? Dlaczego nam go nie oddajesz, Panie, choć tak żarliwie o to proszę?

I usłyszałam w sercu odpowiedź pełną Ojcowskiej troski:

– Twój mąż jest teraz zbyt ciężki. Lepiej, żebyś nie miała tak wiele do dźwigania.

Cała Polska stanęła akurat przed dylematem wiary w to, że Bóg wie, co robi, dopuszczając do katastrof lotniczych i nie wkraczając z osobistą interwencją, by ratować ludzi przed cierpieniem. Ja musiałam jedynie uwierzyć, że Bóg wie, co robi, dopuszczając do rozdzielenia małżonków. Że teraz korzystniej dla mnie, gdy mam do dźwigania tylko samą siebie i dzieci. Bo może to problem skrojony na moją miarę, któremu podołam?

Wreszcie przyszedł czas Sycharowych ogólnopolskich rekollekcji. Wzięłam najmłodsze dziecko i wsiadłam do pociągu. Już pierwsza wspólna modlitwa uwielbienia w piątkowy wieczór postawiła mi przed oczami wszystkie lata spędzone we wspólnocie, w której dorastałam. Jak mogłam żyć bez tego wsparcia, bez tego pełnego oddechu przez trzynaście lat? Teraz wchodziłam w tę grupę płynnie, radośnie, jakby nie było żadnej przerwy.

Na rekolekcjach odbyło się Nabożeństwo Uzdrawienia. Tego potrzebowałam, moje zranienia musiały się zablźnić, przestać krwawić. Jezus naprawdę dokonywał tego dla mnie: teraz myśl o zdradzie i opuszczeniu już nie miała boleć nie do wytrzymania. A w dodatku dostałam bonus, o który wcale nie poprosiłam. Zawsze miewałam migreny, ale w tym ostatnim strasznym roku bardzo się nasiliły, przynajmniej dwa razy w miesiącu wyłączały mnie z życia niemal na dobę, podczas której nie byłam w stanie opiekować się dziećmi. Dopiero po kilku miesiącach z zaskoczeniem zauważyłam, jak uzdrowienie ducha wpłynęło na zdrowie ciała. Od tamtej pory przez wiele miesięcy nie miałam migren. To był zewnętrzny przejaw tego, co Chrystus zrobił mi w środku.

Wróciłam z rekolekcji bardzo umocniona i całe szczęście, bo zostałam z powrotem wrzucona w wir ziemskich kłopotów. Choroby moich rodziców, infekcje dzieci, które utrudniały mi chodzenie do pracy, problemy finansowe. To, co przerabiają wszyscy ludzie, ale nie wszyscy w pojedynkę. Do tego moja postawa wobec męża przypominała taniec na linie lub chodzenie po cienkim lodzie. Jak nie podsycać w kimś negatywnych emocji i szanować go jako osobę, a zarazem stawiać granice i nie pozwalać się krzywdzić? Wciąż się dopiero uczyłam. Zdarzało mi się tłumaczyć bliskim moją obecną, niełatwą sytuację tak:

– Nie dość, że jestem w jakimś sensie wdową i czuję się jak wdowa – bo straciłam mojego ukochanego męża – to jeszcze muszę zmagać się z totalnie obcym facetem, który wygląda zupełnie jak ten utracony mąż i rości sobie prawa do moich dzieci.

Sił dodawało mi teraz Słowo Boże, na przykład czytany późno w nocy Psalm 119:

*Wstaję o północy, aby Cię wielbić
za słuszne Twoje wyroki.
Jestem przyjacielem*

*wszystkich, którzy się boją Ciebie,
co strzegą Twych postanowień.
Twoja łaska, Panie, napelnia ziemię:
naucz mnie Twoich ustaw!
Wyświadczyłeś dobro swojemu słudze
zgodnie z Twoim słowem, Panie!
Naucz mię zrozumienia i umiejętności,
bo ufam Twoim przykazaniom.
Błądziłem, zanim przyszło utrapienie;
teraz jednak strzegę Twej mowy.
Dobry jesteś i dobrze czynisz;
naucz mię Twoich ustaw!
Zuchwali knują przeciw mnie podstępny,
ja całym sercem strzegę Twych postanowień.
Otępiało ich serce opasłe,
a ja znajduję rozkosz w Twoim Prawie.
Dobrze to dla mnie, że mnie poniżyłeś,
bym się nauczył Twych ustaw.
Prawo ust Twoich jest dla mnie lepsze
niż tysiące sztuk złota i srebra.*

Odkąd wróciłam z rekolekcji, moja pierwsza myśl po przebudzeniu nie brzmiała już tak: „O Matko Boska, to nie był zły sen – naprawdę mąż mnie opuścił!”. Teraz od samego rana, odkąd otwierałam oczy, dusza we mnie śpiewała: „Pan mnie strzeże, Pan mnie strzeże, czuwa nade mną Bóg, On jest moim cieniem”. Kamień, jaki zrzuciłam z serca, mógłby zatkać Wielki Kanion rzeki Kolorado. W ciągu kilku tygodni przeszłam z pozycji porzuconej, nieudanej kobiety na pozycję umiłowanej córki Ojca.

Było jeszcze coś, co mnie pociągało, przyzywało, a zarazem przerażało swoją bezwzględnością. W ramach wspólnoty Sychar

istnieje znacznie mniejsza Grupa Zawierzenia Miłości. Skupia osoby żyjące samotnie po odejściu współmałżonka, które podpisały deklarację wierności. Oto jej pełny tekst zaczerpnięty ze strony internetowej:

Jako członek Grupy Zawierzenia Miłości podpisuję się pod następującym zobowiązaniem:

Kocham (przynajmniej aktem woli) mojego męża/moją żonę. W głębi serca jestem przekonany o ważności swojego sakramentalnego małżeństwa i pragnę wytrwać w wierności, wywiązując się ze zobowiązań złożonych w przysiędze małżeńskiej. Ufam, że tylko z Bożą pomocą przy aktywnej współpracy z łaską wypływającą z mocy sakramentu małżeństwa (przymierza z Bogiem), zarówno moje, jak i inne sakramentalne małżeństwa mają szansę być uzdrowione, a w przypadku zdrowych związków – wzajemne relacje małżeńskie pogłębiane i udoskonalane. W związku z powyższym, deklaruję, że:

- W każdej sytuacji jestem otwarty na pojednanie ze współmałżonkiem i jego powrót (w przypadku opuszczenia), przebacząc mu chociażby aktem woli i prosząc o przebaczenie.

- Nie jestem zainteresowany/-a występowaniem do Sądu Cywilnego z pozwem o rozwód. W sytuacji, kiedy zostaną wezwany przed Sąd Cywilny bądź Sąd Biskupi z wniosku współmałżonka, stawię się i będę świadczył o prawdzie, o swojej miłości i wierności do współmałżonka.

- W sytuacji, gdyby współmałżonek sam wystąpił do Sądu Cywilnego z pozwem o rozwód, nie wyrażę zgody na rozwód, a jedynie w skrajnych uzasadnionych przypadkach mógłbym/mogłabym wystąpić, bądź wyrazić zgodę na separację.

- Nie będę używał/-a zwrotów „mój były mąż”, „moja była żona”, które zakłamują prawdę o małżeństwie sakramentalnym i mogą ranić innych małżonków, w tym przede wszystkim samego Pana Jezusa.

- Będę się wyrażał/-a z szacunkiem i życzliwością o moim sakramentalnym współmałżonku.

- Zobowiązuję się nosić na palcu poświęconą ślubną obrączkę.

Mam świadomość, że w każdej chwili mogę wystąpić z Grupy Zawierzenia, gdyby okazało się, że w jakimś czasie nie mogę się wywiązać z któregoś punktu tej deklaracji.

Sam fakt pojawienia się małżonków na liście Grupy Zawierzenia jest ogromnym świadectwem miłości i wierności małżeńskiej dla świata i przykładem, jaką drogą mogą małżonkowie przeżywający kryzys kroczyć w dzisiejszym (jakże zagubionym) świecie. Tylko precyzyjne opowiedzenie się po stronie wierności we wszystkich aspektach życia małżeńskiego może ich z Bożą pomocą uchronić przed atakami złego ducha, któremu najbardziej zależy, by rozbić każde sakramentalne małżeństwo, aby Grupa Zawierzenia w tak jednoznacznym kształcie nie istniała (i nie rozrastała się). Sam fakt istnienia tak precyzyjnie zadeklarowanej grupy – samej tylko obecności w niej członków – stanowi ogromną pomoc dla wszystkich małżeństw przeżywających kryzys, jest wielkim świadectwem i wsparciem, które otwiera małżonkom perspektywę nadziei na uzdrowienie związku. Pokazuje im, że w każdej trudnej sytuacji kryzysowej możliwe jest tu i teraz potwierdzenie przysięgi małżeńskiej (nieustanne jej aktualizowanie) – potwierdzenie swojej wierności Bogu i człowiekowi (współmałżonkowi) na „dobre i na złe”.

Ojciec Święty Jan Paweł II w swoim nauczaniu bardzo często powtarzał, że „dzisiejszy świat bardziej potrzebuje świadków niż nauczycieli”.

Chodziłam wokół tej deklaracji jak kot wokół jeża. Nie wiedziałam jak dotknąć, aby się nie pokłuć. Dłuższy celibat wydawał mi się nieporozumieniem. Życzliwe wyrażanie się o mężu było nie do wyobrażenia! Mówiłam sobie: „To nie dla mnie, taka radykalna nie potrafię być”. Czułam odpowiedź Jezusa na te rozterki: „Bądź zimna lub gorąca, nie bądź letnia w swojej wierze”. Czułam niedostrzegalny doping: idź na całość – dla Królestwa Bożego!

Zaczęłam się już maj, a ja walczyłam na kilku frontach. Nie mogłam się powstrzymać, by nie donosić koleżankom z pracy

o „postępach” w sprawie. Wtedy ich irytacja na czyny ojca moich dzieci sprawiała mi marną, chwilową satysfakcję. Pracowałam nad milczeniem, ale szło mi kiepsko. Mój mąż koniecznie, choć nie wiem, na ile świadomie, chciał wciągnąć mnie z powrotem do tej metaforycznej piaskownicy, gdzie wyrwaliśmy sobie foremki i okładaliśmy się łopatkami. Pokusa, aby jakoś zareagować, aby znów użyć grubej amunicji, wykopać topór wojenny albo chociaż zamęczyć bezowocnym jazgotaniem w ramach zemsty, była wciąż silna. Opierałam się. Jeśli można mieć siniaki od walki duchowej, to ja byłam cała fioletowa. W którymś gorszym momencie, związanym z sytuacją materialną, pani Barbara napisała mi w mailu:

W tak dramatycznych chwilach, sytuacjach zdawałoby się już przegranych, bez żadnej nadziei, wydaje się, że Bóg nie reaguje, albo że Go w ogóle nie ma. Wtedy On przychodzi na minutę przed rozwiązaniem sprawy. Pamiętasz, jak Abraham szedł na górę Moria, żeby zabić syna, którego Bóg zażądał i tam wtedy okazało się, że jest przygotowany baranek na ofiarę, a nie jego syn Izaak? Można wyobrazić sobie, co czuł, prowadząc chłopca. Wszystko wskazywało na to, że będzie musiał oddać tego jedyne go syna, a więc przeżywał i ból, i rozpacz, i strach, i myśli, że to wszystko o Bogu to tylko iluzja, że niemożliwe, żeby prawdziwy Bóg tego chciał. Tak, jak Abraham uczył się zaufania w najtrudniejszej sytuacji, tak i my uczymy się zaufania w realnie bardzo trudnych momentach, tzw. sytuacjach bez wyjścia. Bo na zaufaniu opiera się cała wiara w Boga. Aniu, nie daj sobie wyrwać nadziei, bo „nadzieja zawieść nie może”. To jest walka na śmierć i życie. Ale Jezus już tę walkę wygrał, a to, co my przeżywamy, to tylko dla wzmocnienia.

Te duchowe ataki następowały z wielką precyzją. Jakby je ktoś planował. Kiedy zdarzało mi się coś dobrego – udało mi się dać świadectwo znajomym, podzielić się moim odkryciem z kimś innym poszukującym, czy świadomie lub nieświadomie skłonić jakąś parę małżeńską do ważnej rozmowy, wtedy odczuwałam na

własnej skórze podwójną wściekłość i ogarniało mnie zniechęcenie. Przykre wypadki związane z moim mężem uwielbiały zdarzać się w jakieś rocznice, urodziny, imieniny czy Dzień Matki. Ale jeśli chrześcijanin rozpozna, kto za tym stoi oraz do kogo się uciekać, ratunek jest bliski. John i Stasi Eldredge w książce *Miłość i wojna* tłumaczą: twój małżonek nie jest twoim wrogiem. Za to macie wspólnego wroga, który nienawidzi waszego małżeńskiego przymierza. *Diabolo* z greckiego to znaczy m.in. ‘rozdzielać’.

Na Sycharowym forum i na innych katolickich stronach, na jakie teraz zaglądałam, spotkałam się z nową dla mnie formą modlitwy różańcowej – z Nowenną Pompejańską. Ją też na początku obchodziłam ostrożnie i z dystansem. Była zdecydowanie zbyt czasochłonna jak dla zapracowanej, samotnej matki trójki dzieci.

Nowenna Pompejańska trwa 54 dni, podczas których codziennie odmawia się dawne trzy części Różańca Świętego. Można też odmawiać cztery części – z tajemnicami światła. Przed rozpoczęciem każdej części trzeba dodać: „Ten Różaniec odmawiam na Twoją cześć, Królowo Różańca Świętego” – i tu wypowiedzieć intencję modlitewną. Każdą z części kończy się trzykrotnym wezwaniem: „Królowo Różańca Świętego – módl się za nami”. Przez 27 dni odmawia się część błagalną nowenny i codziennie na zakończenie dołączoną modlitwę:

„Pomnij, o miłosierna Panno Różańcowa z Pompei, jako nigdy nie słyszano, aby ktokolwiek z Twoich czcicieli, z różańcem Twoim pomocy wzywający, miał być przez Ciebie opuszczony. Nie gardź prośbą moją, o Matko Słowa Przedwiecznego, ale przez święty Twój Różaniec i przez upodobanie, jakie okazujesz dla Twej świątyni w Pompei, wysłuchaj mnie dobrotliwie. Amen.”

Przez kolejnych 27 dni odmawia się część dziękczynną, podczas której na zakończenie dodaje się modlitwę:

„Cóż Ci mogę dać, o Królowo pełna miłości? Moje całe życie poświęcam Tobie – ile mi sił starczy, będę rozszerzać cześć Twoją, o Dziewico Różańca Świętego z Pompei, bo gdy Twej pomocy wezwałem, nawiedziła mnie łaska Boża. Wszędzie będę opowiadać o miłosierdziu, które mi wyświadczyłaś; o ile zdołam, będę rozszerzać nabożeństwo do Różańca Świętego; wszystkim głosić będę, jak dobrotliwie obeszłaś się ze mną, aby i niegodni, tak jak i ja grzesznicy, z zaufaniem do Ciebie się udawali. O, gdyby cały świat wiedział, jak jesteś dobra, jaką masz litość nad cierpiącymi, wszystkie stworzenia uciekałyby się do Ciebie. Amen.”

To był dla mnie na pozór zbyt ambitny program. Jednocześnie nieprawdopodobną ilość czasu na dobę pochłaniały mnie i rozpraszały rozmyślenia o nieciekawej sytuacji, o niewiadomej przyszłości, setne i tysięczne analizowanie już wypowiedzianych słów i słów, które „powinny” zostać wypowiedziane. Ten bałagan w myślach czasem burzył świeży i wąty jeszcze pokój, który miał we mnie panować. Modliłam się: „Panie, zabierz ode mnie tę gonitwę myśli, bo mnie to bardzo męczy i rozprasza”. I kilka razy nasuwała się poprzez różne znaki odpowiedź: „Odmawiaj Nowennę Pompejańską”.

Zaczęłam 5 maja z perspektywą zakończenia 27 czerwca. Nie było łatwo. Już drugiego wieczoru zasnęłam przed końcem, a o trzeciej w nocy obudziła mnie burza z piorunami za oknem, która pozwoliła mi skończyć modlitwę. Potem niejedną raz zasypiałam w połowie z różańcem w ręku i bezwiednie budziłam się w nocy, aby go dokończyć. Mimo wszystko to było sto pięćdziesiąt „Zdrowaś Maryjo” dziennie. Stopniowo uczyłam się tak skupiać, że mogłam odmawiać różaniec w drodze do sklepu, w tramwaju, prasując czy pilnując dzieci w ogrodzie. Do tego jeszcze potrzebowałam innych form modlitwy i znajdowałam na nie czas. Tak mocno mi zależało, aby trzymać się blisko! Pomyśleć, że w tym

„poprzednim życiu” czasem nie miałam wolnej chwili, aby przeżegnać się przed zaśnieciem!

W tym okresie rozpaczliwie poszukiwałam nowej pracy na etat – od września synek miał rozpocząć przedszkole. Wraz z upływem dni nowenny szukałam jej w mniejszym napięciu, a ze znacznie większą ufnością. Bóg mi mówił, osobiście i poprzez otaczających mnie ludzi: – Oddaj mi to, Ja nie dam ci zginąć.

Dlaczego człowiekowi tak trudno wypuścić z rąk kontrolę nad własnym życiem i powierzyć ją Komuś Wszchemogącemu? Dlaczego boimy się zaufać Temu, który wie lepiej, co nas doprowadzi do Szczęścia? Negocjujemy warunki tego zaufania: „Panie Boże, weź mnie całego, ALE... w tym i w tym punkcie chciałbym sam kontrolować sytuację i podejmować decyzje”. Albo: „Jezu, jesteś moim Panem, ALE... pozostaw mi władzę nad tym i nad tamtym”. Nie wystarczy oddać panowanie Jemu raz na zawsze. Codziennie trzeba to robić na nowo. Aż się przyzwyczaimy i będziemy ufać odruchowo. Jak biblijna Zuzanna, która wiedziona na śmierć z powodu fałszywego oskarżenia o cudzołóstwo, *plącząc spoglądała ku niebu, bo serce jej było pełne ufności w Panu* (Dn 13,35). A wtedy On może działać.

1 czerwca zmieniałam część błagalną nowenny na dziękczynną. Zastanawiałam się właśnie, za co mam dziękować, co jest najlepszego z tych dobrych zdarzeń, jakie mnie spotkały w ostatnim czasie, by móc za to podziękować? I w tej chwili zadzwonił telefon. Chodziło o ofertę pracy w szkole córki! Dokładnie takiej pracy, jakiej potrzebowałam, w pobliżu domu. Dostałam cudowny prezent od Matki z Nieba na Dzień Dziecka! Sprawdziło się to, co czytałam o tej wymagającej nowennie – że odmawiana z wiarą zawsze działa.

No i jeszcze sprawa deklaracji nie dawała mi spokoju. Bałam się, a jednocześnie czułam dreszcz radości na myśl o dołączeniu

do Grupy Zawierzenia Miłości. Pan Bóg chciał mnie tam widzieć. A Jemu się nie odmawia. 10 maja wydrukowałam i podpisałam deklarację wierności. Miałam uczucie, jakbym podpisywała akt zgonu starego człowieka we mnie i jednocześnie akt urodzenia nowego.

Albowiem nie dał nam Bóg ducha bojaźni, ale mocy i miłości, i trzeźwego myślenia.

(2 Tm 1,7)

ROZDZIAŁ VI

Będzie to dla was sposobność do składania świadectwa

(Łk 21,13)

Szperałam wciąż po forum naszej wspólnoty i odnajdywałam nowe, niesamowite świadectwa działania Bożego w różnych krańcowych sytuacjach. Niektórymi z tych świadectw WTM Sychar pragnie podzielić się ze wszystkimi potrzebującymi.

Agata:

Jestem mężatką od 7 lat. Od 4 lat w separacji nieformalnej. Mąż żyje z inną kobietą, razem mają dwuletniego chłopczyka.

Kryzys małżeński rozpoczął się już rok po ślubie. Czułam, że mój mąż oddala się ode mnie psychicznie i fizycznie, ale nie zdałam sobie sprawy z wagi problemu, z tego, że może przerodzić się to w poważny kryzys i być początkiem końca. Jako młoda żona, ufna i kochająca, myślałam, że wszystko samo się rozwiąże i ułoży, że to tylko chwilowe trudności. Bo jak przecież może się coś nie udać dwojgu ludziom, którzy bardzo się kochają, wchodzą w nowe życie, wyruszają razem w przepiękną podróż, zaczynają przygodę swojego życia, jaką jest małżeństwo? Myślałam, że miłość wszystko może, wszystko przetrzyma, że razem będziemy uczyć się życia, że razem będziemy dojrzewać w małżeństwie na dobre i na złe, że razem pokonamy każdą burzę i każdą zawieruchę. Patrzyłam

na świat przez różowe okulary, bujałam w obłokach, zapatrzona w męża, zakochana, bardzo szczęśliwa... I to mnie zgubiło! Jak się okazało chęci, marzenia, wizje, wyobrażenia, oczekiwania, to jeszcze za mało. Same w sobie nie mają one siły sprawczej.

Czas płynął, a nasze relacje nie ulegały poprawie, było wręcz coraz gorzej. Zaczęłam podejmować różne działania – próby rozmowy z mężem, porady znajomych, psychologów. Brak efektów moich starań oraz bierność i obojętność mojego męża zaczęły wzbudzać we mnie coraz większą burzę emocjonalną – od smutku i niepokoju po frustrację, a w efekcie agresję. Nie potrafiłam panować nad swoimi emocjami, często wybuchałam, gdzieś się gubiłam w tym wszystkim. Czułam się samotna i niekochana, nie umiałam sobie pomóc, a tym samym nie mogłam pomóc mojemu mężowi. Dużo pracowałam, myślałam, że pozycja, dobra praca, wyższe zarobki pomogą nam osiągnąć pełnię szczęścia. To był wielki błąd. Brak wspólnych rozmów oddalał nas od siebie. Nie wiedziałam, że tak zaczyna się kryzys, który wymaga dobrej diagnozy i odpowiedniego, szybkiego leczenia. Wszystkiego zabrakło.

Ile bym dała, żeby cofnąć czas! Gdybym miała wtedy tę świadomość i dojrzałość, jaką mam teraz, może uniknęlibyśmy tych wszystkich zranień, bólu i cierpienia. Ale z drugiej strony, po jakimś czasie zrozumiałam, że wszystko jest po coś. Przestałam nieustannie zadawać sobie pytania: Dlaczego mnie to spotkało? Dlaczego mój mąż mnie zdradził? Dlaczego mnie już nie kocha? Dlaczego nie umiałam być inna? Itd... Wszystko jest po coś! Kryzys też może być potrzebny. Kryzys też może być szansą. Kryzys bywa łaską. Często w kryzysie rodzi się nowy człowiek. I tak było ze mną. Kryzys w moim małżeństwie rozpoczął moją drogę nawrócenia. Kroczek po kroczku ucę się żyć na nowo, poznawać i odkrywać siebie. Kiedy zostałam sama, byłam bardzo poraniona, pełna żalu i goryczy, poczucia skrzywdzenia, poczucia winy, poczucia straty. Czułam bunt, brak akceptacji, niezgodę na to wszystko, co mnie spotkało. A także straszną bezsilność i bezradność. Po omacku szukałam ulgi w cierpieniu, niejednokrotnie jeszcze bardziej się raniąc. Zaczęłam się modlić, prosić Pana Boga o pomoc. Trafiłam przypadkiem do księdza

Jana Paługi, a on zaproponował mi program „Wreszcie żyć – 12 kroków ku pełni życia” i wspólnotę Sychar. Tak się zaczęła przygoda z Panem Bogiem. Teraz już wiem, że On mnie poprowadził, On mi wskazał drogę. Nie ma przypadków, wszystko jest po coś! Praca z programem „12 kroków” przemieniła moje życie. Ta duchowa podróż uwolniła mnie, dała energię, radość i miłość. Uwierzyłam, że ja sama nic nie mogę i że tylko Pan Bóg może mi pomóc. Jemu powierzyłam swoją wolę i swoje życie. Stałam wobec nagiej prawdy o sobie. Zrozumiałam wszystkie mechanizmy mojego działania w małżeństwie. Te wszystkie nieuświadomione, nieprzepracowane emocje z dzieciństwa, ten bagaż doświadczeń, z którym wchodzimy w dorosłe życie. Jakieś własne zranienia, które odzywają się w nas, ozywają przy okazji różnych trudnych zdarzeń, raniąc, mimo że tego nie chcemy. Zobaczyłam swoje niedoskonałości i swoje grzechy. Zrozumiałam, że ja skrzywdziłam swojego męża brakiem czasu, rozmowy, zrozumienia, akceptacji jego inności i wolności. Moja miłość była zaborcza i egoistyczna, uwiesiłam się na nim, stał się dla mnie bożkiem, w nim pokładałam całą nadzieję – zamiast pokładać ją w Panu Bogu. Obwinałam męża za wszystko. To stanięcie w prawdzie, wyznanie jej Bogu, sobie i drugiemu człowiekowi uzdatniło mnie do bycia gotowym do przemiany, do zadośćuczynienia i wybaczenia. Konfrontacja z własnym grzechem i uznanie swojej słabości czynią nas gotowymi do dawania świadectwa. Przebudzeni duchowo chcemy nieść posłanie innym ludziom. Nadal jestem sama, moja sytuacja w małżeństwie się nie zmieniła, ale ja się zmieniłam! Teraz już wiem, że wszelkie zmiany zawsze trzeba zaczynać od siebie. Mam pracować nad sobą. Jeśli będę zmieniać siebie, inni zaczną się też zmieniać wobec mnie.

Wierzę w to, że każde sakramentalne małżeństwo jest do uratowania. Zawsze kochałam swojego męża, Kocham i będę kochać go mimo wszystko. Teraz wiem, czym jest miłość. To nie uczucie, nie zakochanie, ale zobowiązanie i trwanie. Nie wiem, co będzie w przyszłości, jak potoczy się dalej moja historia. Modlę się każdego dnia o rozeznanie, o akceptację woli Bożej oraz siłę do jej wypełniania. Uczę się przyjmować i akceptować przeszłość, nie

wybiegać w przyszłość i przyjmować to, co się wydarza w moim życiu tu i teraz. Wiara przed niczym nie chroni, a więc nie mogę być pewna, że nie będzie przeciwności, ale pomaga ona przebrnąć przez każdą trudność. Wiara to nadzieja wbrew nadziei. Wszystko oddaję Panu Bogu, od Niego uczę się miłości i od Niego ją czerpię, od Niego uczę się, jak wybaczać mimo wszystko.

Marek:

Urodziłem się w katolickiej rodzinie, gdzie wyznawanie wiary było wprawdzie sprawą oczywistą, ale nie była to, jak dziś określam, prawdziwie żywa wiara, lata epoki socjalizmu robiły swoje. Do czasu zawarcia sakramentu małżeństwa żyłem jak zwykły młody człowiek, uczęszczający wprawdzie na niedzielną Eucharystię, ale stosujący antykoncepcję i z lekceważeniem traktujący wszelkie osoby nieco bardziej zaangażowane w ruchy katolickie. Wielką wagę miały dla mnie wartości materialne. W takim stanie wchodziłem w małżeństwo, nieświadom Bożej w nim roli. Jak później się okazało, już w dniu złożenia naszej małżeńskiej przysięgi otrzymałem nieprzebrane morze łask i cudowną żonę Barbarę. Pomimo tego, że wnieśliśmy w nasze małżeństwo wiele złych nawyków, Bóg ciągle nam błogosławił, wybudowaliśmy dom, otrzymaliśmy w darze córkę Wiktorię. Pomimo tych jasnych znaków działania Bożego w naszym życiu, ciągle mi czegoś brakowało. Czułem ciągle niedosyt i chęć pogoni za uznaniem ludzi, awansem w pracy, dobrami materialnymi. Tak rozpoczął się u mnie proces powolnego schodzenia na dno. W nasze małżeństwo wkradał się grzech, najpierw ukradkiem – drobne niedomówienia i nieuczciwość, potem – pornografia i cudzołóstwo. Kiedy ja się staczałem, zakłamanym przed żoną, światem i samym sobą, moja Basia próbowała trwać w wierności, modląc się o zwycięstwo prawdy. W chwili, gdy już osiągnąłem dno pomiędzy jednym upojeniem alkoholowym a drugim, pomiędzy agencją towarzyską a kolejną kochanką, nastąpił przełom. Moja żona otrzymała to, o co prosiła: prawdę o mnie. I prawda ta przerosła jej siły. Barbara utraciła wiarę w jedność naszego małżeństwa – ale Bóg dał również i inne dary, abyśmy byli jedno. Wtedy bowiem

stało się coś, czego się nie spodziewałem: otrzymałem łaskę nawrócenia. Warto podkreślić, że wraz z moją żoną modliła się cała rodzina i wielu znajomych, sam do dziś nie wiem, ilu ludzi prosiło o potrzebne nam łaski. W Rychwałdzie koło Żywca, u stóp Maryi, latem 2006 roku poprosiłem o sakrament pokuty i pojednania. To była pierwsza prawdziwa spowiedź od lat. Otrzymałem nowe życie. Bóg postawił na mojej drodze o. Bogdana, który prowadził mnie do światła i pomagał stawiać pierwsze kroki na nowo obranej drodze. Zgodnie z jego wskazówkami postanowiłem poszukać grupy wsparcia. Spróbowałem Domowego Kościoła, ale to nie była moja droga, potem, znowu za przyczyną żony, znalazłem Wspólnotę Trudnych Małżeństw Sychar. Najpierw nasz kontakt był wirtualny, jednak pragnienie bycia w żywej wspólnotie sprowadziło mnie do Warszawy, na ul. Skaryszewską 12. A tam spotkanie u ks. Jana, rekolekcje wspólnotowe, wspólne wakacje z naszymi pociechami, aż w końcu Ognisko Wiernej Miłości Małżeńskiej w Żorach na Śląsku, gdzie mieszkam. Ta droga ze wspólnotą Sychar okazała się przygotowaniem do kolejnej próby. Jak wcześniej wspomniałem, moja żona utraciła wiarę w sens i trwałość naszego małżeństwa, dlatego po tym wszystkim przez pewien czas nie mieszkaliśmy razem. Postanowiłem oddać to Bogu. Sprowadziłem żonę do domu i poprosiłem o jeden rok szansy. Z tej próby nie zdałem egzaminu, bo chociaż byłem wierny, chociaż rzuciłem dawne nałogi, to nadal w wielu dziedzinach nie domagałem. Poza tym, skrzywdzenie, jakiego doznała moja żona, pozostawiło zbyt głębokie rany, aby je w rok zablźnić. Po roku tej próby musiałem opuścić dom, zgodnie z umową zostawiając wszystko, i dając mojej żonie „wolność”. Wiedziałem, że to nie koniec, że muszę po ludzku zrobić wszystko, aby naprawić nasze relacje. Aby nadal mieć kontakt z żoną i córką, poprosiłem o schronienie moją teściową. To był początek kolejnego doświadczenia. Poznałem matkę mojej żony z zupełnie innej strony – przyznam, że wcześniej nie miałem o niej szczególnie dobrego zdania. Teraz poznałem ją od kuchni, taką na co dzień, z różańcem w dłoni każdego dnia o 6.00 rano. Zobaczyłem, że kocha i swoją córkę, i mnie, jej marnotrawnego męża. Tak znalazłem w mojej

teściowej oparciu. Wróciłem do domu pomimo sprzeciwów mojej żony, po dwóch tygodniach dowiedziałem się o pozwie rozwodowym, ale miałem już Sychar i nie załamywałem rąk. Nie zgodziłem się na rozwód, chociaż pani sędzia nie chciała słuchać moich argumentów, zwłaszcza deklaracji o moich przekonaniach religijnych. Po mojej trzeciej stanowczej prośbie zostało to jednak zaprotokółowane. Pomiędzy pierwszą a drugą rozprawą przeżywaliśmy naszą 10. rocznicę ślubu. Postanowiłem obejść ją uroczyście, z Eucharystią w intencji naszego małżeństwa, zaprosiłem pełen dom gości. Nie wiem do dziś, jak spędziła ten dzień moja żona, ale od tamtej pory każdą naszą rocznicę ślubu przeżywamy w sposób uroczysty. Na drugiej rozprawie rozwodowej sąd oddalił pozew. Nawet serce twardej pani sędzi mięknie pod wpływem modlitwy. Zamieszkaliśmy razem, żona nie odwołała się od tej decyzji i nasze życie nieco się uspokoiło. Wspólne mieszkanie, wspólne obiady, wakacje, odwiedzanie znajomych i rodziny. Brakowało jeszcze wiele, abyśmy byli jedno, ale zrobiliśmy ogromny postęp. Kolejny wyjazd wakacyjny połączyłem z pielgrzymką do Matki, tym razem w Medjugorje, gdzie prosiłem o kolejne łaski dla nas.

Dziś wspólnie przeżywamy zjednoczenie w Eucharystii z Chrystusem, wspólnie wychowujemy naszą córkę, wspólnie pracujemy na nasze utrzymanie i prowadzimy dom, wspólnie dzielimy łoża małżeńskie – i razem z Jezusem planujemy naszą przyszłość.

Marzena:

W związku sakramentalnym jestem od osiemnastu lat. Mamy czwórkę dzieci. Od ośmiu lat wychowuję je sama. Obecnie jestem po jednostronnym rozwodzie cywilnym, tzn. bez mojej zgody. Mąż żyje w niesakramentalnym związku z inną kobietą, z którą ma dwójkę dzieci. Po orzeczonym rozwodzie cywilnym zastanawiałam się, jak ma wyglądać życie moje i naszych dzieci? W roku 2006 znalazłam Wspólnotę Trudnych Małżeństw Sychar, której celem jest dążenie małżonków do uzdrowienia sakramentalnego małżeństwa. Modłę się o to i czekam na powrót męża. Pragnę być wierna Bogu i swojemu mężowi. Pomimo trudu, jakiego doświadczam, wiem, że

nie jestem sama. Jest blisko mnie Jezus, którego miłość i opiekę odczuwam każdego dnia. Długo stawiałam sobie jednak trzy pytania. Po pierwsze, czy mój ukochany mąż ma moralne prawo usprawiedliwiać swoje pozostawanie w niesakramentalnym związku wpływem na wychowanie zrodzonych w nim dzieci? Po drugie, czy dzieci w niesakramentalnym związku męża są przeszkodą, żebyśmy mogli się ze sobą pojednać i do siebie wrócić? Po trzecie, jakie jest zdanie Kościoła Katolickiego w tej konkretnej sytuacji?

O. prof. Jacek Salij, dominikanin, do którego zwróciłam się z tymi pytaniami, tak na nie odpowiedział w artykule „Łaska sakramentu po rozwodzie” opublikowanym w miesięczniku „W drodze”, nr 9/2011:

«Żeby sobie utrudnić odpowiedź, pytanie pierwsze przeformułujmy następująco: Czy w przypadku, kiedy małżeństwo sakramentalne jest bezdzietne, współmałżonek (mąż albo żona) mający nieślubne dziecko ma moralne prawo, ze względu na dobro dziecka, pozostać w związku niesakramentalnym z jego współrodzicem? Otóż nie ma takiego prawa. Bo nie godzi się osoby, której ślubowało się dożgonną miłością, porzucać tak, jakby była już tylko jakąś niepotrzebną rzeczą.

Ale nieślubne dziecko też jest osobą! I to szczególnie bezbronną i potrzebującą opieki! Oczywiście. Jednak nie powinno się nigdy zdradzać współmałżonka, nie powinno się mieć nieślubnych dzieci. Owszem, ponieważ to dziecko jednak już jest, rozumie się samo przez się, że powinno się je przyjąć z miłością. Czy jednak okazywanie miłości dziecku poprzez jeszcze głębsze podeptanie miłości małżeńskiej, jaką się ślubowało, jest właściwym sposobem okazywania mu miłości? Wypowiedzi publikowane na stronach Wspólnoty Trudnych Małżeństw Sychar pełne są rzetelnych poszukiwań takiej miłości okazywanej dziecku nieślubnemu, która daje się pogodzić z odbudową sakramentalnego małżeństwa jego ojca lub matki.

Co do pytania trzeciego, wydaje się, że ani nie jest to pytanie retoryczne, ani też nie jest ono niesłusznym przypicianiem się do Kościoła. Swoją oficjalną naukę na ten

temat Kościół głosi bez wykrętów i bez rozmiękczenia – jak chociażby w wypowiedzi Katechizmu Kościoła Katolickiego. Wydaje się jednak, że również gorący katolicy – a nawet ci księża, którzy pragną ściśle trzymać się nauki Kościoła – niekiedy ulegają, zazwyczaj bezwiednie, duchowi tego świata i nie mają odwagi podtrzymywać nadziei na odbudowanie sakramentalnego małżeństwa w sytuacjach szczególnie beznadziejnych.»

Ela:

To było tak: ja myślałam, że jestem najlepszą żoną na świecie, a mój mąż, nie wiedząc czemu, ciągle był ze mnie niezadowolony! Pewnie wariat! No i z tego mojego bycia najlepszą mąż poszedł sobie do innej kobiety... Wtedy zrozumiałam, jak bardzo go kocham, jak bardzo chcę z nim być mimo wszystko. Zaczęłam szukać pomocy. Nikt świecki nie dał mi pokoju serca, słowa: – Zostaw drania! – wcale mnie nie wyciszały. Znalazłam pomoc w ośrodkach katolickich. Tu ze szczegółami opowiadałam, jaki to mój mąż zły, a jaka ja dobra i cudowna... Aż w końcu ksiądz, po uważnym wysłuchaniu tych moich rewelacji, skomentował:

– No tak... To ja nie dziwię się pani mężowi, że od pani uciekł!

Poszarpało mnie jak prądem elektrycznym. Jak on śmiał?! A jednocześnie to jedno zdanie w sekundę postawiło mnie na baczność. Tymczasem ksiądz mówił dalej:

– Jeśli pani tak mocno go kocha, proszę się zmienić dla niego, zacząć słuchać, co do pani mówi. Może warto być jak ta druga kobieta, zastanowić się, co ona ma, czego pani brak?

O rany! Widząc jak zapadam się w siebie dodał pocieszająco:

– Spokojnie, proszę pani, wszystko da się naprawić!

Najpierw przemiana siebie, potem oddanie Bogu i bezgraniczna ufność w Jego plan. Zaczęły się prośby i błagania do Pana:

– Pomóż, ulżyj w bólu, prowadź! Po jakimś czasie odkryłam starą prawdę, że kiedy ja się zmieniłam, wszystko wokół mnie też się zmieniło. Lubię się modlić. Przez rok wyrobiłam sobie taki nawyk, że zanim wstanę z łóżka, najpierw się modlę. Lubię te ranki – cisza w domu i tylko ja i Bóg... To cudowne chwile! Rozmawiamy sobie.

Mam teraz wielką ochotę na czytanie życiorysów i dzieł świętych. Kocham Małą Tereskę od Dzieciątka Jezus, to ona nauczyła mnie oddawać wszystko Bogu i Jemu ufać!

W czasie wakacji w 2005 roku mąż już z nami znowu mieszkał, wrócił w kwietniu, po dwóch miesiącach mieszkania z inną kobietą, ale ten powrót był dziwny, ciągle gdzieś tam była ta kobieta. Kontaktowali się ze sobą, spotykali i wyjeżdżali razem. A ja czytałam książki zalecone mi przez księdza, próbowałam zrozumieć i wcielać w życie zawarte w nich prawdy. Modliłam się o przemianę mojego serca, o spokój i szczęście dla męża, modliłam się za dzieci i za naszą rodzinę. 15 grudnia 2005 roku po raz kolejny dowiedziałam się o kontaktach męża z tą kobietą. Nie szukałam, to przychodziło samo. Poczułam, że nie dam rady, że to kres mojej wytrzymałości. I właśnie wtedy Bóg dał mi niesamowitą łaskę: wreszcie przyszło zrozumienie. Zrozumiałam cierpienie mojego męża i powiedziałam mu to. Powiedziałam też, jak bardzo go kocham i pragnę, aby był szczęśliwy. Wszystko to wyznałam z wielkim spokojem w sercu (naprawdę tak było!). Jednocześnie zdecydowanie i kategorycznie oświadczyłam, że nie będziemy już razem mieszkali. Mąż się zaniepokoił, bo pracował w domu, organizacja całego biura gdzie indziej, przenoszenie komputerów, wgrzywanie od nowa ważnych dla niego programów, to rzeczywiście był spory problem. Umówiliśmy się więc, że wyprowadzi się do końca roku. Do tego czasu zgodziłam się, żeby zamieszkał w mieszkaniu mojej mamy, piętro niżej. Zapytał, co będzie ze świętami. Byliśmy zaproszeni do Warszawy, do mojej siostry. Nie opowiedziałam rodzinie, jaka u nas panuje sytuacja, bo myślałam, że wszystko się jakoś naprawi. Mąż zgodził się na wyjazd z nami.

Święta Bożego Narodzenia były super! Pierwszy raz w dorosłym życiu nie byłam gospodynią i bez fartuszka, ale elegancko ubrana. Mąż wodził za mną wzrokiem. Byłam dla niego miła i uprzejma, jednak mocno zdystansowana. Chciałam mu udowodnić, że na serio go rozumiem i daję wolność – otworzyłam klatkę. Po świętach wróciliśmy do domu, mąż piętro niżej. Wkrótce zaczął opowiadać, że w mieszkaniu mojej mamy, wdowy (ojciec zmarł półtora roku

wcześniej), dzieją się „dziwne” rzeczy. Jednej nocy, zupełnie niespodziewanie, spadła lampa w dużym pokoju i roztrzaskała się w drobny mak. Lampa ta wisiała jakieś 30 lat, więc, być może, miała prawo spaść. Ale następnej nocy spadła z okna doniczka. Hmm... W nocy z 27 na 28 grudnia, dokładnie o wpół do pierwszej, dostałam od męża SMS-a. Pytał, czy śpię. Odpowiedziałam, że owszem. Za chwilę dostałam drugiego, z prośbą, żebym do niego zeszła. Założyłam szlafrok i po cichu skradałam się po klatce schodowej... Mąż siedział w ubraniu. Oświadczył mi, że boi się być sam w tym mieszkaniu, nie śpi od kilku dni, drzemie w ubraniu na fotelu, przy włączonym telewizorze i czeka do rana, żeby przyjść do domu – czyli do swojej pracy. Nagle zaczął mnie przytulać, dostał jakiegoś słowotoku, przeproszał za krzywdę, jaką mi wyrządził, pytał, czy kiedykolwiek mu to wybaczę... Powiedział, że bardzo mnie kocha i że chce mi opowiedzieć o wszystkim, co działo się w jego życiu przez ostatnie miesiące. Nie chciałam tego słuchać, ale mnie prosił, mówiąc, że chce to z siebie wyrzucić, a nie ma komu tego opowiedzieć. Umiałam już słuchać i nie bolało mnie to już tak bardzo. Następnego dnia mąż był w domu z nami przez cały dzień. To była rocznica śmierci mojej babci, która zawsze powtarzała, że w życiu najważniejsza jest rodzina. Wieczorem przyszła koleżanka i spytała, czy byłam w kościele. Zdziwiłam się, bo to był piątek i odpowiedziałam, że nie. A ona na to, że przecież to Święto Świętej Rodziny! Ona była w kościele i modliła się za moją rodzinę!

Od tego dnia obserwowałam, jak mąż z zawrotną szybkością się zmienia. Jest kochany, cudowny, dbający! Teraz znów jesteśmy za-kochaną parą. Powoli, z niechęcią i ociąganiem, schodzimy na ziemię. Uczymy się rozmawiać, być sami ze sobą (to najtrudniejsze), organizujemy sobie razem wspólny czas (kino, teatr, koncerty, wycieczki, znajomi – nie zamykamy się już w domu, jak wcześniej). Nawet potrafimy się kłócić, nie raniąc się i nie bojąc, że każda kłótnia to koniec. Ja cały czas się modłę, zwykle nad ranem, gdy wszyscy śpią, mąż tego nie komentuje. Często podrzuca ciekawe artykuły o tematyce religijnej, czasami pyta o coś. Dzieci bardzo się zmieniły, wyczuwam w nich większy spokój. Chętnie spędzają z nami czas,

spokojniej wychodzą do swoich rówieśników i zapraszają ich do domu. Są w okresie dojrzewania, więc buntują się przeciw wszystkiemu, także przeciwko Kościołowi. Nie zmuszam ich, tylko ze spokojem pokazuję i świadczę... Być może jutro wydarzy się u mnie kolejny CUD! Oznajmiłam rodzinie, że jutro chciałabym pojechać na Jasną Górę. Mąż nagle, niespodziewanie, odezwał się znad komputera: – Jak się szybko uporam z pracą, to z tobą pojedę.

JESTEM SZCZĘŚLIWA! I każdemu tego życzę!

Mateusz:

Przyznam, że nie jest mi łatwo złożyć to świadectwo. Mam pewne trudności w przekazywaniu werbalnym swoich myśli, nigdy też nie lubiłem pisać, każde zdanie przychodzi mi z trudnością – ale też prawdą jest, że ociągałem się z dodaniem kilku słów od siebie zasadniczo z innych powodów, a mianowicie ze wstydu i jakiegoś nieokreślonego lęku, jak zostanę przyjęty w środowisku, gdzie jest tylu ludzi skrzywdzonych przez takie osoby, jak ja. To ja jestem ten zły, który odszedł od rodziny. To prawda.

Wzięliśmy ślub z miłości, to na pewno. Była to decyzja przemyślana, poprzedzona długim narzeczeństwem, ale z mojej strony na pewno nie była to kwestia duchowa, oparta na relacji z Bogiem. Decyzja o zawarciu małżeństwa wynikała raczej z uczuć do żony, które sprawiły, że zapragnąłem być razem z nią do końca życia. Chodziłem do kościoła i uczestniczyłem w tradycyjnych uroczystościach i świątach, ale brakowało mi głębokiej, osobowej więzi z Bogiem. To raczej żona była bliżej Niego, ja tylko jej towarzyszyłem, można powiedzieć. Kochaliśmy się jednak i było dobrze.

Wkrótce przyszły na świat dzieci i doszły zwykłe obowiązki dnia codziennego. Banalnie to wszystko wygląda, aż mi wstyd, ale tak było. Oddaliliśmy się od siebie z żoną, przy czym muszę przyznać, że ja od początku sobie wymyśliłem, że to jest wyłączna jej wina. Jako stosunkowo młody lekarz nie zarabiam kokosów, wbrew temu, co się powszechnie sądzi o lekarzach, dlatego kiedy na świat przyszły dzieci, musiałem zacząć brać dodatkowe dyżury. Oczywiście to żadne usprawiedliwienie, po prostu podaję kontekst i okoliczności tego, co się później wydarzyło – a podziało się wiele... Z kolei moja

małżonka, również lekarz, z racji licznych obowiązków przy małych dzieciach nie brała dodatkowych dyżurów, więc chociaż pracujemy w jednym szpitalu, widywaliśmy się w pracy coraz rzadziej. Czas spędzany wcześniej na wspólnych obiadach w miejscu pracy i na krótkich rozmowach w czasie przerw był ważnym elementem naszej zażyłości i lubiliśmy to. Teraz zaczęliśmy się mijać. Mniej okazji do wspólnych rozmów spowodowało, że chyba oboje zaczęliśmy traktować rodzinę w sposób nieco mechaniczny. Napełnianie lodówki, płacenie rachunków, kąpiel dzieci, zabawy z nimi, szczepienia, posiłki, pieluchy – wszystko to miało swój rytm i nie było w tym czasie na nas. Z racji, że teraz pracowałem więcej, większość domowych obowiązków spadła na żonę. Nie zauważałem tego, wręcz przeciwnie, uznałem, że skoro ciągle pracuję na utrzymanie rodziny, nie można ode mnie wymagać, żebym się nią jeszcze zajmował. Przecież po dodatkowych dyżurach musiałem odespać chociaż te 5 godzin, żeby móc potem dalej pracować – faktem jest, że mój zawód wymaga szczególnej troski o odpoczynek. Jedyne operacje, jakie wykonywałem czasem przy dzieciach, to kąpiele i czytanie im na dobranoc, ale zazwyczaj nawet o to żona musiała mnie prosić, a czasem wiele razy przypominać. Widziałem, że jest zmęczona, ale odbierałem to w ten sposób, że jesteśmy zmęczeni tak samo, bo przecież ja też. Nie uważałem się za lenia. Coraz częściej się kłóciliśmy, coraz rzadziej byliśmy ze sobą. Nie mogłem zrozumieć szczególnie tego, dlaczego, skoro tak mało przebywamy razem, żona nie chce korzystać z tych rzadkich wspólnych nocy w domu, by pobyć razem jako mąż i żona. Odtrącała mnie. Teraz wiem, dlaczego, ale wtedy czułem się skrzywdzony. Oto pracowałem wiele godzin w tygodniu, a w wolnych chwilach nie mogłem nacieszyć się domem i żoną tak, jak tego chciałem. Było to dla mnie przykre i smutne, bo żona zawsze była i jest nadal dla mnie niesamowicie atrakcyjną kobietą. Gdy dopytywałem się o powody, ona zawsze odpowiadała, że nie czuje się kochana i zadbana przeze mnie. Ja jednak, niestety, zamiast wziąć pod uwagę jej odpowiedzi, traktowałem je jako wymyślone wymówki. Twierdziła, że czuje się samotna, że nie ma czasu dla siebie, że nie ma z kim się podzielić tym, co dzieje się w domu, bo

mało kto chce słuchać, jak cudzemu dziecku wyrzyna się ząbek, jak starsza córka się przeziębila, co zjadła i co powiedziała zabawnego. Przypominam sobie, jak ją zbywałem, kiedy chciała się podzielić tym, co ją spotkało w ciągu dnia – nieprzyjemny pacjent, kłopoty ze zdrowiem córki, jakieś inne sprawy. Machałem na to ręką, uważając, że musi radzić sobie jakoś sama, bo ja nie mam czasu ani siły, żeby się tym zajmować. Nie czułem do żony złości, czy czegoś negatywnego. Miałem wrażenie, że po prostu nie czuję już nic, że jest mi to wszystko obojętne. Miałem dość. Nie chciało mi się wracać do domu, gdzie znowu musiałem coś zrobić, gdzie widziałem swoje zaległości, obiecane sprawy, które zaważyłem... W pracy spełniałem się lepiej. No i, jak to bywa, nagle zjawił się ktoś, kto zauważył, że coraz częściej przesiaduję w pracy...

Była to moja koleżanka, z którą czasem spotykałem się na obchodzie, ale tylko wtedy, kiedy musiała coś konsultować, bo mamy różne specjalizacje i pracujemy na różnych oddziałach. Teraz nagle widywaliśmy się coraz częściej. Od początku zauważyłem, że szuka ze mną kontaktu, słyszałem, że wypytuje o mnie innych kolegów. Nawet dostałem pierwszą reprimendę od starszego kolegi, który ostro ostrzegał mnie, żebym nie łądował się w nic, bo rodzina jest najważniejsza. Już wyczuwał to niebezpieczeństwo, którego ja wtedy jeszcze nie dostrzegałem. Strasznie podobało mi się, że jakaś kobieta o mnie zabiega. Brakowało mi tego uznania ze strony kobiet, dowartościowania się jako facet. Dzisiaj wiem, że to nie kobieta stanowi o męskości mężczyzny, wtedy jednak tak uważałem. Nadal lubiłem żonę, pod wpływem nowej relacji z inną kobietą szybko sobie jednak ubzdurałem, że nasze małżeństwo było zwykłą pomyłką, a dzieci są tej pomyłki efektem.

Od tego momentu wszystko potoczyło się już bardzo szybko. Kiedy pierwszy raz oszukałem żonę, mówiąc, że mam dyżur w szpitalu, a spędziłem ten czas u kochanki, zrozumiałem, że nie mogę żyć na dwa fronty. Dlatego zaraz na drugi dzień powiedziałem żonie, że mam romans, że chyba coś się ze mną dzieje i że muszę przemyśleć parę spraw. Wiedziałem, że sprawiłem jej ból, ale nie było po niej widać żadnych emocji. Dziś wiem, że je ukrywała, wtedy jednak

uznałem, że jestem jej obojętny, skoro nie płacze, nie krzyczy. Cze-kałem na jakiś wybuch emocji, miałem już przygotowane argumenty i bałem się tej rozmowy. Przyznam, że jej opanowanie było pierwszą igielką wątpliwości, czy dobrze robię, ładując się w romans. Nagle przez kilka sekund myślałem, że chyba wcale nie znam mojej żony i zacząłem się trochę obawiać tego, co będzie dalej. Jednak mieszkaliśmy razem, a ja spotykałem się z kochanką. Myślałem wtedy, że jest to miłość mojego życia, którą przez pomyłkę losu poznałem o kilka lat za późno. Po kilkunastu dniach od mojego przyznania się do romansu, żona poprosiła mnie o rozmowę. Powiedziała chłodno, że ponieważ się nie określłam, co dalej zamierzam i ponieważ nadal spotykam się z kochanką, ona nie widzi w tej sytuacji możliwości, abyśmy mieszkali razem. Nie wziąłem tych słów na serio, uznałem je za scenę, która ma zmusić mnie do deklaracji. Kiedy jednak na drugi dzień wróciłem z pracy, zastałem pusty dom i list, w którym żona napisała, że jest z dziećmi u przyjaciół i że nie wróci, dopóki nie zabiorę swoich rzeczy. Prawdę powiedziawszy, nie miałem wtedy za bardzo dokąd iść. Z kochanką niczego jeszcze nie ustalaliśmy, nie było na ten temat rozmowy, był to etap słodkiego gruchania, bez rozmów o przyszłości. Nie wiedząc, co robić, zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że muszę się wyprowadzić. Przyjechała i zabrała mnie i moje rzeczy. Pierwsza noc była straszna. Chodziłem po obcym domu i tęskniłem za dziećmi, za tym spokojem, którego już w sercu nie czułem. Czułem, że stało się coś okropnego, że coś się bezpowrotnie skończyło. Ale byłem na tyle zauroczony kochanką, że nie zrezygnowałem z niej. Zresztą, ona mnie uspokajała, rozta-czała wizje tego, jak moje dzieci będą nas odwiedzać w jej domu – że postawimy im w ogrodzie domek, że będą z nami spędzać wakacje, że to i tamto... Byłem otumaniony. I pogodziłem się z tym, że tak widocznie musi być. Chciałem zostać na stałe z kochanką, a ojcem jestem przecież zawsze i dzieci się nie wyrzekam, więc nie dzieje się nic złego... Teraz, kiedy czytam to, co sam piszę, czuję, jaki byłem głupi, płytki i powierzchowny. Jak gówniarz z liceum, bez żadnych zasad i wartości. No cóż, wtedy uważałem, że robię to dla „miłości”. O żonie jakoś nie myślałem, chcąc zepchnąć z siebie

odpowiedzialność i zagłuszyć sumienie, wbijałem sobie do głowy, że przecież ona też pewnie źle się czuła w małżeństwie. Szybko się to podziało, ale widocznie tak musiało być, „przeznaczenie” i inne głupoty... Skóra stwardniała mi do tego stopnia, że zaproponowałem żonie, aby sprzedać nasze wspólne mieszkanie i podzielić pieniądze na dwoje. Moja prawniczka wybijała mi to z głowy, ale kochanka namawiała, bym zainwestował w jej dom po rodzicach, który, jeśli nie będziemy mieli wspólnych dzieci, przepisze kiedyś na moje. Byłem naiwny, co zrobić. Każdą taką propozycję, która miała na celu pozorne dobro moje i moich dzieci, a w istocie po drodze tratowała uczucia innych, uważałem za objaw wyjątkowej dobroci i szlachetności. Tak szatan potrafi człowieka zakreść.

Wkrótce wsiąknę w swoje nowe życie. Było totalnie inaczej. Nie będę tu pisał szczegółów, bo wiem, że przeczyta to moja żona i nie chcę, by poczuła się niekomfortowo, zwłaszcza, że przecież tamten związek nie ma już dla mnie żadnego znaczenia. Przyznam, że nowe życie było wtedy bardzo pociągające, taki nowy związek na emocjonalnych dopalaczach – a jednak z drugiej strony było to bardzo bolesne. Do tęsknoty za dziećmi dołączył wkrótce ostracyzm wśród bliskich i znajomych, którzy – poza nielicznymi wyjątkami – totalnie mnie potępili i odwrócili się ode mnie. To, że opuściłem żonę z małymi dziećmi, sprawiło, że wielu ludzi się mną rozczarowało, łącznie z moimi rodzicami, którzy jasno zapowiedzieli, że moja kochanka nie ma wstępu do ich domu. Trochę się tym przejmowałem, a trochę nie – ostatecznie czas mijał i ludzie się przyzwyczajali. Tymczasem w moich relacjach z tą kobietą było sielsko, i to do tego stopnia, że wkrótce postanowiliśmy mieć wspólne dziecko. Ono miało być potwierdzeniem tego, że nasz związek jest prawdziwy i dojrzały.

Nie będę tu opisywał szczegółów tamtego okresu naszego życia, było bogate w wydarzenia – sprawy sądowe, majątkowe, sprawy związane z dziećmi... Dzieci nadal bardzo się dla mnie liczyły, żona mniej, mało wtedy rozmawialiśmy, poza koniecznymi formalnościami nie mieliśmy kontaktu, unikała mnie, znikąca, kiedy odwiedzałem dzieci. Przyznam, że wtedy drugi raz ukłuła mnie wątpliwość, czy naprawdę ją znam. Myśl, że żona może spotyka się z kim innym,

powodowała dziwny ból. Sam tego nie rozumiałem, tłumaczyłem sobie, że przecież skoro ja jestem taki szczęśliwy w nowym związku, to niech i ona sobie kogoś znajdzie. A jednak bolało... Co prawda, ona nigdy nie dała nawet znaku sugerującego innego mężczyznę w jej życiu, jednak podejrzewałem ją o to, gdyż wtedy zapomniałem, jakie ma zasady. Sądziłem, że cały świat myśli tak pokrętnie i egoistycznie, jak ja. Tak mijały dni i tygodnie, potem miesiące. Z prawniczką obmyślaliśmy plan rozwodowy. Były małe dzieci, więc żaden sąd na pierwszej rozprawie zaraz po rozstaniu nie dałby rozwodu. Trzeba było odczekać te kilka miesięcy, by można było stwierdzić rozkład pożycia...

I wszystko było tak, aż do pewnej sytuacji. Była to uroczystość rodzinna naszych sąsiadów – to znaczy sąsiadów mojej kochanki – na którą zostaliśmy zaproszeni. Było to ogromne garden party, ze skrzypkiem i wykwinnymi daniami. Zaproszono dużo ludzi z tzw. wyższych sfer – dziennikarzy i ludzi nauki. Był tam też jeden ksiądz, około 50 lat, w cywilnym ubraniu, ale z koloratką. Kapłan ten cały czas na mnie spoglądał, obserwując to, jak siedzę z kochanką. Przy pierwszej nadarzającej się okazji, kiedy zostałem na chwilę sam, podszedł do mnie i powiedział mi prosto z mostu: – Zapytałbym, jak się miewa twoja małżonka, ale nie zapytam, bo wiem, że jej tu nie ma, a ta kobieta, z którą tu jesteś, nie jest twoją żoną.

Poczułem się dziwnie. Nie byłem z tym księdzem na ty. Nie znałem go i nie wiedziałem, po co w ogóle się do mnie wtrąca. Ale odpowiedziałem uprzejmie, wskazując na dłoń: – Chyba łatwo się domyślić, bo nie mam obrączki, ani ona też...

Ksiądz się uśmiechnął i rzekł: – Nie patrzyłem na dłoń, po prostu spostrzegłem, że nie ma między wami światła.

Wkurzyłem się. Byłem przekonany, że ktoś z gości powiedział mu, jaka jest moja sytuacja rodzinna i że księżulo przyszedł sobie pomoralizować. Opanowałem się jednak i odpowiedziałem, niby w żartach, choć z nutką złośliwości: – Może światła nie ma, ale za to jest ogień!

Na to on pokręcił głową i powiedział z troską: – To niedobrze, że ogień. Ogień niszczy i spala, po nim zostają tylko zgliszcza i popiół. A światło daje życie.

Potem wróciła moja kochanka. Książd postał jeszcze chwilę przy nas, porozmawialiśmy o organizacji przyjęcia, a potem odszedł.

Niby nic, a jednak myślę, że wtedy zasiało się we mnie jakieś ziarno. Tak, jakbym zrozumiał, że nigdy już nie będzie normalnie, bo prawdziwą więź mam z matką moich dzieci. I nawet nie chodziło o to, że to z nią łączyła mnie więź formalna. To było coś na takiej zasadzie, że można wyjechać od matki czy siostry i nie widzieć jej miesiącami, można nawet być z nimi skłóconym, a przecież i tak się wie, że one istnieją i zawsze będą już matką i siostrą. Poczuliem, że jest między mną a żoną niewidzialna nitka, która już nigdy nie zniknie, nieważne, co będę robić, aby ją zerwać. Zrozumiałem wówczas bezsens mojego związku z kochanką i złapałem się za głowę, że tak daleko to zaszło. To nie było tak, że nagle olśniło mnie: ja kocham żonę! Nic z tych rzeczy. Po prostu poczułem potrzebę bycia z nimi, współtworzenia z nimi rodziny. Myślałem o nich jako o całości, bez tych konotacji, że koniecznie ma być też intymnie, namiętnie i czule. Przyznam, że nawet przez chwilę rozważałem, jak pogodzić to, żeby być z rodziną, a jednocześnie mieć też kochankę. Jeszcze wtedy nie byłem na tyle silny, by ją po prostu zostawić.

Krótko po tym przyjęciu nastąpił inny incydent. Pewnego dnia po przyjeździe z pracy, moja kochanka powiedziała mi, że spotkała moją żonę w dyspozytorni leków. Były same. Moja kochanka powiedziała jej, żeby lepiej pogodziła się, że nigdy już nie będziemy razem i że ma nadzieję, że nie będzie nam robiła przeszkód podczas rozwodu. I poskarżyła się wręcz na żonę, że ta tylko się lekko uśmiechnęła i nie odpowiedziała jej ani słowem. Zignorowała totalnie te słowa i dalej spokojnie pakowała leki. Kochanka szukała u mnie poparcia, próbując przekonać mnie, że została źle potraktowana i zlekceważona, a ja jedyne, co wówczas czułem, to wstyd za kochankę i współczucie dla żony, że została narażona na taką przykrość... Pierwszy raz dostrzegłem, jak wielka jest różnica pomiędzy tymi dwiema kobietami jeśli chodzi o klasę i charakter. Bardzo się zdenerwowałem, choć wiedziałem dobrze, że to wszystko jest przecież moja wina, bo to ja stworzyłem ten trójkąt. Ale chyba

to właśnie wtedy podjąłem decyzję o zakończeniu romansu. Jeśli miałbym odpowiedzieć na pytanie, co czuje zdradzający małżonek, moja odpowiedź jest taka, że nie wie, co czuje naprawdę, nawet jeśli mu się wydaje, że wie. W moim przypadku powrót do żony i rodziny wiązał się nierozzerwalnie z powrotem do Boga i do siebie samego, z wyjściem z niedojrzałego, pustego życia, do życia bogatego w wartości. Okazało się, że bardzo potrzebuję drogowskazów, granic i norm. Zrozumiałem, że, paradoksalnie, tylko poruszanie się w granicach, jakie wyznacza nam Bóg, daje wielką wolność – choć słowo „granica” pozornie temu przeczy. Bo nie ma nic bardziej zniewalającego, niż siedzący na klatce piersiowej potwór zwany brudnym sumieniem czy poczuciem winy. I prawdopodobnie mało kto, łącznie z moją kochanką, wiedział tak naprawdę, jakie rewolucje działy się w mojej głowie i sercu już pod koniec romansu. Później byłem taki sam, może nieco bardziej oschły. Pierwsze przyszło zrozumienie, że nie wiem, kim jestem i nie wiem, czym w istocie jest miłość. Pojąłem, że tak naprawdę nie zadałem sobie trudu, aby zrozumieć, czemu nie chciałem wspólnie z żoną naprawiać naszego małżeństwa, zanim podzieliłem się całkiem źle. Być może by nie wyszło, ale wtedy chociaż miałbym poczucie, że próbowałem. Zdobyłem zamiar na księdza, z którym rozmawiałem na tamtym przyjęciu i spotkałem się z nim. Rozmowa ta otworzyła mi oczy. Zobaczyłem bezmiar zła, jakie wyrządziłem mojej rodzinie – choć ksiądz ten nijak w rozmowie nie nawiązywał do mojej sytuacji! Po prostu opowiadał różne historie, przykłady z życia ludzi, których znał. No i, przede wszystkim, mówił o relacji ja – Bóg, której w moim życiu nie było. Kłóciłem się z nim na początku, ale szybko przekonałem się, że ma rację i że powinienem coś zmienić. Wyprowadziłem się od kochanki i zamieszkałem w mieszkaniu znajomego, który chwilowo był za granicą. Już wtedy wiedziałem, że muszę zastanowić się, jak odzyskać rodzinę i naprawić winy. Na początku nadal myślałem o sobie w całym tym trójkątnym układzie. Ale kiedy zakończyłem romans i zamieszkałem sam, w mojej głowie były już tylko żona i dzieci, zacząłem postrzegać siebie w relacji do nich, jako

męża i ojca. I od tego momentu już wiedziałem, że muszę zrobić wszystko, by ich jakoś odzyskać.

Łatwo nie było. Pamiętałem, że moja żona powiedziała mi wcześniej, że zawsze będzie moją żoną. Przyznam, że w czasie trwania romansu uważałem, że to tylko tani chwyt, frazes rodem z serialu. Ale teraz uczepliłem się kurczowo tych słów, jak tonący chwytą się gałęzi. I, co prawda, powrót do domu nie był taki prosty, ale do dzisiaj jestem wdzięczny żonie, że nie otworzyła mi drzwi tak po prostu, tylko pokazała, czego ode mnie wymaga, jako od męża i ojca jej dzieci.

Teraz już wiem, że nigdy nie kochałem swojej kochanki. Wydawało mi się, że ją kocham – tak samo, jak wydawało mi się, że kochałem i przestałem kochać moją żonę. Moje spojrzenie na to, czym w istocie jest miłość małżeńska, całkowicie się zmieniło. I dzisiaj mogę stwierdzić z całą stanowczością, że teraz wiem, że kocham moją żonę. Wiem też, że nie kochałem jej wcześniej dostatecznie mocno, ponieważ nie umiałem prawdziwie kochać ani ludzi, ani siebie. Emocje, które odczuwałem do mojej kochanki, były prawdziwe, ale nie miały nic wspólnego ze słowem miłość. Patrząc na całą sytuację dziś, oceniam, że w całej tej historii były dwa punkty ciężkości przywracające mnie do normalności. Pierwszy czynnik to znajomość z tym księdzem, który na co dzień pracuje w małej parafii za granicą, a do Polski przyjeżdża rzadko. To, że na niego trafiłem na tamtej imprezie, uznaję za prawdziwy palec Boży. Drugim czynnikiem jest moja żona – jej postawa, jej mądrość, jej siła, jej klasa. Chociaż tak ją skrzywdziłem, to właśnie dzięki niej do samego końca nie czułem się jak małe, ludzkie ścierwo – i to właśnie dodało mi odwagi, by walczyć o nią na nowo. Nie wiem, czy sobie już wybaczyłem, że tak ją zraniłem. Dopiero czytając jej świadectwo złożone na forum, dowiedziałem się, jak bardzo cierpiała. Ale z drugiej strony, wcześniej i tak nie umiałem kochać jej tak, jak trzeba. Modlę się o to, bym miał zawsze siłę sprostać temu, by być mężem-opoką.

Pewnie każdy przypadek jest inny. Znam człowieka, który odszedł od żony i mieszka z kochanką, ma z nią dzieci i nie zamierza

wrócić, między żoną a nim toczy się już wojna na noże, walki sądowe o każdy grosz i o każde słowo... Dziękuję mojej żonie, że chociaż mogła mnie zdeptać i zmiążdżyć, nie zrobiła tego. Dzięki temu dzisiaj kocham ją jeszcze bardziej.

Mateusz, mąż swojej żony

Dorota:

Pan wyrwał mnie z przepaści grzechu i dał nowe życie mnie i mojej rodzinie. Dlatego teraz piszę to świadectwo, aby złożyć je w dziękczynieniu za cuda, jakich Pan dokonał w moim sercu. Ofiaruję je również wszystkim tym, którzy zostali skrzywdzeni przez współmałżonka, prosząc ich, by modlili się za swą drugą połówkę i nie tracili ufności. Cuda naprawdę się zdarzają, Pan może podnieść grzesznika z upadku. A do tych, którzy szamoczą się w grzechu i którym może wydaje się, że potrafią być szczęśliwi, zagłuszając swoje sumienie i wybierając krzywdę współmałżonka – chcę powiedzieć: nie znajdziecie spokoju, dopóki wasze serce nie zwróci się ku Bogu i nie nakieruje na drogę prawdziwej miłości.

Jesteśmy małżeństwem prawie czternaście lat. Początek był, oczywiście, malowniczy, jak prawie każdy. Ale po siedmiu latach zaczął się kryzys niezrozumienia i niespełnienia. Oboje z mężem wywodzimy się z rodzin dysfunkcyjnych, niesiemy ze sobą bagaż wielu zranień i współzależności, które, niestety, wiele razy wpływały na nasze wzajemne relacje. Do tego dołączyły się problemy finansowe, problemy ze znalezieniem pracy... Choć na zewnątrz wszystko wyglądało normalnie, to jednak pogubiliśmy się, szukając każde siebie i swoich racji. Bardzo oddaliliśmy się od siebie. I wtedy ja, zamiast biec do Boga i to Jego prosić o ratunek, zaczęłam coraz częściej włączać Internet i rozmawiać z pewnym mężczyzną, który z czasem stawał mi się coraz bliższy. Rozumiał mnie, wspierał, a nawet stawał w obronie mojego męża. Zaślepiałam się więc coraz bardziej, nie rozumiejąc, że to zły, pod postacią baranka, próbuje zniszczyć moje małżeństwo, a ja mu na to pozwalałam. Widziałam coraz więcej wad w moim mężu, obwinałam go o wszystko, a coraz bardziej fascynował mnie tamten. Prowadziło to do następnych

klótni i rozczarowań. I to była ta furtka, którą dobrowolnie otworzyłam złu. Na wyniki nie trzeba było długo czekać. Zakochałam się jak nastolatka, która w ogień pójdzie za ukochanym. Świata nie widziałam poza tym... Ciałem byłam z moim mężem, ale całą resztą z tamtym. Wydawało mi się, że bez tamtego nie potrafię żyć. Ot, jak zły zakłada sidła, niby takie niewinne – a człowiekowi wydaje się, że jest taki mądry i mocny! Dotychczas zawsze byłam za wiernością w małżeństwie, aż do tej sytuacji, kiedy wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Gdybym wtedy upadła na kolana i wołała do Boga, On na pewno by pomógł, otworzył oczy. Ale nie, byłam ślepa, zakochana po uszy – tylko niestety nie w tym, komu ślubowałam moją miłość. I tu się zaczęła droga krzyżowa mojego męża. Wkrótce odkrył bolesną prawdę i jego świat się zawalił. Bał się, że odejdę i zabiorę dwójkę naszych dzieci, a nie wyobrażał sobie życia bez nas. Czuł się zraniony, oszukany, odrzucony, gorszy. A ja? Chciałam, by pozwolił mi odejść. Myślałam o tamtym, jak zahipnotyzowana, jakbym była nie sobą, ale kimś innym. Moje szczęście widziałam tylko u boku tamtego, nie wyobrażałam sobie inaczej. Wtedy rozpoczęła się prawdziwa bitwa. Mój mąż, pomimo ogromnego bólu i zranienia, nie pozwolił mi odejść. Wskazywał obrączkę, powtarzał, że ślubowałam nie opuścić go aż do śmierci i modlił się. Cierpiał. Kiedy był na granicy wytrzymałości, wówczas słuchał Hymnu o miłości. Kiedyś usłyszałam to przez przypadek i... to niesamowite uczucie, które wtedy mnie ogarnęło, pamiętam do dziś. Mąż niezachwianie wierzył, że choć po ludzku to wydaje się niemożliwe, jakimś cudem jednak nie straci nas. Mnie to nie było na rękę, wołałabym, aby mi po prostu pozwolił odejść, ot tak. Ale on nie dawał za wygraną. Nie wypominał mi tego, co mu robię, ale cierpienie ofiarował Bogu a mnie okazywał swoją miłość. Dziś wiem, że na tamten czas była to miłość heroiczna. Wtedy tego tak nie oceniałam, jego postawa doprowadzała mnie do szału, a jednak, z drugiej strony, zaczęła coś we mnie drażnić. Moje sumienie rozbudzało się z martwoty, zaczynałam powoli, choć jeszcze niejasno, widzieć, jak bardzo go krzywdzę. I jeśli ktoś myśli, że grzech prowadzi do wolności, to się grubo

myli. Wcześniej czy później się o tym przekona. Bo grzech to piekło w duszy. Na początku wszystko wydaje się atrakcyjne, zły mydli oczy serca ułudą szczęścia, miłości, zrozumienia, ubiera w ładne słowa, by uśpić czujność. Ale jeśli człowiek ma odrobinę sumienia, to któregoś dnia to sumienie się budzi. Wtedy albo je człowiek zabija, albo się z nim szamocze, wpada w depresję, a może i kończy swoje poplątane życie poprzez samobójstwo. Mój mąż nie pozwolił mi zginąć. Nie mógł zmusić mnie do miłości, ale modlił się i nie pozwolił złemu zawładnąć moją duszą. Nawet nasz syn modlił się, choć jeszcze nie rozumiał co się dzieje, byśmy się zawsze kochali i byśmy zawsze byli razem. Na skutek tych modlitw wreszcie zaczęłam widzieć popełniane przez siebie zło. Widziałam moją winę i moje potępienie. Wiedziałam, że nie mogę odejść, zostawić męża i dzieci. Ale ciągle wydawało mi się, że nie umiem żyć bez tamtego. Toczyła się walka dobra ze złem, walka modlitwy i miłości mego męża z podstępem złego, który chciał mnie doprowadzić do rozpacz – i była to walka na śmierć i życie. Po ludzku była to walka przegrana, ale z Bogiem nie ma przegranych! Choć to nie była magiczna różdżka, która nagle wszystko zmienia, to jednak zaczęłam i ja wołać do Pana o ratunek. Byłam w moich modlitwach szczerą, gdy wołałam: – Panie, ja nie umiem, ja nie potrafię kochać mego męża, nie dam rady żyć bez tamtego! Ale Ty potrafisz, ratuj!

Tak sobie myślę dzisiaj, że gdyby mój mąż ze mnie zrezygnował, gdyby tak po ludzku postawił na mnie krzyżyk i powiedział sobie: „Z niej już nic nie będzie, niech ginie w tym, co wybrała”, to dziś nie pisałabym tego świadectwa, bo depresja i poczucie winy by mnie całkiem zniszczyły... Ale tak się nie stało, bo mój mąż uwierzył Bogu, uwierzył, że sakrament małżeństwa to coś świętego, co ma moc pokonać wszelkie przeszkody i co w końcu zwycięży. Jakże jestem mu za to wdzięczna! I choć grzech mój jest zawsze przede mną, to jednak jak śnieg wybielał w miłości Bożej. Otrzymałam nowe życie. Pan uczynił cud w moim sercu. Zabrał mi to zniewolenie i wlał miłość do mego męża. To, co kiedyś wydawało mi się niemożliwe, dziś JEST!!! Nie, nie zakochałam się na nowo

w moim mężu – ja go KOCHAM. Pan uzdolnił moje serce, abym poczuła coś, co można nazwać troską, szacunkiem, pragnieniem szczęścia dla drugiego... Pan mnie uzdrowił, wyrwał z piekła dzięki modlitwie i wierze mojego męża i innych, którzy się za nas modlili. Nasz kryzys trwał, z różnym natężeniem, ponad cztery lata. Dziś droga krzyżowa mojego męża i moje piekło się skończyły, łaska Boża odniosła zwycięstwo! Od prawie dwóch lat jesteśmy po prostu szczęśliwi!!! Próbowaliśmy terapii, ale ostatecznie postawiliśmy wszystko na Boga, zaczęliśmy drogę neokatechumenatu, rekolekcje, modlimy się razem. Zmieniliśmy też miejsce zamieszkania, by oboje mieć pracę, a dzięki temu mieć czas wzajemnie dla siebie i dla dzieci. Nawet dziś, przed rozpoczęciem pisania tego świadectwa, zapytałam męża, co czuje po tym wszystkim. Odpowiedział mi, że nie zapomniał, bo tego nie da się zapomnieć, ale że taka jest, po prostu, miłość, a każdy może upaść, jeśli Bóg zostawi go samemu sobie... Bóg pozwolił mi sięgnąć dna, abym zobaczyła, co mogę uczynić bez Jego łaski a także czym jest piekło grzechu i odejście od Boga. To doświadczenie było jednak zbawienne, zostało mi darowane po to, abym popatrzyła na siebie w całej prawdzie, nie tylko tej, że jestem grzesznikiem, ale zwłaszcza tej, że Bóg mnie kocha i że mi wybacza. Jego Miłosierdzie jest niezgłębione i zawsze, dopóki żyjemy, jest szansa powrotu i jest nadzieja... Nadzieja na pokój serca; nadzieja modlącego się współmałżonka na powrót i uratowanie jego drugiej połówki; nadzieja dla pogubionego i grzesznego, że Bóg jest Miłosierny i że zawsze przyjmie syna marnotrawnego, jeśli tylko ten rzuci się w Jego ramiona.

Dziękuję Ci, Panie, że mnie uratowałaś, że uleczyłaś moją ślepotę, że przemieniłaś niemoc mojego serca. Dziękuję Ci za mojego męża, którego mi dałaś w darze trzynaście lat temu, za jego prawdziwą miłość i przebaczenie. Proszę, daj mu niebo za krzywdy, których doznał ode mnie. Błagam, prowadź nas, ochraniaj przed działaniem złego i daj, byśmy nigdy nie oddalili się od Ciebie. Wiem, że cały czas czeka nas praca nad sobą, nad naszymi relacjami, nad naszym egoizmem – ale z Tobą, Panie, idzie się dużo łatwiej, z lekkim sercem. Bądź więc z nami zawsze. Amen.

Ania i Andrzej:

Odeszłam od męża po 3 latach małżeństwa. Byłam przekonana, że znalazłam „prawdziwszą” miłość, a moje małżeństwo to zwykła pomyłka. W zaślepieniu emocjami nie myślałam racjonalnie, interesowało mnie tylko, żeby jak najczęściej być z moim „ukochanym”, z którym zdradzałam męża. Kiedy okazało się, że jestem w ciąży z tym drugim mężczyzną, byłam szczęśliwa; dziecko było dla mnie „znakiem”, że mój wybór jest słuszny.

„Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki”, „Słuchaj głosu serca” – takie rady słyszałam, kiedy 8 lat temu, po 4 latach od naszego rozstania, zastanawiałam się nad możliwością powrotu do męża. W tamtym momencie w ogóle nie myślałam o Bogu, ani o mojej wierze, zawarty sakrament małżeństwa nie miał wówczas dla mnie znaczenia. W działaniach kierowałam się wyłącznie emocjami, liczyły się dla mnie tylko moje własne dążenia i plany, których nie chciałam zmieniać. Jednak drugim związku, który zawarłam po rozstaniu z mężem, nie układało się, postanowiłam zatem rozstać się powtórnie. Tymczasem mój mąż, Andrzej, również rozstał się ze swoją partnerką, niezależnie od podjętej przeze mnie decyzji. Zaczęliśmy się spotykać i rozmawiać. Wiedziałam, że mąż chce znowu być ze mną, ale nie wiedziałam, czego ja chcę... Tych kilka spotkań z mężem skończyło się szybko – wystarczyło, zapewnienie mojego drugiego partnera, że jestem miłością jego życia i że nie może żyć beze mnie i naszej córki. Miesiąc później byłam już z nim w drugiej ciąży. Wydawało mi się, że teraz wszystko się ułoży. Faktycznie nastąpiła poprawa w naszych relacjach, wzięliśmy ślub cywilny, a po 2 kolejnych latach pojawiło się trzecie dziecko.

Z biegiem czasu zaczęła również poprawiać się moja relacja z Bogiem. Kiedy moja najstarsza córka przyjęła sakrament Pierwszej Komunii Świętej, zaczęłam regularnie modlić się i uczęszczać z dziećmi na niedzielną Eucharystię. Czułam bolesne ukłucie w sercu za każdym razem, kiedy widziałam, jak moje dziecko wraz z innymi przyjmuje Pana Jezusa, a ja tego zrobić nie mogę. Nie czułam w sobie buntu, raczej smutek i zgodę, by ponosić konsekwencje swoich wyborów. Jednak Bóg mnie wołał i zabiegał o mnie, posyłał

mi ludzi i tworzył sytuacje, które coraz bardziej zbliżały mnie do Kościoła. Tydzień przed decyzją o rozstaniu z partnerem znalazłam listy mojej świętej pamięci babci, które pisał jej narzeczony, kiedy dowiedział się, że wyszła za mąż za innego. Babcia już pod koniec swojego życia dopisała drżącą ręką na jednym z nich: „Boże, gdybym jeszcze raz żyła!”. To zdanie podziało na mnie jak zimny prysznic. Pomyślałam, że nie chcę tak jak moja babcia żałować swoich życiowych wyborów. Kiedy dowiedziałam się o kolejnym „skoku w bok” mojego partnera, rozumiałam, że nie chcę żyć dalej w ten sposób; nie chcę, żeby moje dzieci widziały, jak mama płacze, a tata topi swoje smutki w alkoholu. Ku mojemu zaskoczeniu bardzo wsparli mnie rodzice, którzy pomogli mi w wyprowadzce od mojego drugiego męża. Z jednej strony czułam ulgę, ale z drugiej byłam zdruzgotana tym, że moje marzenia i plany nie zrealizowały się. Na skutek wcześniejszych wyborów zostałam samotną matką z trójką dzieci. Pomocy zaczęłam szukać w Kościele. Przystąpiłam do sakramentu spowiedzi, potem do Komunii Świętej. Przypadkowo na Mszy Świętej usłyszałam zaproszenie na katechezę i wkrótce znalazłam się we wspólnocie neokatechumenalnej. Słuchając Radia Warszawa dowiedziałam się o warsztatach dla chrześcijan „Wreszcie żyć – 12 kroków ku pełni życia” i rozpoczęłam je. Po kilku miesiącach zaczęłam spotykać się z mężczyzną. Miałam z kim porozmawiać, służył mi emocjonalnym i codziennym wsparciem. Ta relacja skonfrontowała mnie na powrót z sakramentem małżeństwa. Chciałam być w związku, chciałam dzielić swoje życie z mężczyzną, ale jednocześnie nie wyobrażałam sobie rezygnacji z przyjmowania Komunii Świętej. Jedynym wyjściem, jakie wówczas znalazłam z tej sytuacji, było rozpoczęcie działań zmierzających do stwierdzenia nieważności zawartego sakramentu małżeństwa. Byłam przekonana, że powrót do mojego męża nie jest możliwy, ponieważ tkwił on w długoletnim związku i właśnie niedawno urodziło mu się upragnione dziecko. Wspólni znajomi wspominali mi również, że planuje drugie dziecko. Z drugiej strony ja miałam trójkę dzieci innego mężczyzny i historię, którą trudno wybaczyć... Przy pomocy adwokata kościelnego napisałam pozew i zamierzałam go złożyć. W tym

właśnie momencie trafiłam na stronę internetową Wspólnoty Sychar i poznałam treści, które na początku wywołały mój sprzeciw, a potem wiele wątpliwości. Mój nowy związek był dla mnie coraz trudniejszy, nie miałam już tej radości z Eucharystii, coraz trudniej było mi też przystępować do sakramentu spowiedzi.

W moich wewnętrznych zmaganiach bardzo pomogła mi Maryja. Kiedy zaczęłam myśleć o stwierdzeniu nieważności sakramentu, znajomi zabrali mnie na Jasną Górę. Byłam tam po raz pierwszy w życiu. I to właśnie tam, przed obrazem Matki Bożej, usłyszałam jak moje serce wypowiada słowa prośby: „Maryjo, uratuj moje sakramentalne małżeństwo!”. Po powrocie próbowałam szybko zapomnieć o tym zdarzeniu, nie pasowało ono do moich planów. Kiedy wniosek o stwierdzenie nieważności leżał jednak gotowy do podpisu, zaczęłam odwlekać dalsze działania. Pragnęłam zyskać wewnętrzną pewność, że moje małżeństwo jest nieważne. Chciałam być uczciwą względem Boga. Były to dla mnie bardzo trudne chwile, modliłam się, czytałam różne materiały – i zyskiwałam coraz większą pewność, że dla Boga nadal jestem żoną Andrzeja. Pojechałam na rekolekcje maryjne do Loretto koło Wyszkowa, tam całkowicie zawierzyłam się Maryi i usłyszałam w sercu, że mam męża. Z jednej strony czułam się, jakbym skoczyła w przepaść – bo uznając swoje małżeństwo za ważne skazywałam samą siebie na życie w pojedynkę do końca moich dni – z drugiej strony jednak poczułam wszechogarniające mnie spokój i radość. Znow założyłam na palec obrączkę.

Z mężem spotkałam się przypadkowo, w parku, kiedy był na spacerze z dzieckiem. Przeprosiłam go za zranienia, które mu zadałam. To pierwsze spotkanie było krótkie. Po jakimś czasie zaczęłam widywać go coraz częściej i za każdym razem byłam szczęśliwa, że mogę go widzieć i że mam swoją „tajemnicę” – to, że jest moim mężem. Wiedziałam, że jest ciekawy, co się u mnie dzieje. Postanowiłam mu wszystko powiedzieć. Umówiliśmy się na długą rozmowę, opowiedziałam mu o swoim nawróceniu i moich poglądach na temat naszego małżeństwa. Dowiedziałam się, że nie jest szczęśliwy, ale też sprawę naszego małżeństwa uważa za zamkniętą i że czuje

się zwolniony przeze mnie z przysięgi małżeńskiej. Zaczęliśmy kontaktować się częściej. Czułam, że nasza relacja jest coraz głębsza, że nasza miłość ma szansę się odrodzić. Po kilku tygodniach postanowił rozstać się z partnerką i zamieszkać ze mną.

Dla mnie najbardziej zadziwiająca jest reakcja moich dzieci, które przyjęły Andrzeja bardzo naturalnie, jak kogoś, kto należy do naszej rodziny, tylko długi czas był nieobecny. Od początku starałam się rozmawiać z dziećmi i mówić im prawdę, znały Andrzeja z moich opowieści i zdjęć. Co więcej, dzieci bardzo lubią synka męża, który jest u nas prawie co tydzień.

Anna

Niedługo po gwałtownym i niespodziewanym rozstaniu z moją żoną związałem się z inną kobietą, którą znałem z lat szkolnych. Brnąłem coraz głębiej w związek, w którym nie czułem się dobrze – nie potrafiłem tego jednak nazwać i wyrazić. Na siłę starałem się przekonać samego siebie, że jestem szczęśliwy. Napięcie narastało, ale wszyscy dookoła mówili, że to normalne, bo przecież nie ma idealnych par. Ja jednak pamiętałem, że z moją żoną było nam razem zupełnie inaczej, że my byliśmy szczęśliwi! Te wspomnienia chciałem wyrzucić z pamięci, pragnąłem zapomnieć o żonie. Docierały do mnie informacje o jej życiu, o tym, że ma trójkę dzieci i że zawarła ślub cywilny. Uznałem, że ułożyła sobie życie i że ja też powinienem. Po kilku latach związku z inną kobietą urodziło nam się dziecko. Byliśmy niezwykle szczęśliwi. Szczęście to jednak nie trwało długo. Moja partnerka źle znosiła macierzyństwo. Zaczęliśmy się od siebie coraz bardziej oddalać. Mama mojego syna zaczęła uciekać w alkohol. Nie radziłem sobie z tym. Zacząłem żałować, że w ogóle wszedłem w ten związek. Wtedy spotkałem przypadkowo moją żonę. W trakcie rozmowy poprosiła mnie o przebaczenie. Po trzynastu latach od naszego rozstania nie chowałem już urazy. Nie myślałem wtedy jeszcze o możliwości powrotu do sakramentalnego związku małżeńskiego. Coraz więcej jednak myślałem o żonie, a w mojej głowie zaczęły odżywać wspomnienia naszego związku. Po miesiącu spotkaliśmy się ponownie. Rozmawialiśmy trochę dłużej, a ona

powiedziała mi, że chciałaby, abyśmy znów byli małżeństwem. Zanegowałem. Stwierdziłem, że zbyt dużo czasu upłynęło i zbyt wiele rzeczy po drodze się wydarzyło. Przecież ona miała trójkę dzieci z innego związku i ja również miałem dziecko z inną kobietą! Jednak już w trakcie spotkania zaczęło się we mnie tlić uczucie, o którym sądziłem, że zgasło całkowicie. Z pomocą żony trafiłem na stronę Wspólnoty Sychar i zacząłem zgłębiać nauki Chrystusa na temat związku małżeńskiego. Uważałem się za osobę wierzącą, ale tak naprawdę widzę teraz, że tylko dopasowywałem wówczas wiarę do swojego postępowania. Powoli zacząłem dostrzegać znaki, które daje mi Bóg i zrozumiałem, że jest tylko jedna droga, jaką mogę podążać. Decyzja nie była łatwa, gdyż wiązała się dla mnie z koniecznością rozłąki z synem i widywaniem go tylko w czasie odwiedzin. Wiedziałem również, że moja partnerka będzie czuła się skrzywdzona. Musiałem odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Co prawda, moje relacje z żoną były bardzo dobre i czułem się tak, jakby nie było między nami całej tej długiej rozłąki, jednak obawiałem się reakcji jej dzieci. Moje obawy się nie potwierdziły, wszystko zaczęło się układać. Moja żona bardzo szybko zaszła w ciążę i w maju 2015 r. urodziło się nasze pierwsze wspólne dziecko, a w styczniu 2017 r. drugie. Mam nadzieję, że z Bożą pomocą, nasz związek przetrwa do końca naszych dni.

Andrzej

ROZDZIAŁ VII

*Trzymajmy się niewzruszenie nadziei,
którą wyznajemy, bo godny jest zaufania Ten,
który dał obietnicę*

(Hbr 10,23)

Nie zawsze ta moja droga wiodła mnie prosto „w stronę słońca”. Częściej były to raczej mozolne trzy kroki naprzód i dwa do tyłu. I znów dwa kroki do przodu i jeden w tył. Zło próbowało podciąć mi nogi: gdy nie udawało się mu wykorzystać mojego gniewu, zasiewało strach. Na przykład, pewnej nocy zerwałam się z mokrej od łez poduszki udręczona snem, w którym mój mąż poniósł śmierć z mojej ręki. W tym śnie potwornie rozpaczalam, że nie pojedналиśmy się ze sobą przed jego śmiercią – i zaraz potem zobaczyłam go jako złego ducha, który zjawia się na pogrzebie, żeby mnie przepędzić. W tym koszmarze z zakamarków mojej psychiki wypełzło wszystko, co najgorsze. Zbudziłam się o trzeciej tak przerażona, że nie byłam w stanie nawet zejść z łóżka, aby przytulić się do kogoś żywego i ciepłego (czyli do któregoś z dzieci). Wzięłam tylko Pismo Święte i różaniec z szafki nocnej. Dopiero modlitwa pozwoliła, bym mogła zasnąć uspokojona, z dłonią owiniętą różańcem.

Wielokrotnie też wracałam do domu, do dzieci, gdy kończyły się odwiedziny ich tatusia, w stanie totalnej paniki. Pomimo tego,

że byłam tuż po Eucharystii i szeptałam do siebie: „Bogu ufam, nie będę się lękała, cóż może uczynić mi człowiek?”. Uczucie fizycznej obcości, płynące od mojego męża, było trudne do zniesienia. Tak samo było z odbieraniem SMS-ów, e-maili i telefonów. Mimo że z góry wiedziałam, że nie czeka mnie nic przyjemnego, że trzeba się nastawić na przykrości, mimo że miałam to racjonalnie opracowane, opierałam się na Bogu i brałam Go mocno za rękę, to i tak moje ciało reagowało ogromnym stresem: mięśnie się napinały, serce łomotało. Wstydziłam się tego strachu i zwykle nie pozwalałam, aby mną zawładnął. Uciekałam się pod opiekę Maryi i moja zewnętrzna postawa pozostawała niezmienna. Ale miałam jedno większe potknięcie i kilka drobniejszych. Bałam się przyznać, że wrócę do domu późno w nocy, bo zamierzam iść na czuwanie w wigilię Zesłania Ducha Świętego do oo. dominikanów. Okłamałam więc męża mówiąc, że spóźnił mi się ciąg. Zeszłam na poziom jego zasad i chwytów, co sprawiło wielki dyskomfort mojemu sumieniu. Ale to tym bardziej dowiodło, jak bardzo potrzebuję Ducha Świętego i wylania Jego darów.

Na tym nocnym czuwaniu, wśród zupełnie nieznanymi mi ludzi, co nie miało większego znaczenia, prosiłam o bardzo dużo, bo potrzebowałam dużo. Jezus powiedział: *Ja przyszedłem po to, aby owce moje miały życie i miały je w obfitości* (J 10,10). Więc wołałam o Ducha Świętego z naciskiem na tę obfitość. Kościół był pełen. Wielbiliśmy Boga śpiewem, w modlitwie spontanicznej i językami. A w zamian spłynęło morze łask, fale miłości przepływały przeze mnie jedna za drugą. I ogarnięta tym silnym uczuciem spytałam naiwnie Tego, który mnie przepęśniał, nie tracąc czasu na staranniejszy dobór słów:

– Panie, czy teraz kochasz mnie tak mocno, jak ja Ciebie?

Dałabym głowę, że całe Niebiosa się roześmiały, a On odpowiedział mi prosto do serca:

– Przypomnij sobie, co ty sama tłumaczysz swoim dzieciom.

I natychmiast stanęło mi przed oczami wyznanie moich dzieci, że kochają mnie tak bardzo „jak stąd do księżycy i z powrotem”, na które odpowiedziałam wesołym tonem:

– A moja miłość do was jest jeszcze milion razy większa.

Młodsza z córek próbowała kiedyś zaprotestować, ale ciepło wyjaśniłam jej, że też mam mamusię i dobrze wiem, jak mocno kocha się mamę. Ale odkąd mam dzieci, to dopiero wiem, o ileż silniejsze może być uczucie do nich.

Po powrocie do domu dziękowałam za ten orzeźwiający prysznic miłości i prosiłam Ducha Świętego: – Nie wypalaj się zbyt szybko, nie wyczerpuj się. A gdybym miała stracić Cię na dobre i nie potrafiła odzyskać, to niech lepiej wcześniej umrę!

Moje pierwsze spotkania w poznańskim ognisku wspólnoty Sychar wypadły... dziwnie. Raz coś odwołano, innym razem przesunięto, a ja się nie zorientowałam na czas; to znów miałam ciężką przeprawę z mężem o moją nieobecność. Jedną z najbardziej aktywnych forumowiczek, Kinga2, odpisała mi prywatną wiadomością na moje skargi:

Witaj,

dziękuję za list. Bardzo smutny w swojej wymowie, ale i jednocześnie radosny. Smutny, bo Ty czujesz się przybita, a radosny, bo namacalnie widać jak ogromnie dobrą rzeczą jest to, co robisz. Powinnaś pomimo trudności chodzić na spotkania Sycharu, bo, jak widać, przynoszą pożądane efekty. I Ty czujesz się umocniona, i zły się wkurzył. Czyli idziesz dobrą drogą. Tak trzymaj. Mąż tak reaguje, ponieważ czuje, jak zło traci oparcie, od którego może się odbić. Bóg wszedł w Wasze relacje i zło zaczyna tracić wpływ. Ono wtedy potrafi być okrutnie dokuczliwe. Walczy na wszystkie sposoby, aby zepchnąć człowieka z drogi ufności i Miłości. Każda zwycięska walka duchowa, choćby najmniejsza potyczka, to krok ku Bogu i korzystanie z Jego opieki. Gdy będziesz ufna i otwarta na działanie Jezusa,

będziesz odbierać wielkie łaski, powoli zaczniesz odczuwać tę opiekę. Im większe zło stało się Waszym udziałem, tym dłużej trwa leczenie, ale zawsze trwa. Nigdy nie jest przerywane, chyba że sama zechcesz, ale choćby się piekło waliło na Twoją głowę, to ufne szepnięcie: „Jezu ufam Tobie” albo: „Maryjo pod Twoją obronę”, lub dowolny inny akt strzelisty natychmiast zabezpiecza Cię przed złem. Zobacz, ile osób w dramatycznych momentach zdąży zawołać tylko: „Mamo!” lub pomyśleć: „Ratuj, Boże!” – i Bóg zawsze zdąży.

BÓG PRZYCHODZI 15 MINUT ZA PÓŹNO I ZAWSZE ZDĄŻY. A zatem nie czuj się jak zbity pies, tylko oprzyj czoło o krzyż i szepnij: „Jezu ufam Tobie”. Ja tak robię. W realu lub duchowo. Nigdy się nie zawiodłam i Ty się nie zawiedziesz. To jedyne, za co warto oddać nawet życie. Boże Słowo nie kłamie, jest jak miecz obosieczny i jest zawsze skuteczne.

Nie pozwoliłam, aby ogarnęło mnie zniechęcenie. Angażowałam się coraz bardziej. Zwykle to ja wykreślałam różne numery duchowego pogotowia telefonicznego, ale teraz i do mnie się zwracano z prośbą o wsparcie. Raz telefon zrozpaczonego człowieka zadzwonił bladym świtem, innym razem, wysłuchując czyichś żali po zdradzie, przypaliłam makaron. Ale to, że mogłam dać komuś chociaż drobny gest wsparcia, pokazać, że przeżyłam to samo i trwam – tym bardziej umacniało mnie samą. Zastanowiło mnie, dlaczego jest nas tak mało w poznańskim ognisku? Garstka osób. Czy rozwody i kryzysy małżeńskie w Wielkopolsce są tak nieliczne? Nie, jest wręcz przeciwnie. Więc gdzie się podziewacie – wy, chrześcijanie w kłopotach?

Moje dzieci odżywały, kiedy ja układałam sobie życie według Bożych reguł. Potrafiły przyjąć i wypłakać się u mnie, ale również wesoło i różnorodnie spędzać czas. Ja samej sobie ściśle ograniczyłam czas spędzany w Internecie i przy komputerze. Telewizor także milczał tygodniami. Po prostu byliśmy dla siebie. Choć nie da się ukryć, że dzieci wołałyby skupiać mniej uwagi, byleby tylko mieć tatę z powrotem w domu.

Wtedy przyszła chwila kolejnej próby.

10 czerwca zadzwoniła prawniczka z informacją, że mąż złożył już pozew rozwodowy. Trudno opisać uczucia, jakie mnie w tym momencie wprost położyły na podłodze. Zaczęłam się trząść jak liść. Zdawało mi się, że jestem na to przygotowana, ostrzeżona, odpowiednio nastawiona. Akurat! Jednak nadzieja, że to jeszcze się odwlecze, bo to nawet dla męża za wcześnie, okazała się potężniejsza. I już na tej podłodze, natychmiast, rozegrała się walka – o powiedzenie TAK woli Bożej. A raczej o aktualizowanie swojego TAK w nowej sytuacji. Poprosiłam trzy złapane telefonicznie osoby o modlitwę wstawienniczą. Nie miałam czasu, by poroztkliwiać się nad sobą, dopiero zaczynał się dzień, czekały dzieci, czekała praca. Ta cudza modlitwa zreanimowała mnie na tyle, że mogłam normalnie wykonywać swoje zadania do wieczora. Gdy zapadła cisza nocna, zmagalam się ze sobą i z Panem Bogiem. Jo Croissant w książce pt. *Kobieta. Kapłaństwo serca* pisze:

Nie utrzymujmy dystansu pomiędzy krzyżem a nami. Przyłgnijmy natychmiast do tego, co jest nam w życiu dane. Przyłgnięcie jest antidotum na bunt. Cierpienie zadaje nam czas, który tracimy na powzięcie decyzji zaakceptowania i ucałowania krzyża.

Jęczałam Jezusowi z całego rozdartego serca:

– Nie chcę pić tego kielicha! Nie chcę być rozwiedziona! Może jednak zabierz ten kielich ode mnie?

A On zapytał mnie tylko ciepło:

– Moja kochana, a pamiętasz, jak to szło dalej?

Cóż było robić, musiałam dokończyć:

– Nie moja, ale Twoja wola niech się stanie.

Już następnego dnia czułam się lepiej. Bóg wyposażał mnie na dalszą drogę. Zaczynał się etap formalnej i prawnej walki o nierozzerwalność mojego małżeństwa. Dołączyłam do licznej grupy Sycharowiczów, których status na forum głosił „w trakcie

rozvodu” zamiast „w kryzysie małżeńskim”. Ujrzałam wyraźniej, że będę musiała przejść tę drogę do końca, by móc coś o niej powiedzieć. Mój mąż działał teraz jak rozpedzony pociąg, a ja stałam na torach, osłaniana przez wielką miłość i czułość Boga. Przede mną było następujące zadanie: mimo sprawy sądowej dać świadectwo prawdy o nierozzerwalności małżeństwa.

Przykładem tego, jak pewnie prowadzi Duch Święty, kiedy tylko da mu się swobodę działania, może być moja historia poszukiwania prawnika. Osoba, do której zwróciłam się na początku, by zabezpieczyć koszty utrzymania rodziny, zupełnie nie rozumiała mojego światopoglądu, okazała się zwolenniczką mało kłopotliwych, „kulturalnych” rozwodów za porozumieniem stron, po których nawet popiół nie zostaje... Wiedziałam, że przeszkodzi mi we współpracy z Bogiem, zatem to ja podziękowałam jej za współpracę.

A potem pomodliłam się: „Panie, Ty widzisz, że w najgorętszej fazie konfliktu zostałam bez pomocy prawnej. Ty pokaż mi, kogo mam wybrać, kto pojmie, co znaczy walka o małżeństwo, a nie przeciw małżeństwu i kto Ciebie zna, bym się nie musiała tłumaczyć ze swoich wyborów”. Tego samego dnia zadzwoniłam do znajomej położnej, o której wiedziałam tyle, że jest w grupie czcicieli Ojca Pio. Po mszy świętej zamieniłyśmy kilka zdań, a ona oznajmiła znienacka:

– Tak się składa, że znam radcę prawnego, który jest jednocześnie doktorem teologii. To bardzo serdeczny człowiek, na pewno pomoże.

Od pana doktora teologii dostałam błyskawiczne „skierowanie” do znanej mu pani mecenas, dzięki której poradziłam sobie z uzyskaniem alimentów dla dzieci. Potem występowałam w sądzie sama we własnym imieniu i moje doświadczenie mówi: jeśli czujesz, że sobie poradzisz, to cóż... brak adwokata jest lepszy

niż adwokat, który chce przeforsować własne zdanie, prędko rozwieść strony i jeszcze na tym zarobić.

Przepełniało mnie wielkie pragnienie, aby oddawać Bogu coraz więcej przestrzeni działania, aby być narzędziem, nawet takim nieforemnym, w Jego rękach. A On czeka – aż przestaniemy planować po swojemu, aż Go poznamy i zapagniemy takiego, jak próbowałam kiedyś opisać w wierszu:

Jeden Bóg
nie ten z krzyżyka na łańcuszku
ale Ten targający razem z tobą
twój krzyż zabłoconą drogą

nie ten który fruwa wśród pyzatyh aniołów
ale Ten który sam ociera ci łzy
w środku nocy

woła o twoje życie
woła o twoje serce
nie chce świata bez twojego zbawienia

złóż wszystko w Jego ręce
co są większe niż wszechświat
oddaj Mu wdowi grosz i swój los
nie wahaj się
to skok w przepaść
zakończony lądowaniem
w łabędzim puchu Jego Miłości

spójrz na dziecko
podrzucone w górę przez ojca
i niech nam się stanie

Tydzień później odezwali się do mnie Andrzej, założyciel WTM Sychar, oraz Agata, ówczesna liderka poznańskiego ogniska. Wystąpili z tak zaskakującą propozycją, że najlepiej zacytuję dosłownie naszą rozmowę na gadu gadu, by oddać moje zdziwienie:

– Witaj, Aniu! Andrzej zwrócił się do mnie z pytaniem o współpracę z Tobą w naszym ognisku Sychar, byłabyś chętna? Byłoby fajnie, gdyby parę osób więcej współtworzyło grupę „liderów” naszej wspólnoty. Pomyśl, możemy pogadać przy okazji.

– O! Przepraszam, zatkało mnie.

– Niepotrzebny tu, widzisz, długi staż, doświadczenie itp. Wystarczy być w Grupie Zawierzenia Miłości i chętnym do działań w wiadomym kierunku.

– Właśnie to mnie zaskoczyło, bo ja jestem trochę taka nowa...

– Kasia była zupełnie nowa i założyła ognisko w Rzeszowie. Różnie to bywa. Staż nie gwarantuje sukcesu. O ile tu o sukcesie dosłownie można mówić.

Potem jeszcze upewniałam się Andrzeja, czy mi się nie śni:

– Tak się zastanawiam... dlaczego akurat mnie spytaliście z Agatą, czy się włączę w odpowiedzialność za wspólnotę?

A on odparł:

– Trzeba Ducha Świętego zapytać!

– No tak, ten Duch Święty to ostatnio robi ze mną, co ze chce...

Odchodziłam od komputera oszołomiona. Dopiero co sama stanęłam na nogi i zrobiłam rozpoznanie terenu swojego nowego życia, a już zapraszano mnie dalej, za kolejny próg. Byłam niewiarygodnie szczęśliwa tego wieczoru. Pan Bóg pokazywał mi na różne sposoby, że mnie chce, że mnie chce tu i teraz, niezwłocznie, i to poczucie ogrzewało mnie całą i rozświetlało. Modliłam się: – Jaki jesteś wielki Panie! Twoją zasługą jest ten przedziwny czas, odkąd leciałam w otchłań, źle rozpoczynając i źle chcąc zakończyć małżeństwo, a Ty wydobyłeś mnie i postawiłeś na skale. Prowadzisz mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć. Orzeźwiasz moją duszę i okazujesz swoją potęgę. Bierzesz słabe

naczynie i napełniasz dobrą wodą. Bierzesz kruchą glinę i lepisz to, co trzeba...

Zastanowiłam się, co jest wyjątkowego w tym, że właśnie ja, z całym zestawem moich wad, niedoskonałości i bagażem traumy po porzuceniu, czuję się tak bardzo umiłowaną córką Ojca. Przecież każdy człowiek jest Jego najbardziej umiłowanym, wybranym i jedynym dzieckiem. Jednak różnica polega na tym, że ja o tej Jego wyjątkowej miłości wiem i chcę ją przyjąć. A tylu ludzi nie ma pojęcia, jak bardzo są kochani i upragnieni! Powiedźcie komuś na ulicy: „Jezus cię kocha”. Najprawdopodobniej przyjmie to jako wytarty frazes. A przecież pod tymi słowami kryje się niesamowita, nieopisana, zbawcza Miłość. On myślał o mnie już w ogrodzie Edenu, kiedy stwarzał pierwszą kobietę. W czasie spotkania na Lednicy 5 czerwca śpiewano piosenkę opartą na tekście Pieśni nad pieśniami: *Pełna chwały, pełna wdzięku, Córko Króla, w Jego progi wejdź!*

W trakcie ostatnich miesięcy jeszcze dwie osoby powiedziały mi, że czują się absolutnie kochane i otoczone szczególną Bożą opieką.

Jedna z nich to sąsiadka, która ma córkę z zespołem Downa i także doświadczyła mężowskiej zdrady. Druga, aktywna działaczka dwóch wspólnot, instruktorka szkoły rodzenia i założycielka grupy wsparcia dla mam karmiących piersią, przeżyła poronienie. Utrata dziecka niemal automatycznie zakiełkowała myślą o założeniu grupy wsparcia dla rodziców po stracie ciąży. Obie zapewniały mnie o swojej radości z powodu pewności bycia kochaną i prowadzoną przez Boga.

Nie wiem, jak to dokładnie jest: czy to On dopuszcza cierpienie ludzi otwartych na Jego miłość, czy też raczej cierpienie przyjęte i przeżyte właściwie pomaga przetrzeć oczy, rozwiać na chwilę mgłę, za którą On się kryje, i zobaczyć Go wyraźniej.

Poczuć miłość, jaką nas obdarza już dziś i chwałę, jaką nam sypkuje w swoim Królestwie.

Oduczyłam się pisać scenariusze i wymyślać za Pana Boga, jakich środków mógłby użyć, by potrząsnąć moim mężem. To On widzi całość, a ja tylko małeńki wycinek rzeczywistości. Wyjątkowo piękny fragment na ten temat znalazłam w książce *Świadkowie miłosierdzia Bożego*:

Wyobraź sobie gmach Katedry tak wielki, że buduje się go już dwa tysiące lat. Mrowie robotników się roi, każdy coś tam dłubie, jakiś mały szczegół, często nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie i do czego on będzie służyć. Cała budowla pokryta jest tak gęsto siecią rusztowań, że nikt jej kształtu nie odgadnie. Nie zmienia się tylko Architekt. On rozdaje robotę i wskazuje miejsce pracy, każdemu według uzdolnień. Ale czyż Architekt, który wie, czego pragnie i zna przyszły kształt budynku, może każdemu z dniówkowych robotników tłumaczyć całość budowy? Trzeba zaufać Temu, który plany stworzył, tym bardziej, że to dla nas buduje królewski dom.

Wiosną, kiedy mój mąż był jeszcze „punktem odniesienia wszystkiego”, kiedy moje serce było już poruszone przez Boga, ale mózg wciąż myślał „po staremu”, niestrudzenie fantazjowałam na temat dalszych ciągów. Jednym z tysięcy pomysłów, na których wspomnienie ogarnia mnie wstyd, była wydumana historyjka, w której mojemu mężowi rodziło się w cudzołożnym związku niepełnosprawne dziecko, tamta kobieta je porzuciła, a ja przyjmowałam pod swój dach marnotrawnego męża wraz z cudzym, chorym dzieckiem. Uff... dobrze, że cierpliwy Bóg wyleczył mnie i z tego etapu. Jedno z podstawowych przykazań Sycharowicza brzmi: nie zajmuj się życiem drugiej strony, zajmuj się SWOIM życiem.

Teraz czas modlić się tylko o nawrócenie naszych małżonków, pozostawiając Panu wszelkie szczegóły. Bo kiedy taki zagubiony

człowiek prawdziwie się nawróci, wtedy przypomni sobie także, gdzie jest jego rodzina. A czyż Bóg nie kocha mojego męża tysiąckrotnie bardziej niż ja? Więc naprawdę całą naszą wielką, nadmuchaną troskę można Jemu oddać i wierzyć, że ani jedna minuta naszej modlitwy nie zostanie zmarnowana.

ROZDZIAŁ VIII

Strzeżcie się więc w duchu waszym: wobec żony młodości twojej nie postępuj zdradliwie!

(Ml 2,15)

W ciągu letnich miesięcy zdarzyło się nam wiele pięknych chwil pełnego odpoczynku i bez troski. W modlitwie z moimi dziećmi prosiłam o błogosławieństwo na czas wakacji i otrzymałam je. W lipcu z grupą przyjaciół żeglowaliśmy po Mazurach, gdzie wielbiłam cicho Boga za piękno stworzenia i pokój serca. Patrząc w wodę i gwiazdy śpiewałam „W lekkim powiewie przychodzisz do mnie, Panie”. Dzieci skakały z burty jachtu, nurkowały i miały wrażenie, że uczestniczą w wielkiej przygodzie. Dbałam, by od czasu do czasu telefonowały do taty. Na forum Sycharowym napisałam:

Pogoda była cudowna, jeziora przepiękne, wiatr nas kołysał... Rozmawialiśmy do późna w nocy, a w dzień uczyłam się wyciągać kotwicę, robić zwroty, sterować i używać trudnych nazw lin i żagli. Najpiękniejsze wakacje, jakie miałam od lat, pomimo że nie było mojego męża. W ogóle nie odkryłabym w przeciwnym wypadku, że jestem stworzona do żeglarstwa. Czy to nie dowód dla nas wszystkich, że można żyć ciekawie, śmiać się z ludźmi i zdobywać nowe umiejętności i doświadczenia, nawet gdy ktoś tak ważny usunie się z życia?

To był czas podarowany mi na regenerację sił. Ponieważ po powrocie spotykało mnie wciąż to samo: fałszywe oskarżenia, pogrozki, kłopoty rachunkowe, które musieli rozsupływać moi niezawodni rodzice, zaniedbany ogród, pozbawiony fachowej ręki mojego męża, dzieci twardo tkwiące przy bramie i wypatrujące odwiedzin tatusia... Jednym słowem – standard Sycharowiczki. Ale jeśli przyjęło się wielkie dobro, trzeba przyjąć także i przykrości.

Nie miałam żadnej możliwości, aby cokolwiek mężowi wytłumaczyć czy zapytać go o cokolwiek. Potrafiłam to znosić, odkąd moją tarczą były słowa z księgi Mądrości Syracha: *Człowiek mądry milczeć będzie do chwili odpowiedniej* (Syr 20,7). Wierzyłam, że chwila odpowiednia nadejdzie w czasie wybranym przez Boga. Na razie mogłam pisać tylko listy do męża, jak ten poniżej, po czym chować je do szuflady, nie pokazując nikomu. Można to chyba zaklasyfikować jako formę autoterapii.

Minęła 11 rocznica naszego ślubu i pierwsza bez Twojego towarzystwa. Spędziłam ją, modląc się za Ciebie. Na razie jesteś dla mnie „umarły” i czekam aż „znów ożyjesz” jak w przypowieści o synu marnotrawnym. Czekam aż do końca życia – a przynajmniej tego chcę, jeśli tylko Bóg da siły. Trafiłam ostatnio na stary list od Ciebie, z pewnością go nie pamiętasz – napisałeś w nim jako nastolatek: „Nie wystarczy Ci, że zawróciłaś mi w głowie, że całe moje serce należy do Ciebie? Otwarłaś mnie na szersze wymiary rzeczywistości i tylko Ty masz klucz do mojego wnętrza i tylko Ciebie chcę mieć przy sobie. Kto powiedział, że miłość to nie jest więzienie – jasne, że jest! Więzi człowieka na całe życie, a na dodatek tak wpływa na jego psychikę, że delikwent sam chce dożywocia! Mam prośbę do Ciebie – kochaj mnie zawsze, dobrze?”. A ja odpowiedziałam – wtedy i teraz: „Dobrze! Kocham!”. Spełniam tylko Twoją prośbę, nie możesz mieć o to pretensji. Choć szkoda, że przez tyle lat nie zmieniłeś zdania na temat miłości. Bo ona nie jest więzieniem, tylko WYBOREM.

Bardzo mnie boli, gdy patrzę, jak usiłujesz do końca zburzyć to, co budowaliśmy od siedemnastu lat. Czy sądzisz, że tak łatwo da się wymazać całe nasze dorosłe życie i zapisywać od nowa czystą kartkę? A najbardziej boli mnie ból naszych dzieci, które miały prawo oczekiwać, że tego, co zbudowaliśmy, będziemy bronić do ostatniego tchu – dla nich.

W sierpniu wspólnota Sychar organizowała wakacje-rekolekcje. Bez wahania pojechałam pociągiem z trojgiem dzieci na drugi koniec Polski. Zamieszkaliśmy w domu Sióstr Franciszkanek od Cierpiących w Rabie Wyżnej, w miejscowości, z której pochodzi kardynał Stanisław Dziwisz, w grupie osób dorosłych z osiemnastorgiem dzieci. Naszym opiekunem duchowym był ksiądz Paweł Dubowik z Opola. To naprawdę był błogosławiony tydzień, w ciągu którego każdy miał szansę stanąć na nogi, czerpiąc z mocy wspólnoty. Nawet dzieci, otoczone rozbrykaną gromadą rówieśników, z których każde przybyło tylko z jednym rodzicem. Codzienne troski zostały daleko, siostry wspaniale gotowały, pogoda nie mogła być lepsza, a kaplica sprzyjała modlitwie i wyciszeniu. Każdy poranek rozpoczynaliśmy mszą świętą (akompaniowałam na gitarze po raz pierwszy od ośmiu lat!) a kończyliśmy adoracją Najświętszego Sakramentu o godzinie 22, gdy maluchy już spały. Do tego setki inspirujących rozmów z kobietami i mężczyznami w różnym wieku, którzy przeszli lub przechodzą to samo w najróżniejszych wersjach. Wszystkich bez wyjątku Bóg powołał do świadczenia, że sakrament małżeństwa nie jest przeżytkiem. Do mocnego świadectwa wierności Jemu i bliźniemu.

W czasie jednej z adoracji w milczeniu Bóg zesłał mi niezwykle doświadczenie. Rozważałam słowa z książki *Świadkowie miłości Bożej*, które zwykle napełniały mnie wielką nadzieją:

Gdy skrzywdzony modli się i prosi za winowajców, wtedy radość ogarnia całe niebo. Wtedy szatan jest poniżony, a śmierć Chrystusa na krzyżu wyniesiona i uwielbiona, bo to jest braterstwo z Jezusem.

Słowa „Ojciec przebac im, bo nie wiedzą, co czynią” rozświetlają się nad ziemią jak tęcza przymierza.

Przebiegło mi wtedy przez głowę pytanie, czy mój mąż dopiero w czyścicu dowie się, jak bardzo nacierpiałam się dla niego i przez niego. I nagle moje myśli zostały odwrócone „do góry nogami”. Przypomniałam sobie w ułamku sekundy wszystkie raniące, mściwe słowa, które JA wypowiedziałam do męża przed jego wyprowadzką i tuż po. Poczułam okropny, piekący ból, chociaż to nie był MÓJ ból. Odczuć zło, którego się było twórcą, to prawdziwy wstrząs. Nigdy nie jesteśmy tylko ofiarami. Jesteśmy też krzywdzicielami. Należy prosić Boga, aby uzdrowił rany w sercach ludzi, które my sami zadaliśmy. Łzy bezgłośnie wsiąkały mi w rękawy bluzy, gdy wyraziłam skruchę jeszcze raz, z głębi serca.

W ostatni dzień pobytu w Rabie, już po błogosławieństwie kończącym Eucharystię, śpiewaliśmy: „Nie bój się, wypłyn na głębię, jest przy tobie Chrystus”. Nie bardzo chciało się wypływać! Te wspólnotowe wakacje były taką zaciszną, płytką zatoczką. Tutaj rozumieliśmy się doskonale jako bracia i siostry w wierze. Na zewnątrz czekało tyle niezrozumienia i lekceważenia, a na niektórych jawne prześladowania.

Ale trzeba wypływać. Nie mamy się zbawić sami we własnym sosie, lecz wraz z całym światem. Dla mnie tą „głębią” z pieśni jest najbardziej prozaiczna codzienność; nie żadne jednorazowe, bohaterские zrywy, ale najzwyczajniejsze domowe życie. Bo wtedy nawet nie zauważam jak tonę.

Koniec sierpnia dokuczył nam brakiem pieniędzy, podczas gdy mąż spędzał wakacje za granicą, a wrzesień – trudnymi debutami: maluszka w przedszkolu, średniaczki w szkole i mój w nowej pracy. Dzieci wymagały pomocy w adaptacji do nowej sytuacji, praca w szkole zaskoczyła mnie ilością papierkologii,

a doba nie chciała być rozciągliwa. Zamówiłam kolejną mszę świętą, modliłam się w biegu.

W tym czasie przekonałam się, jak bardzo poważnie potraktował Bóg moją prośbę o okazje do dawania świadectwa. Potrzeba mówienia o Chrystusie wrzała we mnie jak woda w garnku, która, bulgocząc, przelewa się poprzez krawędzie. Teraz okazji pojawiło się tyle, że nie zawsze mogłam nadążyć. Różni ludzie sami zadawali mi pytania i chcieli słuchać o Jego obecności w moim życiu. Na Sycharowych wakacjach nieoczekiwanie wzięłam udział w nagrywaniu filmu dokumentalnego dla potrzeb wspólnoty. Pozostawiłam krótkie świadectwo na forum „Wychowanie w wierze” i w kilku innych miejscach.

„Dziwnym zrządzeniem losu” przede wszystkim odnajdywali mnie i zwracali się do mnie ludzie z kłopotami małżeńskimi. Jeśli chodziło o to, gotowa byłam rzucić wszystko, co akurat robiłam i rozmawiać, rozmawiać... do późnej nocy. Po ludzku patrząc, wybór mojej osoby do pomocy w rozwiązywaniu problemów rodzinnych był bezsensowny. Nie byłam żadną specjalistką, nie przeszłam stosownych kursów, a mój własny sakramentalny związek po popełnieniu wszelkich możliwych błędów przy próbie zachowania go, znajdował się w stanie sproszkowanym. A jednak znajomi i nieznajomi, kobiety, czasem też mężczyźni bombardowali mnie swoimi pytaniami i wątpliwościami, na które wraz z nimi i Duchem Świętym poszukiwałam odpowiedzi. Zdarzało się potem, że dostawałam fantastyczne informacje zwrotne! A każda wieść o małżeństwie, które znalazło się w lepszym stanie niż było przedtem, sprawiała mi ogromną radość.

Musiałam też zrozumieć, a była to trudna i bolesna nauka, że nie jestem w stanie sama uzdrowić moich dzieci. Że każde z nich ma już zapisaną własną historię i drogę, a ja mogę tylko być przy nich. Nie da się przenieść na mnie żadnej łzy, kłopotów czy trosk

moich dzieci, niezależnie od tego, jak bardzo chciałabym im ich oszczędzić. Mogę jedynie nieustannie powierzać moje dzieci doskonalszej ode mnie Matce.

Sycharowicze znali datę mojej pierwszej rozprawy rozwodowej, czyli wzmoczonej modlitwy w mojej intencji. Ta pierwsza rozprawa była bardzo krótka i niewiele wnosząca. Czułam na sali sądowej ogromny spokój. Przed kilkoma dniami dostałam fragment z Księgi Izajasza:

*Nie lękaj się, bo już się nie zawstydzisz,
nie wstydz się, bo już nie doznasz pohańbienia.
Raczej zapomnisz o wstydzie twej młodości.
I nie wspomnisz już hańby twego wdowieństwa.
Bo małżonkiem twoim jest twój Stworzyciel,
któremu na imię – Pan Zastępów;
Odkupicielem twoim – Święty Izraela,
nazywają Go Bogiem całej ziemi.
Zaiste, jak niewiastę porzuconą
i zgnębioną na duchu, wezwał cię Pan.
I jakby do porzuconej żony młodości mówi twój Bóg:
Na krótką chwilę porzuciłem cię,
ale z ogromną miłością cię przygarnę.
W przystępie gniewu ukryłem
przed tobą na krótko swe oblicze,
ale w miłości wieczystej nad tobą się ulitowałem,
mówi Pan, twój Odkupiciel.
Dzieje się ze Mną tak, jak za dni Noego,
kiedy przysiągłem, że wody Noego
nie spadną już nigdy na ziemię;
tak teraz przysięgam, że się nie rozjątrzę na ciebie
ani cię gromić nie będę.*

*Bo góry mogą ustąpić i pagórki się zachwiać,
ale miłość moja nie odstąpi od ciebie
i nie zachwieje się moje przymierze pokoju,
mówi Pan, który ma litość nad tobą. [...]
Wszyscy twoi synowie będą uczniami Pana,
wielka będzie szczęśliwość twych dzieci.
Będziesz mocno osadzona na sprawiedliwości.
Daleka bądź od trwogi, bo nie masz się czego obawiać,
i od przestachu, bo nie ma on przystępu do ciebie.
Oto jeśli nastąpi napaść, nie będzie to ode Mnie.
Kto na ciebie napada, potknie się z twej przyczyny. [...]
Wszelka broń ukuta na ciebie będzie bezskuteczna.
Potępisz wszelki język, który się zmierzy z tobą w sądzie.
(Iz 54,4-10.13-15.17)*

Podzieliłam się tym fragmentem z całą wspólnotą, aby wszystkich pokrzepić Słowem Bożym.

W październiku pojechałam na ogólnopolskie rekolekcje sycharowe do Łagiewnik. Tam Pan Bóg odebrał mi znów mój uczuciowy dystans, roztopił go swoją Miłością. Bez przerwy wycierałam jakieś pojedyncze łzy, albo pozwalałam im kapać na ławkę. Przyzwyczaiłam się do tego, że w moim wnętrzu mieści się określona ilość Bożej Miłości, a reszta wypływa przez oczy. Weekendowy program był bardzo bogaty, tematy konferencji były zatytułowane między innymi: „Uzdrowić zranione życie” i „Zamienić ranę w perłę”. Z rekolekcji wywiozłam bagaż nowej nadziei, radości i ufności wystarczający, by dzielić się tym z innymi.

W rozmowach z „doświadczanymi” żonami pojawiały się wciąż te same schematy postępowania zdradzających, w niewielu odmianach. Nasi mężowie zachowywali się tak, jakby czytali ten sam podręcznik pt. „Pomysły na kolejne świństwa, które powinienś robić porzuconej żonie”. Ktoś spytał, czy są także

podobne schematy stopniowego „opamiętywania się”, powracania do zdrowia zbłąkanych małżonków. Moja koleżanka Mirka, liderka ogniska z Trójmiasta, udzieliła pięknej odpowiedzi:

– Nie, to tylko szatan działa schematycznie, wykorzystując wciąż te same słabości i utarte szlaki pokus. A Pan Bóg ma dla każdego człowieka całkowicie odmienny, indywidualny plan zbawienia.

Szatan jest niecierpliwy i zachłanny, dlatego człowiek, który dopuścił się zdrady, tak szybko spada w dół, tak łatwo popełnia kolejne niegodziwości. Boża cierpliwość natomiast jest nieskończona. Osoba zaplątana w cudzołóstwo jest czasem tak szczelnie zamknięta na Boże miłosierdzie, że nieraz potrzeba wielu lat różnych doświadczeń, by z powrotem spojrzała w górę.

Moja druga rozprawa rozwodowa odbyła się dzień po powrocie z krakowskich rekolekcji. Czy można sobie wyobrazić, aby Ktoś na Górze precyzyjniej i delikatniej wybierał daty tych wydarzeń?

Zdałam sobie sprawę, że minęło już ponad dwieście dni, w czasie których nie opuściłam modlitwy za mojego męża, za nasze małżeństwo. We wspólnocie są osoby wierne w życiu i modlitwie od długich lat. A obiecano nam: *Wielką moc posiada wytrwała modlitwa sprawiedliwego* (Jk 5,16). Wytrwałości w Biblii nie określono w latach. Pamiętam jednak to, że u Boga wszyscy jesteśmy umówieni na jednego denara. Nawet ci, którzy dołączyli do pracy w winnicy w ostatniej godzinie życia. Więc szanse naszych współmałżonków na zbawienie są nadal stuprocentowe.

W tym czasie we wspólnocie miewaliśmy też pomyślne wyroki sądowe. I choć nie oznaczały one automatycznie odbudowy małżeństw, to i tak umacniały innych w nadziei i wierze w sens obrony sakramentu. Uczestniczka dwóch procesów podzieliła się z nami swoim świadectwem:

Marta:

Jesteśmy małżeństwem od 29 lat. To były piękne, choć czasem trudne lata. Urodziło nam się troje, dziś już dorosłych, dzieci. Kochaliśmy się, wspieraliśmy, staraliśmy się być blisko Boga. Kochałam męża bardzo, wierzyłam, że jestem dla niego równie ważna. Przeżyłam cztery lata temu szok, gdy usłyszałam: – Nie kocham cię, odchodzę.

Mój świat runął. Gdy jeszcze usłyszałam, że moje uczucie to współzależnienie od męża, całkiem straciłam grunt pod nogami. Popełniłam wszystkie możliwe błędy: od awantur, prośb, błagań i płaczu po szantaż emocjonalny. A mąż uciekał coraz bardziej, choć nadal mieszkał z nami. I wtedy trafiłam do Sychar. Zobaczyłam, że zachowanie małżonka jest dość typowe dla tych, co nagle stwierdzają, że „wypalili się”. Jednak mąż ciągle utrzymywał, że nie ma tej trzeciej. Był taki moment, że bardzo go o to podejrzewałam. Dziś niczego nie jestem już pewna i tak naprawdę nie jest to już takie dla mnie istotne.

Trzy lata temu mąż wniósł pierwszy pozew o rozwód. Byłam zrozpaczona, zraniona, zdesperowana. Wiedziałam jedno: ja tego rozwodu nie chcę! Po niedługim czasie okazało się, że zachorowałam na raka. Wierzyłam, że to zatrzyma męża. Myliłam się... Wtedy opuściłam ręce. Już wiedziałam, że jeśli Bóg tego nie uleczy, to ja jestem bezsilna. Modliłam się, jeździłam na rekolekcje... Chciałam zmiany siebie, więc zaczęłam warsztat „12 kroków ku pełni życia”. Było ciężko, ale było też wsparcie od Sycharków! Tymczasem sprawy biegły swoim torem: kolejne rozprawy w sądzie, a równolegle operacja, chemioterapia... Wstawanie, upadki, lży zwątpienia i, mimo wszystko, uparta nadzieja, że da się obronić, uratować to małżeństwo! Pozew za porozumieniem stron po moim oświadczeniu, że nie wyrażam zgody na rozwód, został zmieniony na pozew z winy obu stron. I zaczął się, jak mi się wtedy wydawało, najtrudniejszy okres w moim życiu: zeznania świadków bardzo mnie raniły, bo, delikatnie mówiąc, mijały się z prawdą. Najbardziej zabolął mnie udział teściowej... Moje działanie mąż odbierał jako złośliwość i celowe utrudnianie (gdy po operacji nie miałam

siły pojechać na sprawę i podałam zwolnienie). Modliłam się o ratunek, o pomoc, o siłę, bym umiała być świadkiem nierozzerwalności sakramentalnego małżeństwa. Wyrwałam. Ostatnia sprawa odbyła się 4 października (dzień św. Franciszka z Asyżu). Oddałam się jego opiece i złożyłam zeznanie. Od samego początku poprosiłam swojego adwokata, by w żaden sposób nie atakował męża. Pragnęłam pokazać sądowi, że byliśmy dobrym małżeństwem. Moi świadkowie mówili o tym, jak byliśmy postrzegani na zewnątrz: szczególnie podkreślali dobre cechy męża. Ja mówiłam o tym, jak ważne dla mnie jest małżeństwo i wierność podjętym zobowiązaniom oraz jakie to ma znaczenie w kształtowaniu postaw naszych dzieci. Adwokat pogratulował mi postawy. Po dwóch tygodniach sąd ogłosił decyzję: oddalił w całości powództwo! Bóg dał nam czas na pojednanie, bo Bóg jest Miłością! To zły działą lękiem, że odchodzący małżonek będzie wściekły, że nic nie wskóramy... Trzeba zaufać i uwierzyć Bogu! Tak wtedy czułam i wierzyłam. Niestety, czas próby jeszcze się nie skończył. Mąż faktycznie był wściekły i wtedy wyprowadził się z domu. Mój świat runął po raz drugi. Popadłam w depresję. Najgorsze, że opuściłam emocjonalnie dzieci. Myślę, że bardzo je poraniliśmy z mężem. Dla mnie w tamtym czasie było ważne tylko jedno: co dzieje się z mężem, gdzie jest, jak odwrócić sytuację? Musiałam stawiać czoła coraz mocniejszym atakom: karanie ekonomiczne, oskarżenia, apelacja męża (oddalona), sprawa o rozdzielność majątkową. W tym czasie przyszła śmiertelna choroba teścia, trwająca 1,5 roku. Staralam się na tyle, ile potrafiłam, towarzyszyć mu w odchodzeniu. Miałam w nim wsparcie. Niestety, mąż był coraz dalszy, coraz bardziej obcy i wrogi. Dziś wiem, że popełniłam w tym czasie kolejne błędy, które były efektem urażonej dumy i tego bezwzględnego odrzucenia. Moje działania szły wtedy w kierunku pokazania mężowi, że jestem silna i daję sobie radę bez niego. Najłatwiej poszło mi z chorobą. Dziś jestem nadal pod stałą kontrolą poradni onkologicznej, ale wzięłam udział w wielu mszach o uzdrowienie i wierzę głęboko, że Bóg mnie uzdrowił. Najgorzej było z relacjami w rodzinie: zostały bardzo nadszarpane i właściwie na wielu poziomach zniszczone.

Nie widziałam tego, że obciążam dzieci swoimi emocjami, wydawało mi się, że w żaden sposób nie wpływam na nie, a ich złe relacje z ojcem to owoc ich bólu, żalu i braku przebaczenia. Dziś, niestety, mam już świadomość, że widok cierpiącej, zrozpaczonej matki zrobił swoje. Faktycznie był to czas największego poczucia skrzywdzenia u mnie, które zajęło miejsce wcześniejszego, ogromnego poczucia winy. Nadal przeżywałam naprzemienne wahania nastrojów: od rozpacz, po gniew i złość. Na szczęście nie potrafiłam zniechęcić męża, nawet kiedy po śmierci ojca po raz drugi wniósł pozew rozwodowy. Tego już jednak sama nie uniosłam, musiałam skorzystać z pomocy psychiatry i środków antydepresyjnych. Jednocześnie podjęłam indywidualną terapię. Powoli odkrywałam swój udział w kryzysie. Bolało bardzo, ale pomogło mi przejść spokojnie przez drugi proces. Mąż atakował i oskarżał. Broniał małżeństwa z poczuciem, że nie zależy mi już tak bardzo na efekcie końcowym, nawet byłam przygotowana na to, że tym razem zostanie orzeczony rozwód. Ważne dla mnie było to, że nie przyłożę ręki do tego zła. Zaskoczyło mnie oddalenie przez sąd powództwa w całości. Proces trwał 14 miesięcy, w tym czasie dwoje z naszych dzieci zawarło śluby sakramentalne, a najmłodsza córka wyjechała po maturze do Anglii, gdzie mieszka i pracuje od 1,5 roku. Oczywiście mąż uczestniczył w tych uroczystościach, ale to niczego nie zmieniło między nami. Nadal nie chce utrzymywać ze mną żadnego kontaktu, oskarża mnie o wszystkie swoje porażki życiowe, a szczególnie o to, że odrzuciły go dzieci. Mam czyste sumienie, bo naprawdę od ponad roku nie zrobiłam niczego, nawet nieświadomie, co mogłoby w jakikolwiek sposób to spowodować. Myślę, że po prostu mąż się pogubił w obietnicach, słowach, czynach – nie był spójny w swoich postawach, dlatego straciły zaufanie. Dopóki nie zrozumie, że to owoc jego działania, nic się nie zmieni.

Minęły cztery lata kryzysu, który się jeszcze pogłębił, sąd nas jednak nie tylko nie rozwiódł, ale nawet stwierdził, że mam prawo bronić małżeństwa, ze względu na swoje przekonania religijne. W uzasadnieniu wyroku sąd apelacyjny utrzymał wcześniejszy wyrok

sądu o nierozwiązywaniu małżeństwa. Odrzucając argumenty małżonka wnoszącego o rozwód i nie wyrażając nań zgody, powołał się na zasadę ochrony rodziny oraz wolność sumienia i religii, które stanowią wartości chronione konstytucyjnie, fundamentalne dla systemu prawnego. Sąd uznał, że odmowa zgody na rozwód ze względów religijno-moralno-uczuciowych nie jest sprzeczna z zasadami współżycia społecznego i w świetle tych zasad zasługuje na aprobatę, gdyż nie płynie ona z pobudek ubocznych, nie pozostających w związku z istotą małżeństwa ani też z niskich pobudek ujemnych moralnie, jak szynkany, zemsta czy względy majątkowe, w tym chęci uzyskania nieuzasadnionych korzyści. W szczególności sąd podzielił tu poglądy orzecznictwa, zgodnie z którymi brak podstaw do przyjmowania, że odmowa zgody na rozwód ze względów moralnych i religijnych jest sprzeczna z zasadami współżycia społecznego (por. uzasadnienie wyroku SN z dnia 10 września 1997 r. sygn. II CKN 292\97, LEX nr 847115, a wcześniej orzeczenie SN z dnia 18 czerwca 1955 r., sygn. III CR19954, OSNCK 1956\100, gdzie zasadnie wskazano, iż okoliczność, że powodem odmowy zgody na rozwód są względy religijne, ani małżonka moralnie nie dyskwalifikują, ani też nie stwarza to elementu interesu społecznego przemawiającego za orzeczeniem rozwodu, przy czym inna byłaby pod tym względem ocena, gdyby sprzeciw małżonka wynikał z niskich pobudek, na przyjęcie czego jednakże brak w niniejszej sprawie także podstaw: por. podobnie Z. Krzemiński, *Rozwód. Komentarz do przepisów. Orzecznictwo. Piśmiennictwo. Wzory pism*. Zakamycze, Kraków, 2001 r. s. 68).

Jak się czuję dzisiaj z tym wszystkim? Na pewno jest mi ogromnie żal, że tak się między nami podzieliło i mam poczucie straty. Dałam sobie wreszcie prawo do rozpoczęcia czasu żałoby, choć przyznam, że nie do końca się z tym pogodziłam. Ot, przyjęłam do nieakceptującej świadomości. I próbuję budować moje życie w tych nowych realiach. Raz idzie świetnie, raz są upadki i łzy. Podnoszę się jednak, czasem szybciej, innym razem wolniej. Nie żałuję, że nie uległam naciskom męża, bo dzięki temu mam spokój serca i sumienia.

Wierzę głęboko, że Bóg nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w sprawie naszego małżeństwa, więc modłę się i trwam, oddając Jezusowi i Maryi naszą poranioną rodzinę. Jezu ufam Tobie!

ROZDZIAŁ IX

Niech miłość i wierność cię strzeże; przymocuj je sobie do szyi, na tablicy serca je zapisz

(Prz 3,3)

Może zaskoczę czytelników (ale pewnie nie tych, którzy rzeczywiście przeżyli rozwód) tym, że przez pewien dłuższy czas sprawy nie ulegały wyprostowaniu, tylko jeszcze bardziej się komplikowały i gmatwały. Mój mąż reagował agresją na najdrobniejsze przeciwności, takie jak niemożność zabrania synka z domu z powodu choroby, kłopoty z ustaleniem spłaty kredytu albo moja niechęć do tego, by dzieci spotykały jego nową partnerkę. Doświadczyłam przemocy, również fizycznej, byłam szpiegowana, oskarżana o zaniedbywanie dzieci. Także one, niewinne, były świadkami przemocy wobec mnie. Musiałam wzywać policję. Po tym doświadczeniu nawet nie miałam siły pytać Chrystusa: Dlaczego? Po co? A kwestię przebaczenia trzeba było rozważać zupełnie od nowa, od punktu wyjścia.

Wstrząsem był pożar domu moich rodziców. Na szczęście nikomu nic się nie stało, a rodzice dzięki wielkim staraniom odbudowali dom. Poznańskie ognisko Sycharowe na długi czas straciło duszpasterza. Ja straciłam pracę – nie ze swojej winy. Dopiero po półrocznej przerwie odzyskałam to samo stanowisko. Po prostu żyłam w rejonie wstrząsów sejsmicznych.

W ciągu dwóch lat od wyprowadzki męża odbyło się dwanaście rozpraw rozwodowych, a potem kosztownie nieprzyjemne badanie w Rodzinnym Ośrodku Diagnostyczno-Konsultacyjnym. Moja wspólnota na sali sądowej i poza nią była przezywana niebezpieczną sektą, która wyprała mi mózg. Oprócz utraty męża, straciłam także kontakt ze wszystkimi członkami jego rodziny. Nasze dzieci, szczególnie średnia córeczka, chorowały tak, że założyłam teczkę na wypisy ze szpitali i prowadziłam osobny terminarz wizyt u specjalistów. Ja również poczułam się kiepsko, ale uznałam, że w takim niedoczasiu moje bieganie po lekarzach to byłaby już nadmierna fanaberia. Tym sposobem badanie krwi wykazało silną anemię dopiero wtedy, gdy moje tętno spoczynkowe wynosiło już 140 na minutę i każdego wieczoru po pracy czułam się jak biegacz po bardzo długim dystansie.

W tym samym czasie Pan dawał także cudowne sukcesy. Świetne wyniki szkolne córek, mimo ciężkich chwil, jakie przeżyły. Awans zawodowy i umowę na czas nieokreślony w pracy. I najcenniejsze: prawdziwych przyjaciół, którzy stali za mną murem, niesamowitych ludzi, nieprzypadkowo spotkanych. Życie codzienne uprościł samochód i prawo jazdy – czego prawie prześlałam się już spodziewać. W Wielkanoc 2011 roku rozpoczęłam niełatwą, ale bardzo potrzebną pracę nad sobą w programie „12 kroków ku pełni życia”. O programie szczegółowo piszę dalej. Wkrótce potem przystąpiłam także do Ruchu Wiernych Serc poprzez wpis w księdze prowadzonej przez redakcję dwumiesięcznika „Miłujcie się!”.

Patrzyłam na rozwój wspólnoty Sychar, byłam na wszystkich kolejnych rekolekcjach i wakacjach, i pragnę napisać o kilku osobach. Jednej z nich nie ma już z nami. 13 stycznia 2011 roku zmarła Kasia, nasza warszawska moderatorka. Osierociła dwoje dzieci. Wymieniałyśmy maile, ale nie zdążyłam poznać jej osobiście. Wierzę, że teraz wstawia się u Ojca Niebieskiego za naszymi

Sycharowymi sprawami. Andrzej Szczepaniak wspomina Kasię takimi słowami:

Kasia wniosła ogromny wkład w rozwój naszej wspólnoty. Była jedną z pierwszych użytkowniczek internetowego forum pomocy oraz jego moderatorem. Od 2005 roku uczestniczyła w spotkaniach wspólnoty w Warszawie u księży Pallotynów przy ul. Skaryszewskiej. W 2007 roku została współzałożycielem Stowarzyszenia Trudnych Małżeństw Sychar. Rok później, podczas rekolekcji wspólnotowych w Częstochowie w Sanktuarium Krwi Chrystusa 11 października 2008 roku przystąpiła do Ruchu Wiernych Serc (RWS) i wkrótce potem, 18 października wzięła udział we mszy świętej dziękczynnej za powstanie Ruchu Wiernych Serc, którą odprawił ks. kardynał Henryk Gulbinowicz. Wzięła udział w pierwszych rekolekcjach dla moderatorów w Krakowie-Łagiewnikach, podczas których 19 kwietnia 2008 roku uczestniczyła w spotkaniu moderatorów internetowego forum pomocy z ks. kardynałem Stanisławem Dziwiszem. W czerwcu 2009 roku uczestniczyła w pierwszych rekolekcjach RWS-u w Sanktuarium Maryjnym w Gidlach. W sierpniu 2009 roku weszła w skład Zarządu naszego Stowarzyszenia i aktywnie, na ile jej zdrowie pozwalało, brała udział w zebraniach. W grudniu 2009 uczestniczyła w spotkaniu przedstawicieli wspólnoty z ks. Arcybiskupem Henrykiem Hoserem. Kasia była dla nas wzorem, jak mądrze i z miłością w trudnych sytuacjach bronić małżeństwa przed rozwodem. Świadczy o tym m.in. jej wpis na forum pomocy pt. „Pełnomocnik ds. walki o Jedność Małżonków”:

«Pragnę podzielić się z Wami, drodzy, świadectwem działania Opatrzności Bożej w czasie kryzysu małżeńskiego na podstawie doświadczenia bycia prowadzoną przez adwokata – pełnomocnika. Naciski na formalizację stanu kaleczącego przymierze małżeńskie, jak i rodzinę (separacja faktyczna) pojawiły się niedługo po wyprowadzce męża. Ja stanowczo mówiłam, że ze swojej strony niczego formalizować nie potrzebuję, bo zrobiłam to już w dniu ślubu przed Bogiem. Mówiłam też mężowi, że wiem, że nie mam wpływu na jego działania. Po narodzinach drugiego dziecka mąż jakiś czas

pomieszkiwał z nami, jednak po okresie połogu definitywnie się wyprowadził. Nastąpił szantaż. Usłyszałam słowa:

– Albo zgodzisz się na jakąś formę formalizacji stanu rzeczy, albo „zero pieniędzy”.

Dostałam również jasną informację na temat posiadania przez męża adwokata.

W tym trudnym czasie odbyłam rekolekcje w Bożej Woli, gdzie znajoma poleciła mi panią adwokat. Mecenasa ze znanej kancelarii prawnej postanowiła mi pomóc zupełnie bezinteresownie.

Najważniejszą sprawą podczas naszej rozmowy było ustalenie priorytetu – celu, do jakiego razem dążymy: ratowanie małżeństwa i rodziny. Problem na chwilę obecna: mąż przestał łożyć na rodzinę. Nasza odpowiedź: nieuleganie podczas ewidentnej próby siły; ja również przestaję uiszczać jakiegokolwiek rachunki, które pocztą regularnie przekazuję mężowi, dołączając ciepłe, aczkolwiek stanowcze listy z prośbą o opłaty. Na brak odzewu, mecenas ustanowiła siebie moim pełnomocnikiem i wysłała mężowi list z informacją o zamiarze wszczęcia postępowania o alimenty i prośbę ewentualnego wcześniejszego spotkania z jego pełnomocnikiem. Warunek: spotkanie i rozmowa pod warunkiem uregulowania długów.

Wtedy wszystkie długi zostały spłacone, nastąpiło kilka spotkań, na których toczyły się rozmowy, co mąż może mi dać w zamian za „wolność”. Oczywiście najwięcej mogłam „skorzyszczać” na zgodzie na definitywny rozwód. Mąż regularnie płacił, nie doszło do pójścia na ugodę, stan zawieszenia trwał. Moja mecenas zaproponowała postawę wyciekającą, wobec stabilnej sytuacji finansowej, jaka nastąpiła.

Mąż, jak zwykle, odwiedzał mnie i dzieci około 3 razy w tygodniu. Staralam się wówczas zapewniać atmosferę normalności, proponując czasem jakiś posiłek. Czasem inaczej: organizowałam sobie czas, żeby mógł spokojnie sam na sam побыć z dziećmi w domu.

Jednak atak nastąpił ponownie. Tym razem mąż nakazał, żebyśmy spotkali się obydwójce w obecności swoich pełnomocników. Miała to być, zdaje się, definitywna rozmowa i już, być może, podjęcie przez męża działań w sądzie. Moja pełnomocnik przywitała męża bardzo ciepło, wyczułam nawet nutkę żartu w głosie, co rozładowało atmosferę. Powiedziała mianowicie: – Ależ wybrał pan sobie powód do spotkania!

Podczas konfrontacji pani mecenas męża od początku mówiła, że już nic nas nie łączy i czas na formalizację. Moja jednak powiedziała, że jest innego zdania, więzi nadal są żywe i że reprezentując mnie, będzie bronić rodziny, mając nadzieję, że mąż jest świadomy i zdaje sobie sprawę z tego, jak bolesne skutki uboczne wiążą się z jego decyzją odejścia. Propozycje męża były bardzo kuszące. Ja jednak powiedziałam: – NIE, mnie to nie jest potrzebne. Ja wierzę, że małżeństwo jest do uratowania i mąż wróci.

– Kiedy? – zapytała pełnomocnik męża – za dwa, trzy lata?

– Może za trzy, cztery...

– A może za dziesięć, dwadzieścia...?

– Może i dwadzieścia, a może i więcej, sam Bóg to wie, ale ja kocham, będę czekać i wierzę, że mąż wróci.

Mecenas męża zaproponowała wtedy: – To może chociaż rozdzielność majątkowa, to w pani interesie, bo mąż może się, na przykład, zadłużyć. A ja na to: – Pani mecenas, ja do męża MAM ZAUFANIE i wiem, że nie skrzywdzi on mnie ani naszych dzieci, dlatego i rozdzielność majątkowa nie jest mi potrzebna.

Czuć było wyraźne jej zdenerwowanie, na co jeszcze powiedziałam, że nie dziwi mnie brak jej spokoju w sytuacji, gdy chce ona doprowadzić do formalnego zatwierdzenia sytuacji tak bolesnej i dla mnie, i dla naszych dzieci, i dla męża, i innych członków naszych rodzin.

Spotkanie się zakończyło. Mąż nie powiedział prawie nic.

Nie wiedziałam, co będzie dalej. Zawierzyłam już wszystko Bogu i Najświętszej Matce. Nastął ponownie czas stabilizacji. Moja mecenas znów zarządziła czekanie. Teraz jednak czułam inną atmosferę, to było jakby przedwiośnie. Nasze relacje zaczęły się zmieniać. Mąż nigdy więcej nie zaproponował ruchów prawnych. Bóg zechciał, żeby mąż w pewnym momencie do mnie wrócił. Stało się to w związku ze zdiagnozowaną u mnie chorobą. Od roku jesteśmy znów razem, cały czas jako małżonkowie wobec Boga i prawa stanowionego przez człowieka.

Kryzys trwał 3 lata. Pragnę jeszcze dodać, że był to czas mocnego szturmowania modlitewnego do Boga Miłosiernego w intencji naszej Jedności, o który prosiłam wielu ludzi i świętych orędowników. Nieocenioną rolę spełniła dana nam ku ratunkowi moja pani mecenas, którą niech Bóg wspiera i błogosławi w życiu rodzinnym i życiu zawodowym».

Kasia była człowiekiem głębokiej wiary i modlitwy, swoim życiem dawała świadectwo wiernej, ofiarnej i mądrej miłości, broniącej prawdy o nierozzerwalności sakramentu małżeństwa. Mądrze pomagała innym małżonkom dźwigać małżeński krzyż. W dniu 13 stycznia 2011 roku, po ciężkiej chorobie, odeszła do Domu Ojca.

Ja do słów Andrzeja mogę tylko dodać: Kasiu! Wiem, że Ty teraz żyjesz pełnią życia, o jakiej tu nam się nawet nie śni. Wstawiaj się tam za naszymi pogubionymi małżonkami!

Od czasu do czasu w Sycharze rozwiązuje się worek z cudami i obysypują one małżeństwa, które po ludzku zdawały się już nie do uratowania. Na początku spieszyłam się z pisaniem tej książki, ale Pan Bóg przytrzymał moje ręce mówiąc: „Poczekaj – jeszcze zobaczysz i opiszesz cuda, które Wam uczynię”. Zresztą Mirka, o której chcę teraz opowiedzieć, wybrała sobie utworzony od imienia nick Mirakulum (łac. *miraculum* – ‘cud’) zupełnie nie będąc świadoma jego znaczenia.

Mirka i Jarek wzięli ślub w 1988 roku, a ich małżeństwo, w trakcie którego przyszły na świat cztery córki, było od początku naznaczone piętnem choroby alkoholowej i przemocy. Na jakiś czas pomogła terapia dla osób uzależnionych i całej rodziny, jednak bez nawrócenia Jarek wytrwał w trzeźwości tylko kilka lat. W 2006 roku Mirka uznała, że możliwości ratowania małżeństwa się wyczerpały i złożyła pozew o rozwód, który otrzymała w ciągu 20 minut, na pierwszej rozprawie. Jarek wyemigrował do Szkocji i ich kontakt prawie się urwał. Na tym kończą się setki podobnych historii, jeżeli nie wkracza w nie Jezus z całkowicie szalonym planem zbawczym.

Swoją nick Mirakulum wykorzystywała najpierw na portalach randkowych. Marzył jej się facet na 100% – miłość na 100%. Potem śmiała się, że gdyby pragnęła 80%, to może i znalazłby się dla niej jakiś Kowalski. Ale Kimś na 100% jest tylko Jezus i dlatego to On odpowiedział na jej pragnienia.

Latem 2009 roku wzięła sobie z biblioteki coś „lekkiego” do poczytania na wakacje. Trafiła na powieść Karen Kingsbury pt. *Ocalenie*, pierwszą część amerykańskiego cyklu z nurtu powieści chrześcijańskich. Czytając, uświadomiła sobie, że dotąd nie rozumiała pojęcia „sakrament małżeństwa”. Wpisała te słowa w wyszukiwarkę i jednym kliknięciem znalazła się w Sycharze. Wkrótce napisała w swoim pierwszym wątku zatytułowanym „Szukajcie a znajdziecie”:

Rozwód cywilny miał dać mnie i dzieciom poczucie bezpieczeństwa, wolność od ciągłego strachu. Teraz wiem, że Bóg ma dla mnie plan, trzeba tylko wierzyć, modlić się i kochać. Nie wiem, czy kiedyś jeszcze będziemy razem, ale od kilku dni moje zamrożone serce szaleje ze szczęścia. Odkryłam, że moja miłość do Boga nigdy nie będzie pełna, jeśli nie będzie złączona z miłością do mojego męża. Nie wiem, jak to się stanie, ale pokładam ufność w Jezusie.

Dla Mirki nie było granic zaufania. Skontaktowała się ze swoim mężem przez skype'a i powiedziała o przemianie, jaka w niej zaszła. Napisała na forum list, używając w emocjach wielkiej czcionki:

JARKU, JA W CIEBIE WIERZĘ I NAPRAWDĘ KOCHAM, ALE NAJWAŻNIEJSZE, ŻE JEZUS JEST OBOK CIEBIE. ON WIERZY W CIEBIE, KOCHA I CZEKA, AŻ TY UWIERZYSZ W NIEGO. Z NIM TWOJE SERCE BĘDZIE NIEUSTRASZONE I ZWYCIĘŻYSZ. Z BOGIEM I TYLKO Z NIM TY, JA I NASZE DZIECI PRZEŻYJEMY WSPANIAŁĄ PRZYGODĘ ŻYCIA, AŻ POZA ŚMIERĆ. WIEM, ŻE COŚ W TWOJEJ GŁOWIE SZEPCZE A MOŻE NAWET KRZYCZY:

– TO SIĘ ZNOWU NIE UDA, TO ZA TRUDNE.

MOŻE POWIESZ, ŻE TAM JUŻ COŚ MASZ – MOŻE COŚ, ALE JAK SAM POWIEDZIAŁEŚ – TO NIGDY NIE BĘDZIE 100%. PAMIĘTASZ, JUŻ RAZ CI SIĘ PRAWIE UDAŁO, ZABRAKŁO – NAM OBOJGU – BOGA).

BYŁEŚ WTEDY WSPANIAŁY – SAM TO CZUŁEŚ – WSPANIALE ZŁAPAŁEŚ KONTAKT Z DZIEWCZYNKAMI, BYŁEŚ SILNY, NIEUSTRASZONY, CZUŁY I KOCHAJĄCY, BYŁEŚ WSPANIALSZY NIŻ MOGŁAM MARZYĆ.

BYŁAM Z CIEBIE DUMNA I PRZYZNAJ SAM, NAWET INNI MĘŻCZYŹNI TO CZULI. TY TO WSZYSTKO MASZ, TO WSZYSTKO JEST W TOBIE. GDYBYŚ TEGO NIE MIAŁ, BÓG NIE WYBRAŁBY WŁAŚNIE CIEBIE ZA MĘŻA DLA MNIE I OJCA DLA CZTERECH PIĘKNYCH DZIEWCZĄT.

CZY PAMIĘTASZ, ŻE KIEDYŚ MARZYŁEŚ, BY MIEĆ SYNA? WSZYSTKO JEST MOŻLIWE DLA BOGA.

JA ZARYZYKOWAŁAM, WYZNAŁAM CI, CO CZUJĘ, I NADAL TO BĘDĘ ROBIĆ. WSZYSTKIM MÓWIĘ BEZ LĘKU O SWOJĘ DECYZJĘ, MIŁOŚCI I NAWRÓCENIU.

RZUCIŁAM SIĘ W PRZEPAŚĆ I NIE SPADŁAM, TYLKO FRUNĘ, LECĘ. CZASEM ŚWIECI SŁOŃCE, CZASEM JEST DESZCZ I BURZA, ALE NIE ODDAM TEGO ZA NIC!

ZARYZYKUJESZ??? SKOCZYSZ Z JEZUSEM I ZE MNĄ???

Już po jej pierwszych rekolekcjach – jesienią 2009 roku w Ry-chwałdzie – szatan przypuścił atak, próbując zepchnąć ją z ob-ranej drogi. Mąż poinformował ją, że będzie miał dziecko z ko-chanką. Mirka poprosiła: – Jezu, tylko nie pozwól, by moje serce znowu skamieniało.

Rozmawiała ze swoimi czterema córkami. Dziewczyny były poruszone ewentualną sytuacją tego maleństwa. Spytały:

– Mamo, ono ma się tam wychować w alkoholowym domu? Może my weźmiemy je do siebie?

Mirka opowiadała mi tę historię wiele miesięcy później – jesz-cze wtedy miała lzy w oczach wspominając troskę swoich córek. Te dni po nowinie męża były dla niej modlitwą w Ogrójcu. Jed-nak prawda wyszła na jaw: nie było żadnego dziecka. Kochanka wcale nie była w ciąży.

A potem nastąpiły tygodnie przechodzące w miesiące i miesiące przechodzące w lata trwania w postanowieniu, wbrew wszelkim trudnościom i okolicznościom zewnętrznym. Jarek pił, nie przy-syłał ze Szkocji alimentów, okresowo nie dawał znaków życia. Mirka prowadziła ognisko w Trójmieście, skończyła program „12 kroków ku pełni życia” i sama zaczęła prowadzić kolejną grupę dwunastokrokową, dyżurowała w poradni diecezjalnej przy ka-tedrze w Oliwie, pomagając innym małżeństwom i pojedynczym osobom.

Kiedyś spytała: – Tyle mnie nauczyłeś, Boże, o małżeństwie, tyle mi objawiłeś, ale czy ja kiedyś będę mogła wypróbować to w praktyce? Chciałabym spróbować, jak to działa.

Latem 2010 roku, przed naszymi wakacjami w Rabie Wy-żnej, nieoczekiwanie mąż zaprosił ją na miesiąc do Szkocji. Pan Bóg odpowiedział: – Proszę, wypróbuj, moja miła.

Po tych przedziwnych wakacjach nastąpiły jeszcze dwa lata bez większych zmian. Jarek nie mógł zdobyć się na powrót i zerwanie

z nałogiem. W lipcu 2011 roku Mirka przyjęła szkaplerz karmelitański w Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej w Oborach. Zakupiła też drugi szkaplerz, dla męża. Powiesiła go w domu z myślą, że ten poczeka na jego nawrócenie. Wiosną kolejnego roku przeczytała w Księdze Izajasza słowo dla siebie: *Zaiste, o ludu, który zamieszkujesz Syjon w Jerozolimie, nie będziesz gorzko płakał. Rychło okaże ci On łaskę na głos twojej prośby. Ledwie usłyszysz, odpowie ci* (Iz 30,19). Zastanawiała się wtedy:

– Rychło okażesz mi łaskę... Panie, ale Twoje rychło czy moje rychło...?

W lipcu 2012 znów spotkałyśmy się na Sycharowskich wakacjach, które Mirka współorganizowała. W czasie deszczowej pogody gromadziliśmy się w małych grupkach i żartowaliśmy na temat naszej terażniejszości i przyszłości. Mirka zaczęła podejrzewać, że Pan Bóg odda jej męża na starość, na wózku inwalidzkim, aby była jego opiekunką. Snucie najbardziej ponurych planów wywoływało największe wybuchy śmiechu. Tymczasem tydzień później zadzwoniła do mnie i oznajmiła bez cienia żartu w głosie: – Jarek kupił bilet lotniczy i wraca!

Tak się stało. Jej mąż przeżył nawrócenie, przyjął szkaplerz karmelitański w tym samym Sanktuarium, a mnie było dane być świadkiem zwycięstwa ich małżeńskiej miłości. Widziałam jak traktują się nawzajem, każdy gest i słowo Mirki wypływało z wielkiego namysłu, a Duch Święty – zaproszony – stał pomiędzy nimi. Dostałam darmowe korepetycje z przebaczenia, szacunku i miłości. Nigdy dotąd nie oglądałam na własne oczy pięknieszego cudu. Bogu wystarczyło jedno zaorane pole ludzkiego serca, aby dać tak wielkie plony. Choć, oczywiście, nawet po takim zwycięstwie ich małżeństwo (i zapewne każde tak głęboko zranione) to nadal orka na ugorze.

Mijały kolejne miesiące ich wytężonej pracy nad odbudową

domu rodzinnego i wiosną 2013 roku dane mi było usłyszeć Jar-
ka mówiącego podczas świadectwa:

– Mirka zawsze była moim skarbem. To tylko ja nie umiałem
być sejfem.

Tak więc strzeżcie się, modlący! Bo wejdzie Pan Zastępów
i zrobi w waszym życiu takie cuda, że nie poznacie waszych bli-
skich ani siebie samych w lustrze!

Kasię Chmurkę poznałam na moich pierwszych rekolekcjach
w Otwocku. Właściwie to ona wyszła mi na powitanie, gdy do-
jechałam z uczeptionym mnie dwuipółlatkiem. Była młodsza ode
mnie, nie miała dzieci, a jej mąż szalał w szerokim świecie, więc
w duchu zrobiło mi się jej żal. Przemknęło mi przez myśl: czy
naprawdę tak puste życie miało ją czekać z woli Bożej? Przeczy-
tajcie sami, jaka byłam wtedy niemądra...

Mam na imię Kasia. Wszystko to, co wydarzyło się w moim ży-
ciu i w moim małżeństwie jest dowodem, że Bóg jest Bogiem peł-
nym Miłości, Bogiem wiernym, Bogiem wszechmocnym. To On wy-
biera czas i miejsce, słowa Pana Jezusa: *Otrzymacie wszystko, o co
na modlitwie z wiarą prosić będziecie* (Mt 21,22) są wiecznie żywe!
Gdy parę lat temu, po niecałych trzech latach małżeństwa i dzie-
sięciu latach znajomości, mój mąż powiedział, że już mnie nie
kocha, że się wypalił w tym związku, cały mój świat runął. Te
słowa i wynikające z nich późniejsze działania męża, jego wy-
prowadzka, nowy, kawalerski styl życia, przyniosły mi tyle cier-
pienia, ile nie zaznałam nigdy wcześniej. Przyłgnęłam wówczas
do Boga jak do „ostatniej deski ratunku”. Od początku chciałam
ratować nasze małżeństwo. Wierzyłam, że jeśli będę się inten-
sywnie modlić o nawrócenie męża, on szybko wróci. Jednak Pan
Bóg działał inaczej, niż tego oczekiwałam. Ten Boży plan był dla
mnie szkołą zaufania wobec Boga, który jest wierny przymierz-
u małżonków i działa, pomimo tego, że nie widać jeszcze efektów,
szkołą cierpliwości w czekaniu na owoce i cieszenia się z życia

takim, jakim ono w danej chwili jest, szkołą prawdziwej miłości wobec męża, który krzywdzi i szkołą wiary, która „góry przenosi”. Pan Bóg przez ten wielki kryzys w naszym małżeństwie upomniał się o mnie samą. Chciał, abym z Jego pomocą uporządkowała swoje życie duchowe i emocjonalne. Chciał, abym w końcu Jego postawiła na pierwszym miejscu. Byłam katoliczką, która co tydzień chodziła do kościoła, ale moja relacja z Bogiem była letnia. Przed ślubem przez dwa lata mieszałam z moim, wówczas jeszcze nie-mężem, i nie widziałam w tym nic złego. Pewnych prawd głoszonych przez Kościół nie przyjmowałam, bo uważałam, że ja sama wiem najlepiej, co jest dla mnie dobre. Tymczasem po odejściu męża przeżyłam rzeczywiste nawrócenie. Pan Bóg postawił na mej drodze wspaniałego spowiednika, u którego odbyłam spowiedź z całego życia. Po tej spowiedzi, w czasie której w końcu wyznałam Panu Bogu wszystko, o czym On przecież od dawna wiedział, poczułam się, jakbym dostała nowe życie. Byłam wolna i szczęśliwa. Zaczęłam pogłębiać swoje życie duchowe. Rozpoczęłam również terapię indywidualną jako DDA, dzięki której poznałam lepiej siebie, przepracowałam trudne wydarzenia z dzieciństwa i zaczęłam pracę nad wadami mojego charakteru, które w znaczny sposób doprowadziły do kryzysu w moim małżeństwie i uniemożliwiały mężowi bycie szczęśliwym w takim związku. Powoli zaczęłam dostrzegać to, że w żaden znaczący sposób nie mam już wpływu na życie męża, że jego serce może przemienić tylko sam Bóg. Zaczęłam uczyć się żyć swoim życiem, o męża walczyłam jedynie modlitwą i postem. W sercu od samego początku miałam pewność, że Pan jest ze mną w tym trudnym małżeństwie, że chce, abyśmy ja i mój mąż byli razem i że uzdrowi nasze małżeństwo we właściwym czasie. Musiałam jedynie – lub aż – zaufać Mu bezgranicznie i współpracować z Nim. Od samego początku przyglnęłam do słów Jezusa, że otrzymam wszystko, o co będę prosiła Go z wiarą. Uwierzyłam w nie bezgranicznie, jak dziecko. Modliłam się nimi, wyznawałam je na głos. Wiara, że słowa te są prawdziwe i że ja i mój mąż będziemy kiedyś razem, została wyryta w moim sercu. Powoli uczyłam się żyć swoim życiem. Zaangażowałam się we

wspólnotę Sychar, przystąpiłam do Ruchu Wiernych Serc – a w sercu stałe nosiłam mojego męża. Ofiarowywałam regularnie w jego intencji msze święte, odmówiłam dwa razy Nowennę Pompejańską, wysyłałam co kilka miesięcy prośby o modlitwę do kilkudziesięciu zakonów w Polsce... Czas płynął... Nie jeden raz się buntowałam. Byłam młoda, miałam satysfakcjonującą pracę i nie chciałam żyć sama. Różni znajomi mówili: – Dziewczyno, co ty robisz, marnujesz sobie życie!

Czasami w moim sercu pojawiało się pytanie, czy jednak nie mają racji. Na modlitwie odzyskiwałam jednak pokój w sercu i przeświadczenie, że tylko z mężem mogę być naprawdę szczęśliwa, że w każdym innym związku mogę mieć jedynie 20, 40, 60% tego, co będę miała w pobłogosławionym przez Boga małżeństwie z moim mężem. Zanim zaczęło być między nami lepiej, wszystko sięgnęło dna. Mąż zaczął spotykać się z inną kobietą, zamieszkał z nią. Ze mną chciał utrzymywać jedynie relacje koleżeńskie. Powiedziałam mu wówczas, że nigdy nie będę jego koleżanką, bo jestem i zawsze będę jego żoną – i zerwałam z nim kontakt. Gdy już przyjąłam i w pewien sposób przeżyłam cierpienie wynikające z tego, że mój mąż jest z inną kobietą, poczułam wezwanie do intensywnej modlitwy w jego intencji. Jednocześnie za radą mojego stałego spowiednika zamówiłam msze święte w intencji uzdrowienia międzypokoleniowego w rodzinie męża (dziadek męża zostawił jego babcię, a swoją żonę i przez wiele lat żył w związku niesakramentalnym z inną kobietą). W czasie trwania tych trzydziestu mszy świętych mąż zakończył związek z kobietą, z którą żył, i wyprowadził się z mieszkania, w którym z nią mieszkał. Później powiedział mi, że im dłużej był z nią, tym bardziej nie był szczęśliwy, bo tym częściej myślał o mnie... Pan Bóg powoli, szanując wolę mojego męża, kierował nas ku sobie. Zaczęliśmy się spotykać, poznawać na nowo. Dopiero po roku, po poważnej i długiej rozmowie, na powrót zamieszkaliśmy razem. Rozpoczęliśmy terapię małżeńską. Kilka miesięcy później pojechaliśmy na rekolekcje dla małżeństw z o. Jamesem Manjackalem. W czasie tych rekolekcji Pan Bóg dotknął ponownie serca mojego męża. Przystąpił do sakramentu pokuty po kilku latach

przerwy. Przeprosił mnie za wszystko, co zrobił, podziękował za to, że na niego czekałam, powiedział, że mnie kocha i że tak naprawdę nigdy nie przestał. W czasie tych rekolekcji, które były wielkim darem Boga dla nas, odnowiliśmy nasze przyrzeczenia małżeńskie. Stało się to dokładnie w wigilię naszej siódmej rocznicy ślubu. Dziękuję Panu Bogu za to, że przygarnął mnie z miłością wówczas, gdy opuścił mnie mąż, że prowadził mnie za rękę, niósł, gdy ja nie miałam siły już iść dalej, pocieszał i wspierał przez te prawie trzy lata, gdy byłam sama. Dziękuję za doświadczenie Jego Ojcowskiej Miłości wobec mnie jako swojego ukochanego dziecka w czasie rekolekcji na Górze Tabor w Ziemi Świętej. Dziękuję, że postawił na mojej drodze kilku wspaniałych kapłanów, którzy razem ze mną niezachwianie wierzyli w powrót męża, że działał w moim życiu przez wspaniałych przyjaciół, których poznałam we wspólnocie Sychar i Ruchu Wiernych Serc. Dziękuję Panu Bogu za Jego wyrozumiałość dla mojego pojawiającego się buntu wobec czekania na męża, za Jego znaki dla mnie, że idę w dobrym kierunku. A znaków tych, których w pewnych sytuacjach potrzebowałam jak tlenu, było naprawdę wiele. Dziękuję za wszystko, czego On, Bóg Rzeczy Niemożliwych, dokonał i dokonuje w moim życiu, w życiu mojego męża i w naszym małżeństwie. Wiele miesięcy temu, gdy jeszcze byłam sama, w czasie modlitwy po Komunii Świętej, usłyszałam w swoim sercu głos mówiący, że ja i mój mąż będziemy mieli dzieci! Uderzyły mnie te słowa i choć wielu mogłyby wydawać się absurdalne, ja uwierzyłam w nie i przyjąłam jako zapowiedź tego, co się kiedyś wydarzy. Dziś Pan wypełnia swoją obietnicę. Za kilka miesięcy urodzi się nasze pierwsze dziecko. Razem z Psalmistą śpiewam:

*Złożyłem w Panu całą nadzieję;
On schylił się nade mną
i wysłuchał mego wołania.
Wydobył mnie z dołu zagłady
i z kałuży błota,
a stopy moje postawił na skale
i umocnił moje kroki.*

*I włożył w moje usta śpiew nowy,
pieśń dla naszego Boga (Ps 40,2-4).*

To świadectwo napisałam ponad 1,5 roku temu. Dziś mijają dwa lata, odkąd na nowo jesteśmy razem. Przez ten czas przeżyliśmy razem wiele pięknych, ale i też trudnych chwil.

Choć wiele gór za nami i przed nami, to idziemy razem, a z nami idzie Pan Bóg i ta wspólna droga jest piękna. Życie małżeńskie to wspinaczka na Mount Everest. Ale przecież im wyższa góra, tym piękniejsze widoki. Niedługo nasza rodzina znowu się powiększy. Oczekujemy na narodziny naszego drugiego dziecka.

Chwała Panu!

ROZDZIAŁ X

I tak ścieżki mieszkańców ziemi stały się proste, a ludzie poznali, co Tobie przyjemne, i wybawiła ich Mądrość

(Mdr 9,18)

Długo dojrzewałam do pisania poradnikowej części tej książki. Powstrzymywały mnie myśli, że nie jestem „nikim takim”: żadnym specjalistą ani autorytetem w tej dziedzinie. Mogę pisać tylko z własnego doświadczenia i doświadczeń osób, nad którymi niejako roztaczam świecką opiekę we wspólnocie. Wiele cennych porad można znaleźć w poradnikach czy artykułach psychologicznych na czas kryzysu. Ale niewiele z nich zachowuje przy tym chrześcijańską optykę. Dobry Bóg dał nam idealne przykazania, aby nas chronić od mnóstwa krzywd. Tylko że my nieustannie zbaczamy z prostych ścieżek. Jak możemy sobie jeszcze pomóc? Co, być może, zadziała na naszą korzyść? Co wydaje się najlepsze w trudnej małżeńskiej sytuacji? To tylko moje podpowiedzi.

1. Jesteś jeszcze przed ślubem i twój ukochany/ukochana zdradza cię, nadużywa alkoholu albo stosuje wobec ciebie przemoc – nawet, jeśli uderzył cię jeden jedyny raz. Porada: natychmiast zerwij ten związek! To nie jest człowiek dla ciebie. Pan Bóg naprawdę nie chce, aby twoje małżeńskie życie

było pasmem klęsk i porażek. Chce dla ciebie szczęścia już tutaj, na ziemi, nie powołuje cię na ofiarę losu. Nie myśl, że po ślubie on/ona się zmieni, albo że go/ją nawrócisz. Prawdopodobnie nic podobnego się nie stanie. Wycofaj się z tego związku, opłacz go, odżałuj teraz – aby potem nie trzeba było płakać i żałować przez resztę życia.

2. Podejrzewasz zdradę. Nie mam dobrych wieści: większość takich podejrzeń w końcu okazuje się uzasadniona. Z moich obserwacji wynika, że chorobliwa podejrzliwość i zazdrość zdarzają się znacznie rzadziej. Czeka cię zatem droga przez mękę. Ale na początku zrób dokładnie odwrotnie niż popychają cię emocje: zajmij się sobą, a nie zdradzającym. Próba naprawy małżeństwa w trakcie romansu jest jak naprawianie szuflady na sztucce z nożem od chleba świeżo wbitym w plecy. Zdradzający, niezależnie od płci, jest chwilowo poza kontrolą rozumu. Popularnie mówiąc: jest w amoku. Powtarzaj sobie tysiąc razy dziennie: „nie mam teraz wpływu na męża/żonę”. Konkretnej nauki o tym, jak nie gonić uciekającego współmałżonka, dostarcza James Dobson w niewielkiej książeczce pt. *Miłość potrzebuje stanowczości*. Jeśli zaczniesz: prawić kazania, użalać się nad sobą, robić sceny złości lub rozpaczy – najprawdopodobniej osiągniesz efekt mówienia do ściany, a to jeszcze bardziej cię rozjuszy lub unieszczęśliwi. Cokolwiek mu/jej powiesz, nie dotrze do celu przeznaczenia, czyli do myślącego mózgu. Chyba lepiej jest faktycznie pokrzyczeć do ściany, a potem mozolnie zbierać siły i budować sieć pomocy sobie – poprzez modlitwę, spowiedź i Komunię Świętą, poprzez wsparcie wspólnoty, wizytę u psychologa, terapię, jeśli potrzeba, przez wyrzucenie swych przeżyć na forum, zadbanie o dzieci. Potrzeba ci dużo takich zebranych sił i środków na to, co przyniesie los. Są dwa główne rozwiązania: albo staniesz przed wyzwaniem pojednania się i odbudowy związku

po zdradzie, albo współmałżonek nie da ci takiej szansy i odpły-
nie w siną dal. Obie możliwości są równie ekstremalne.

3. Jeśli po rozstaniu zostaniesz w złej sytuacji finansowej, z pewnością masz prawo zebrać dowody zdrady albo innej ewidentnej winy (np. świadków pijaństwa współmałżonka). Nawet jeżeli nie zamierzasz iść do sądu, nie możesz przewidzieć, czy wkrótce nie znajdziesz się tam wbrew swojej woli. No i oczywiście – nawet jeśli kochasz męża czy żonę doskonałą, wybaczącą wszystko miłością – wasze dzieci nie mogą zostać w biedzie, bez alimentów od drugiego rodzica. Nie mogą zostać skrzywdzone podwójnie. Rezygnacja z dochodzenia środków utrzymania rodziny w sądzie to nie miłość, ale niezdrowa pobłażliwość. Ewentualnie strach lub naiwność.

4. Jesteś ofiarą przemocy w małżeństwie. O przemocy napisano i powiedziano ostatnio bardzo wiele, często wystarczy zajrzeć do Internetu, aby móc zdiagnozować w swojej rodzinie różne formy przemocy. To bardzo dobrze, że o przemocy mówi się teraz głośno, zbyt długi czas ofiary cierpiały w milczeniu.

Co na to nauka Kościoła? Jeśli ksiądz w twojej parafii powie ci, że masz biernie znosić krzywdy i upokorzenia, bo opuszczenie męża byłoby grzechem, to cóż... jest tylko człowiekiem, który się myli. Kościół dopuszcza separację dla takich właśnie sytuacji. W Liście świętego Pawła do Efezjan mamy słynne zdanie: *Żony bądźcie poddane swym mężom jak Panu*. Ale nie można odciąć go od następnego zalecenia: *Mężowie powinni miłować swoje żony, tak jak własne ciało*. Te dwa zdania są nierozzerwalnie związane! Przeanalizować trzeba cały fragment 5,21-33. Możesz bezpiecznie być poddana swemu mężowi – a więc szanować go, liczyć się z nim, słuchać, zaspokajać jego potrzeby, tylko wtedy, jeżeli on ciebie miłuje, obdarza szacunkiem, troszczy się o twoje potrzeby. Wtedy z pewnością żadne z was nie dozna uszczerbku.

Ale nie możesz być poddana mężowi, który znęca się nad tobą, lekceważy cię, jest nieodpowiedzialny, a może okrutny. Naszym moralnym obowiązkiem jest szanować i chronić życie i zdrowie, które dał nam Stwórca. Nawet jeśli bardzo kochasz swojego męża – krzywdziciela, powiedz mu: stop! Nie dawaj mu okazji do grzechu. Modlić możesz się za niego z bezpiecznej odległości. A jeżeli masz dzieci – jesteś za nie odpowiedzialna, nie dopuść więc, by działa się im krzywda! Nie chroń sprawcy przemocy przed konsekwencjami jego złych czynów! Chroń dzieci, bo one same nie mogą tego zrobić. Odpowiadasz za nie przed Bogiem.

W obliczu wielkich krzywd małżeńskich ksiądz Marek Dziewiecki wskazuje następujące zasady postępowania:

Zasada pierwsza brzmi: Kościół nigdy nie zaakceptuje rozwodów, bo poważnie traktuje człowieka, który składa przysięgę małżeńską, ale akceptuje separację, gdyż równie poważnie traktuje cierpienie krzywdzonego małżonka. Zasada druga jest równie ważna: To, że kocham ciebie, nie daje ci prawa, byś mnie krzywdził, a bycie krzywdzonym nie daje mi prawa do tego, bym złamał własną przysięgę małżeńską.

W obliczu poważnej krzywdy rolę każdego księdza i świeckiego katolika jest uświadomienie cierpiącego małżonka, iż współmałżonek nie ma prawa nas krzywdzić. Również w małżeństwie jedynie miłość jest nieodwołalna. Wszystko inne można odwołać. Wspólne mieszkanie, wspólne wychowywanie dzieci, współżycie seksualne, wspólnota majątkowa ma miejsce pod warunkiem, że także współmałżonek kocha i że nie krzywdzi członków rodziny. Jeśli jednak ktoś wyrządza okrutne krzywdy swoim bliskim i nie zmienia swego postępowania, mimo ich roztropnych i stanowczych interwencji, to wtedy ostatecznym rozwiązaniem jest separacja małżeńska, czyli miłość na odległość. Separacja trwa dopóty, dopóki błędzący nie uzna swego błędu i dopóki nie przestanie krzywdzić.

W obliczu poważnego kryzysu małżeństwa i rodziny grożą dwie błędne postawy. **Błąd pierwszy polega na biernym poddawaniu**

się krzywdzie i popadaniu w bezradność. Błąd drugi polega na tym, że krzywdzony małżonek broni wprawdzie siebie i dzieci przez krzywdą, ale czyni to w błędny sposób, czyli przez rozwód i zawarcie nowego, cywilnego związku. Jest to postawa błędna dlatego, że w tym przypadku krzywdzony małżonek łamie własną przysięgę małżeńską i w konsekwencji oddala się od Boga i od własnego sumienia. Przyjrzyjmy się bliżej obu tym błędnym postawom.

Błąd pierwszy to bierne poddawanie się krzywdzie w obliczu małżonka, który złamał własną przysięgę małżeńską, gdyż przestał kochać i stosuje przemoc. W takiej sytuacji dosyć często krzywdzony małżonek myli miłość z biernością czy z tolerowaniem zła. Czuje się bezradny, a czasem nawet traktuje zaistniałą sytuację jako wolę Boga. W tego typu sytuacjach zadaniem katolickiego doradcy jest stanowcze przestrzeganie przed myleniem miłości z naiwnością. Cierpienie naiwne ma miejsce wtedy, gdy ktoś nas poważnie krzywdzi, a my się nie bronimy, mimo tego, że nasze cierpienie wcale nie mobilizuje błędzącego do zmiany zachowania. Trwanie w tego typu cierpieniu nie jest naśladowaniem Chrystusa, lecz wyrazem naiwności czy bezradności. W Ogrójcu Chrystus przyjmuje cierpienie nie dlatego, że chce cierpieć, lecz dlatego, że jest pewien, iż Jego cierpienie przemieni wiele osób, które uwierzą w Jego miłość. Inaczej zachowuje się Jezus wtedy, gdy w czasie przesłuchania przed arcykapłanami żołnierz uderza Go w twarz. Teraz broni się stanowczo: *Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego mnie bijesz?* (J 18,23). Czyni tak dlatego, że w tym przypadku zgoda na krzywdę i cierpienie byłaby naiwnością. Bijący Jezusa żołnierz nie mógł przecież rozumieć, że uderza samego Boga i nie był w stanie przemienić się dlatego, że Jezus cierpiał z jego powodu.

Kościół z całą powagą traktuje cierpienie krzywdzonego małżonka i dlatego przyznaje mu prawo do obrony skutecznej! Tymczasem ustawodawca państwowy w obliczu tych, którzy nas krzywdzą, przyznaje nam jedynie prawo do obrony koniecznej. Obrona skuteczna w sytuacji skrajnej, czyli w obliczu dramatycznych,

długotrwałych krzywd wyrządzanych przez współmałżonka, polega na separacji małżeńskiej. Separacja oznacza miłość na odległość, podobnie jak na odległość ojciec z przypowieści Jezusa kochał swego marnotrawnego syna, dopóki ten nie uznał swego błędu i nie powrócił przemieniony. Separacja małżeńska trwa dopóty, dopóki krzywdzący małżonek nie uznaje swoich błędów, nie przeprosza za wyrządzone krzywdy i nie zmienia radykalnie swego postępowania.

Trzeba pomagać, by krzywdzony małżonek podjął najpierw te kroki, które stwarzają szansę na poprawę sytuacji małżeńskiej (np. wejście w ruchy samopomocy w przypadku problemów alkoholowych współmałżonka czy włączenie się w jakąś grupę formacyjną w parafii, w której można uczyć się mądrzejszej, czyli „twardszej” miłości wobec błądzącego). Jeśli wszelkie podjęte kroki nie wpływają na zmianę postępowania błądzącego współmałżonka i nadal drastycznie krzywdzi on swoich bliskich, wtedy zadaniem doradcy katolickiego jest udzielenie pomocy krzywdzonemu, by doprowadzić do separacji małżeńskiej. W polskim ustawodawstwie od kilkunastu lat możliwe jest orzeczenie separacji, które swoimi skutkami prawnymi tożsamy jest z orzeczeniem rozwodu jak np. rozdzielnosc majątkowa z urzędu czy na wniosek alimentacja dzieci, a także małżonka (w tym przypadku nawet dożywotnio, a przy rozwodzie jedynie przez 5 lat).

Kościół nie tylko poważnie traktuje cierpienie krzywdzonego małżonka, ale równie poważnie traktuje złożoną przez niego przysięgę małżeńską! Właśnie dlatego Kościół nie uznaje rozwodów. Mówiąc mocno: Kościół traktuje poważnie człowieka i składane przez niego ślubowanie. Dany człowiek może wprowadzić kpić sobie z własnej przysięgi lub o niej „zapomnieć”, ale Kościół, który kocha człowieka, nie może mu w tym pomagać. **Miłość nigdy nie pomaga w złym!** Właśnie dlatego katolik w żadnej sytuacji nie proponuje krzywdzonemu małżonkowi rozwodu, gdyż nie wolno komukolwiek proponować łamania przysięgi złożonej wobec Boga i człowieka.

W obliczu poważnego kryzysu małżeństwa możemy szukać rozwiązań „łatwych” albo mądrych i uczciwych. Optymalną postawą

w obliczu dramatycznych krzywd, wyrządzanych przez współmałżonka, jest decyzja o separacji, pozostając jednak wiernym własnej przysiędze małżeńskiej. Oznacza to życie w czystości i niełączenie się z kimś innym na sposób małżeństwa. Oczywiście jest to rozwiązanie trudne, ale **jedyne** zgodne z zasadami miłości, wierności i szacunku do samego siebie. Zadaniem doradców katolickich jest ukazywanie oczywistego faktu, że rozwiązania „łatwe” są zawsze zawodne i rozczarowują. Nie wolno nam „pomagać” w szukaniu tego typu „łatwych”, ale niemoralnych dróg wyjścia z bolesnej sytuacji, bo na długą metę tego typu „rozwiązania” powodują popadnięcie w jeszcze większe cierpienie i kryzys. Gdy ktoś z szukających u nas porady, nie chce rozwiązań zgodnych z Ewangelią, pozostaje nam ufna modlitwa w jego intencji oraz nadzieja, że któregoś dnia zwróci się jeszcze raz do nas o pomoc, gdyż zrozumie, że nie istnieją lepsze sposoby przewycięzania trudności życiowych niż te, które są zgodne z Ewangelią.

5. Stało się: trzasnęły drzwi wyjściowe, opustoszała szafa, zostajesz sam/sama. I będziesz żyć dalej. Wbrew pozorom rzadko się od tego umiera, nawet jeśli na początku życie bez współmałżonka wydaje się nierealne. Ja byłam bardzo uzależniona od męża, nigdy nie zaznałam dorosłego życia bez niego, więc w chwili jego odejścia nawet moja wyobraźnia odmówiła współpracy. Jak oddzielić swoją osobę od jego osoby po siedemnastu latach tak głębokiej znajomości? Pomogło mi podzielenie czasu, który miał nadejść, na krótkie odcinki. Najpierw modliłam się z nadzieją, że mąż zaraz zobaczy, co stracił, albo wrzusi się losem dzieci i wróci lada dzień. Potem modliłam się, aby przetrwać te osiem miesięcy do Bożego Narodzenia, bo w Boże Narodzenie, oczywiście, stanie się cud. Tymczasem na długo przed Bożym Narodzeniem byłam gotowa, aby stanąć wobec prawdy, że on ma wolną wolę i może nie wrócić nigdy. Ale wtedy miałam już w miarę sprawnie zorganizowane samodzielne życie i nie musiałam się bać, że sobie kompletnie nie poradzę. Im więcej lat stażu

małżeńskiego, tym większą trudność może ci sprawić ogarnianie życia w pojedynkę. Ale sędziwi wdowcy i wdowy także są do tego zmuszeni. Co prawda, rozwód może zranić bardziej niż śmierć, bo śmierci w końcu się nie wybiera z rozmysłem. Ale Jezus Chrystus uzdrawia w każdej, nawet beznadziejnej sytuacji. Musisz tylko na początek zorganizować sobie życie do jutra. A teraz do końca tygodnia. Potem do końca miesiąca. Inaczej będziesz patrzeć w przyszłość, która wyda ci się czarną dziurą bez dna.

6. A może nadal jesteście razem, pod jednym dachem, nie stało się nic wstrząsającego i „tylko” nie możecie się porozumieć? Tego się można nauczyć. Macie szeroki wachlarz możliwości: warsztaty komunikacji, praca z terapeutą lub z doradcą rodzinnym, czytanie książek i artykułów na ten temat, chociażby znanego od lat Johna Greya *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*, konferencje DVD pastora Marka Gungora „Przez śmiech do lepszego małżeństwa”, książki Jacka Pulikowskiego, nagrania z rekolekcji dostępne na stronie www.sychar.org. Zechciej tylko zmienić swoje stare myślenie i nigdy nie oglądaj się na to, co „powinna” zrobić druga strona, ponieważ wtedy nawet nie ruszycie z miejsca.

Niezależnie od tego, która z powyższych opcji dotyczy ciebie, jesteś w kryzysie. Już od momentu, w którym krzykniesz: „Jezu ratuj!” – pomoc będzie w drodze. Rozejrzyj się, szukaj wsparcia na wszelkie sposoby. Wszystko zależy od twojego stanu. Możesz dostać leki od psychiatry. W wielu miastach są diecezjalne poradnie rodzinne i Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich. Sycharowicze czuwają na forum. Spowiednik w konfesjonale. Korzystaj z pomocy mądrze. Pamiętaj, że masz prawo unikać osób, które wprawdzie nie mają złych intencji, ale ich „dobre rady” bynajmniej nie pomagają. To ciotki, koledzy czy koleżanki, którzy powiedzą ci, na przykład: „To był taki kawał drania, że nie jest

wart ani jednej twojej łzy” lub: „Stary, teraz możemy świętować twój powrót do wolności”. Tymczasem w każdym przypadku trzeba pozwolić sobie na żalobę, na oplakanie straty. Przeżycie straty w języku psychologii oznacza pogodzenie się z faktem, że nie będzie tak, jak było. Nawet jeśli skleisz związek na nowo, po zdradzie, on już nigdy nie będzie taki sam. Wcale nie musi w efekcie być gorszy, ale utrata tego, co już znamy, zawsze boli.

Może czujesz, że bez swojej drugiej połówki rozpadniesz się na kawałki. Jednak tak naprawdę jedynym człowiekiem, potrzebnym ci do życia, jesteś ty sam.

Nie daj się namówić na rozwód. W ten sposób dajesz swemu współmałżonkowi jedno: komfort trwania w grzechu. Oddaję teraz głos ojcu profesorowi Jackowi Salijowi OP, który jasno wyłożył stanowisko Kościoła co do zgody na rozwód:

Czy katolikowi wolno zgodzić się na rozwód? Dotychczas mówiłem tylko o tym, żeby katolik — w ogóle żaden człowiek — nawet nie myślał o rozwodzie. Ale przecież może się zdarzyć, że ktoś wprowadzie nigdy nie pomyślał o rozwodzie, ale z propozycją taką występuje druga strona. Co robić wówczas? Najpierw chciałbym przestrzec przed pewnym rodzajem niedobrej tolerancji. Wyobraźmy sobie, że ktoś powiada wówczas współmałżonkowi mniej więcej tak: „Żałuję bardzo, że tak się stało. No, ale jeżeli pragniesz ułożyć sobie życie inaczej — ja jestem człowiekiem kulturalnym, nie będę ci przeszkadzał”. Ten model zachowania uznawany jest w niektórych środowiskach za obowiązujący. Jak gdyby była to jedyna kontrpropozycja dla rozwodowej pyskówki na sali sądowej. Owszem, w jakimś sensie, nawet wobec zła, należy być tolerancyjnym, tzn. należy raczej tolerować zło niż sięgać przeciwko niemu po środki niemoralne. Ale przecież w opisanej wyżej sytuacji istnieje cały szereg środków nie tylko moralnie dopuszczalnych, ale ze wszech miar pożądaných, za pomocą których być może udałoby się jeszcze uratować małżeństwo (w każdym razie próbować trzeba!) Fałszywa to tolerancja, która prowadzi do moralnego rozbrojenia. Jeśli współmałżonek dąży do

rozbicia małżeństwa, to przecież nie ma takiego moralnego prawa, które zakazywałoby mi sygnalizować mu, że czuję się jego postępowaniem bardzo skrzywdzony, że bardzo mi zależy na odbudowie naszego małżeństwa, że gotów jestem do gruntownej rewizji swojej własnej postawy, że można sobie przebaczyć wzajemnie w taki sposób, iż przyjęcie przebaczenia nie będzie niczym upokarzającym itd., itd. To żadna tolerancja, to tylko jej karykatura, jeśli zakazuje ludziom nawet okazywania zdziwienia z powodu dokonywanego zła, jeśli przymusza do udawania, jakoby zło było czymś równie szacownym jak dobro (J. Salij, *Szukającym drogi*).

W artykule „Ślubuję Ci [...] wierność” o. Jacek Salij OP jeszcze bardziej precyzyje stanowisko Kościoła Katolickiego:

Naukę Katechizmu Kościoła Katolickiego (numery 2382-86) na temat rozwodów znam od dawna. A jednak kiedy ludzie związani z Sycharem przytaczali w trakcie naszych rozmów jakieś wyjęte stamtąd zdania, nieraz zabrzmiały mi one tak, jakbym je usłyszał po raz pierwszy. To jest przedziwna tajemnica prawdy, że kiedy ją przyjmujemy, również wtedy, kiedy to boli, wówczas nabiera ona wielkiej mocy. Wczytajmy się choćby w numer 2384 – chyba najczęściej cytowany podczas naszych Sycharowych dyskusji fragment Katechizmu:

«Rozwód jest poważnym wykroczeniem przeciw prawu naturalnemu. Zmierza do zerwania dobrowolnie zawartej przez małżonków umowy, by żyć razem aż do śmierci.

Rozwód znieważa przymierze zbawcze, którego znakiem jest małżeństwo sakramentalne. Fakt zawarcia nowego związku, choćby był uznany przez prawo cywilne, powiększa jeszcze bardziej ciężar rozbicia; stawia bowiem współmałżonka żyjącego w nowym związku w sytuacji publicznego i trwałego cudzołóstwa».

Kompendium Katechizmu Kościoła Katolickiego do najcięższych grzechów godzących w sakrament małżeństwa zalicza „rozwód, który sprzeciwia się nierozzerwalności” (nr 347).

Najpierw zauważmy, że niekiedy małżonek bywa niewinną ofiarą rozwodu, mianowicie jeśli bardzo się starał uratować swoje małżeństwo, nie chciał i nie zgadzał się na rozwód, a mimo to rozwód został orzeczony. „Może zdarzyć się – mówi o takich sytuacjach numer 2386 Katechizmu Kościoła Katolickiego – że jeden ze współmałżonków jest niewinną ofiarą rozwodu orzeczonego przez prawo cywilne; nie wykracza on wówczas przeciw przepisowi moralnemu. Istnieje znaczna różnica między współmałżonkiem, który szczerze usiłował być wierny sakramentowi małżeństwa i uważa się za niesłusznie porzuconego, a tym, który wskutek poważnej winy ze swej strony niszczy ważne kanonicznie małżeństwo”.

Co to konkretnie znaczy, że rozwód jest jednym z najcięższych grzechów godzących w sakrament małżeństwa? Tezę tę należy, rzecz jasna, rozumieć w tym sensie, że grzechem – i to jednym z najcięższych grzechów, jakie godzą w sakrament małżeństwa – jest aktywne przyczynianie się do rozwodu. Celem rozwodu zawsze – i jak się wydaje, bezwyjątkowo – jest rozerwanie małżeństwa, a więc rozwód zawsze jest czymś złym. Czymś złym jest nie tylko wnoszenie pozwu rozwodowego, ale również zgoda na rozwód, namawianie do rozwodu, tendencyjne świadczenie w sądzie na rzecz rozwodu (a przecież u nas wręcz plagą w procesach rozwodowych są świadkowie fałszywi!), przekonywanie, że rozwód to przecież nic złego, że to tylko prawna formalność, która w życiu duchowym niczego nie zmienia itp. [...] W sytuacjach skrajnych – uzyskanie separacji broni przed agresją równie skutecznie jak rozwód. [...] W Polsce możliwe jest uzyskanie zarówno rozdzielenia majątkowego, jak separacji. Otóż separacja umożliwia zabezpieczenie m.in. opieki nad dziećmi i obronę majątku nie gorzej niż rozwód – tym zaś różni się od rozwodu, że nie dając małżonkom prawa do związków następnych, ułatwia ich ewentualne pojednanie. Małżeństwo jest dobrem tak wielkim, że również o separację wolno zabiegać tylko w sytuacjach naprawdę wyjątkowych. Tylko wówczas, jak to określa prawo kościelne, kan. 1153 „jeśli jedno z małżonków stanowi źródło poważnego niebezpieczeństwa dla duszy lub ciała drugiej strony albo dla potomstwa, lub w inny sposób czyni zbyt trudnym życie wspólne” (J. Salij, *Szukającym drogi*).

W tym miejscu chcę jednakże umieścić przestrożę dla Sycharowiczów. Nigdy nie potępiajcie tych, których spotykacie: katolików, którzy wyrazili zgodę na rozwód lub sami wystąpili z pozwem rozwodowym, nie widząc innego wyjścia. Postępujcie zgodnie z radą św. Pawła, który napisał:

Upominajcie niesfornych, dodawajcie odwagi zastraszonym, podtrzymujcie słabych, a dla wszystkich bądźcie wyrozumiali.

(1 Tes 5,14)

Nikt z nas nie jest bezgrzeszny i kamieniem możemy rzucać jedynie po to, by robić „kaczki” na stawie. Nie chodziłeś w butach spotkanej osoby i nawet nie zjadłeś z nią beczki soli. Może nie masz pojęcia, ile jest warta twoja heroiczna postawa wobec codziennej walki ubogiej kobiety o włożenie czegoś do garnka dla dzieci. Jeśli widzisz czyjś dramat – pomóż, a nie osądzaj. Jediną bronią, jaką dysponujemy wobec świata, ma być nasz przykład, modlitwa i nasze świadectwo, a także upominanie i przestrzeganie błądzących z pełną miłością. Tymi środkami pokazujemy najwyraźniej ludziom, co można wybrać, jak wybierać drogę Jezusa.

ROZDZIAŁ XI

„Wreszcie żyć!”

Szczególną formą pomocy, a także ogromną szansą na rozwój, jest program „Wreszcie żyć – 12 kroków ku pełni życia”. Powstał na bazie powszechnie znanego programu leczenia uzależnień Anonimowych Alkoholików, ale w wersji chrześcijańskiej, z odwołaniami do Nowego Testamentu. Dla kogo jest przeznaczony? Dla osób uzależnionych od dowolnego „odgromnika emocji”, współuzależnionych, zagrożonych depresją i nerwicą, poranionych, dla szufladkowanych jako DDA (Dorośle Dzieci Alkoholików), DDRR (Dorośle Dzieci Rozwiedzionych Rodziców) i DDD (Dorośle Dzieci z rodzin Dysfunkcyjnych). Pierwsze warsztaty dla Sycharowiczów odbyły się w 2008 r. w Centrum Pomocy Duchowej Księży Pallotynów przy ul. Skaryszewskiej w Warszawie. Stopniowo formacja wspólnoty Sychar zogniskowała się wokół programu „12 kroków”, ruszyły także nasze eksperymentalne grupy internetowe, aby objąć pomocą również i tych, którym odległość nie pozwala regularnie docierać na spotkania. Praca poprzez Internet usunęła przeszkody nawet dla Polaków mieszkających poza granicami kraju.

Pierwszym i najważniejszym krokiem na nowej drodze jest uznanie własnej bezsilności. Jak alkoholik zaczyna rozumieć, że nie wydobędzie się z nałogu własnymi siłami, tak odsunięty mąż

czy żona pojmują, że nie pokonają kryzysu sami, w pojedynkę. Uświadomienie sobie, że jestem bezsilny, moje ręce są puste, broń odebrana – jest najlepszą pozycją wyjściową do rozwoju duchowego, ponieważ Jezus tylko czeka, aż oddasz mu stery.

W największym skrócie, hasłowo, program „12 kroków” wygląda tak:

1. Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec naszego uzależnienia i naszych problemów – i że nie możemy już dać sobie rady z naszym życiem.

2. Uwierzyliśmy, że moc większa od nas samych może przywrócić nam duchowe zdrowie.

3. Postanowiliśmy powierzyć naszą wolę i nasze życie opiece Boga, na ile Go pojmujemy.

4. Zrobiliśmy radykalny i odważny obrachunek moralny w głębi duszy.

5. Bez ukrywania wyznaliśmy Bogu, sobie i drugiemu człowiekowi istotę naszych błędów.

6. Staliśmy się całkowicie gotowi, aby Bóg uwolnił nas od wszystkich wad charakteru.

7. Zwróciliśmy się do Niego w pokorze, aby usunął nasze braki.

8. Zrobiliśmy listę osób, które skrzywdziliśmy i staliśmy się gotowi zadośćuczynić im wszystkim.

9. Zadośćuczyniliśmy osobiście wszystkim, wobec których było to możliwe, z wyjątkiem tych przypadków, gdy zraniłoby to ich lub innych.

10. Prowadzimy nadal rachunek moralny, z miejsca przyznając się do popełnionych błędów.

11. Dążyliśmy przez modlitwę i medytację do coraz doskonalszej więzi z Bogiem, na ile Go pojmujemy, prosząc jedynie o poznanie Jego woli wobec nas oraz o siłę do jej spełnienia.

12. Przebudzeni duchowo w rezultacie tych „kroków”, staraliśmy się nieść przesłanie innym ludziom i stosować te zasady we wszystkich naszych poczynaniach.

Warsztaty stacjonarne i internetowe programu trwają kilkanaście miesięcy. Wymagają szczerości i systematycznej pracy. Program stawia każdego dnia nowe pytania do przemyślenia w oparciu o Ewangelię. Zapisuje się odpowiedzi, do których zawsze można powrócić, aby obserwować swój rozwój. Spotkania czyli mitingi są obwarowane stałymi zasadami, aby każdy czuł się na nich bezpiecznie i dobrze. Obowiązuje, oczywiście, zasada anonimowości.

Tak wygląda preambuła „12 kroków”:

Jesteśmy wspólnotą kobiet i mężczyzn, którzy dzielą się nawzajem doświadczeniem, siłą i nadzieją, że mogą rozwiązać swój wspólny problem i pomóc innym zdrowieć ze zniewoleń oraz wzrastać duchowo. Jedynym wymogiem uczestnictwa w grupie jest chęć rozwoju duchowego. Nie istnieją żadne opłaty za uczestnictwo w grupach, utrzymujemy się bowiem z własnych dobrowolnych datków. Wspólnota „12 kroków dla chrześcijan” jest oparta na Piśmie Świętym. Naszym najważniejszym celem jest zaprzestanie trwania w zniewoleniu, odrętwieniu i nieporadności oraz pomoc innym cierpiącym w zrobieniu tego samego.

Większość z nas niechętnie przyznawała się do tego, że mamy problem. Nikt bowiem nie lubi myśleć, że różni się od innych ludzi. Dlatego też nie dziwi fakt, iż nasze zniewolenia charakteryzowały niezliczone, daremne próby udowodnienia, że możemy sami poradzić sobie w problemach. Myśl, że w jakiś sposób pewnego dnia będziemy mogli kontrolować swoje życie, jest obsesją każdego zniewolonego człowieka. Upieranie się przy tej iluzji jest wręcz zdumiewające. Wielu doprowadziło to za bramy więzień, do obłądu, rozpadu więzi, upadku wartości lub śmierci.

Nauczyliśmy się jednak przyznawać w pełni i w najgłębszych zakamarkach naszego jestestwa do tego, iż jesteśmy bezsilni.

A to jest pierwszy krok w naszym zdrowieniu. Utraciliśmy bowiem

kontrolę nad naszym życiem. Każdy z nas miał momenty, kiedy czuł, że odzyskał kontrolę, ale te chwile, zwykle krótkie, zawsze zapowiadały jeszcze mniejszą kontrolę, co prowadziło do żalostnej i niepojętej demoralizacji. Jesteśmy przekonani, że ludzie tacy jak my znajdują się całkowicie pod wpływem postępującej choroby duszy. Po jakimś czasie jest z nami gorzej, nigdy lepiej. Dlatego też, aby prowadzić normalne, szczęśliwe życie, staramy się praktykować stosownie do naszych zdolności, pewne zasady w naszych codziennych sprawach.

„12 kroków” to program na całe życie! Ukończenie warsztatu to tylko pierwsze okrążenie. Potem życie przynosi nam nowe sytuacje, w których na nowo trzeba ustawić siebie na fundamencie. Dla mnie to pierwsze okrążenie nie było łatwe. Ponieważ byłam po nawróceniu i myślałam że „teraz już wiem wszystko”, to przerobienie warsztatu wydawało mi się tylko formalnością. Ha, ha, ha! W rzeczywistości czekała mnie ciężka harówka, która jednak wydaje słodkie owoce. Widzę, ile już się zmieniło i jaki jeszcze ogromny szmat pracy przede mną.

To są moje przykłady odpowiedzi na pytania z różnych etapów programu:

Krok 1. Dzień 12.

Co znaczy dla Ciebie *Moc w słabości się doskonali* (2 Kor 12,9b)?

Dla mnie to oznacza, że jeśli człowiek zabrnął w ślepią uliczkę i już nic nie może sam albo cierpi tak, że nie daje już rady udawać, wtedy przypomina sobie, że jest Moc większa od jego słabości i wszystkich klęsk życiowych. Że gdy czujemy się słabi i malutcy wobec wyzwań, musimy prosić o większą od nas siłę Bożą, wtedy pozwoli może nas ona napełniać. Bo nie można nalać z pełnego w pełne. Jest nawet całkiem świeckie przysłowie: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Ale w wersji bez Boga dramaty mogą nas pozornie wzmocnić, a faktycznie uczynić nieczułymi i twardymi ludźmi. Mechanizm ten poprawnie działa tylko w wersji z Jezusem.

Krok 3. Dzień 2.

Które obszary Twojego życia zawierzasz Mu najmniej chętnie? Jak dalece wstrzymuje Cię Twój upór?

To trudne pytanie. Nasuwa mi się jeden taki problem. Przyjaźnię się z wieloma osobami, dla których kwestie wiary nie są w ogóle istotne. To bardzo inteligentni i elokwentni ludzie, po swojemu jakieś dobro starają się na tym świecie budować, niestety łaska wiary nie została im dana. Żyją w różnych związkach i podejmują różne niezgodne z moimi przekonaniem decyzje. Czasami próbuję ich tłumaczyć przed Panem Bogiem. Wiem, że to jest pewnie dla Niego zabawne, bo to On przecież zna ich i rozumie na wylot. Nie zrezygnowałabym z przyjaźni z tymi osobami. Nie nawracam ich nigdy na swoje, bo to nie skutkuje. Marzę o tym, by umieć obok nich tak żyć, aby byli zwabieni światłem, którego nie znają. Ale na razie to ja częściej kręcę między wronami tak, jak one. I może czasem się boję, że bezkompromisowa droga za Jezusem oddzieli mnie od tych ludzi? Bo będę dla nich zbyt dziwna, albo to ja w końcu nie zniosę ich niefrasobliwości w kwestii zbawienia.

Krok 4. Dzień 10.

Jakiej szczególnej pomocy w walce z Twoimi uczuciami strachu i złości dostarcza Ci Twoje bycie chrześcijaninem?

Fundamentalnej. W ogóle nie wiem, jak bym funkcjonowała, gdyby nie Jezus Chrystus i bycie chrześcijanką. Pewnie brałabym leki, chodziła do psychiatry i jeszcze, mimo tego, robiła jakieś głupoty. Bo wygórowanym poziomem moich emocji można by obdzielić sporą gromadę takich bardziej stonowanych osób. Chrześcijaństwo uczy mnie, że uczucia są tak samo nietrwałe i niedoskonałe (nieadekwatne do sensu istnienia) jak cała ta ziemia i kruche ludzkie życie. Dzięki temu mogę w tych emocjach niejako stanąć obok: czuć je, ale równocześnie wierzyć, że jest coś większego a raczej Ktoś większy od całego tego „końca świata”, który ja mam w żyłach w postaci adrenaliny. Że mimo fal złości i strachu jest jeszcze decyzja, którą podejmujemy – o trwaniu w wierze i w wierności Bogu. Ta decyzja ostaje się, pomimo że fale czasem wzbierają jak tsunami. Bo Jezus Chrystus sam tę naszą decyzję przyjmuje i otacza opieką.

Tak, mniej więcej, wygląda praca na „krokach”. Nie pracuje się, oczywiście, w samotności, lecz współtowarzyszy całej grupie. Wyznań „współkrokowicza” się nie komentuje, a jedynie udziela wsparcia. Po przejściu „12 kroków” można ofiarować swój czas, aby pomóc w warsztatach kolejnym uczestnikom. Poniżej zamieszczam mocne świadectwo mojej koleżanki Hani, napisane dla nowych grup „krokowiczów”:

Kochani!

Przez moje płuca przechodzi powietrze, oddycham, otwieram oczy, ruszam nogą, wstaję do pracy, gotuję obiad, przytulam córkę, głaszczę psa i kota – żyję. Można pomyśleć: cóż za banalne czynności, ale dla mnie samej to cud istnienia. Kiedy najdroższa mi osoba, mój mąż, odeszła, myślałam, że nie mam już nic. Pozostała tylko pustka w sercu. Moja rozpacz przeobraziła się w chorobę ciała i duszy. Najlepszym rozwiązaniem zdawało się pożegnać się z tym światem na dobre. Jestem samobójczą recydywistką, aż trzy razy próbowałam się zabić i za każdym razem dobry Bóg podawał mi koło ratunkowe. Mógł przecież wyluzować, dać sobie spokój, ale nie. Jego plany najwidoczniej są całkiem inne od moich. I dobrze, bo kiedy ja kombinowałam, nic dobrego z tego nie wyszło. Psychiatrizy i psycholodzy rozkładali ręce. Przebywanie w szpitalu nic nie dawało, ratownicy karetki pogotowia znali już na pamięć adres docelowy, nastąpiło uzależnienie od tabletek psychotropowych. Żyłam zawieszona w próżni, egzystowałam tak około dwóch lat. Wielkie wsparcie i pomoc rodziców oraz przyjaciół pomagało mi przetrwać, lecz nadal budząc się każdego ranka zastanawiałam się, po co tu jestem i dla kogo. Nawet bycie matką nie uchroniło mnie od robienia głupot. Można napisać, że umarłam dla świata, ale czy ja wcześniej żyłam? Boga miałam gdzieś, życie według Jego przykazań tym bardziej. Żyło mi się wygodnie, bez większych problemów, tylko z wiekiem stawałam się coraz bardziej nieszczęśliwa, nieznośna i egocentryczna. Rozczulanie się nad sobą przewyższało maksimum dopuszczalności, a manipulacja zatruwała moje relacje z innymi. Jedna z moich przyjaciółek naprowadziła mnie na Sychar

i tak rozpoczęło się moje lądowanie na Księżycu. Dziś nie wierzę w przypadek, wiem, że to ręka Boga doprowadziła mnie tutaj. To Jego niepojęte miłosierdzie kolejny raz rzuciło koło ratunkowe. Moje „kroczenie” rozpoczęłam 25 kwietnia 2011 roku o godz. 20.12. Był to czas, kiedy dojrzewała w mojej głowie myśl o kolejnym samobójstwie. Porządkowałam dokumenty i rzeczy osobiste, tak, aby nie zostawić rodzinie bałaganu. Na początku „kroczenia” wstydziłam się wśród znajomych i rodziny, że związałam się ze wspólnotą religijną. Nie chciałam uchodzić za przysłowiowy „moherowy beret”. Robiłam dobrą minę do złej gry i udawałam, że wszystko jest super. Założyłam maskę, przeobraziłam się w lolitkę i tak miotając się wewnątrz odpowiadałam na pytania... Z każdym krokiem odkrywałam (i nadal odkrywam) prawdę o sobie. Niektóre sprawy bolały tak bardzo, że aż dech zapierało, niekiedy odczuwałam taki wstyd i zażenowanie, że aż zastęgałam w bezruchu. Ciężko przyjmować na klatę prawdę o sobie, kiedy żyło się w przekonaniu o swojej nieomyślności. A najgorsze w tym wszystkim było ogromne poczucie winy w stosunku do męża i córki. Nie byłam w stanie sobie wybaczyć. To doprowadzało mnie do skrajnej rozpacz. Obwinałam siebie o wszystko i nienawidziłam samej siebie, nosiłam na swoich plecach nieszczęścia całego świata. Dopiero gruntowna spowiedź generalna (szykowałam się do niej prawie rok) oraz odprowadzone modlitwy o uwolnienie doprowadziły do zahamowania zapędów samobójczych. Powoli zaczęłam odnajdywać sens życia. Zaufałam Bogu, oddałam siebie i swoją rodzinę pod opiekę Stwórcy. Wszystko nabrało sensu.

W wieku 43 lat rozpoczynam swoje życie na nowo. Problemy nie zniknęły, po prostu już tak nie straszą. Dziwnym trafem otrzymuję pomoc od ludzi zupełnie mi nieznanymi. Kiedy popsuł się samochód w trasie, nagle podszedł starszy jegomość z chęcią niesienia pomocy. Gdy piec gazowy odmówił posłuszeństwa w zimie i instalator naprawiał go przez prawie trzy dni, zażądał za usługę tak niskiej kwoty, że aż mnie zamurowało. Przykłady można mnożyć. To dzieje się nadal. Wszyscy prowadzący i „współkrokowicze” stali się moją rodziną. To zadziwiające, ilu wspaniałych ludzi Pan Bóg podaje

człowiekowi na tacy, wystarczy tylko wyciągnąć rękę. Dziękuję im z całego serca, że im się chciało. Z uporem maniaka pomagali mi podnieść się z ziemi, wstać z kolan, wyprostować kręgosłup, abym mogła dziś stać prosto, z nadzieją na zbawienie. W moim sercu w trakcie „kroczenia” pojawiła się ogromna miłość do Aniołów. Czuję ich obecność i wsparcie. Kiedy jest mi źle, proszę o pomoc, ale też rozmawiam z nimi. Dobry Bóg zesłał nam ich, abyśmy nie czuli się samotni i opuszczeni. Bóg pomaga mi porządkować moje życie, ale aby mógł zacząć to robić, najpierw musiałam dać Mu przyzwolenie. Musiałam otworzyć serce i umysł na prawdę o Nim. Wiem, jakie to proste, a zarazem, jakie trudne, sama tego doświadczam. Mąż, choć nie wrócił, pozostał w moim sercu. Kocham go nadal, choć, prawdę powiedziawszy – inaczej. Sądzę, że to miłość dojrzała, dająca drugiemu człowiekowi wolność wyboru. Nie mam na niego wpływu, jest wolnym człowiekiem. Chyba tego nie czuje, ale ma we mnie najważniejszego sprzymierzeńca u Boga i ludzi. Pogubiliśmy się w tym szaleństwie oboje, każde z nas jest poranione i każde na swój sposób liże rany. „Kroki” leczą moją duszę. Jestem w drodze. Nie mam wpływu na padający deszcz, ale mam wpływ na to, czy zabiorę parasol, czy nie. Coraz częściej wracam do domu z uśmiechem na twarzy. Do tej pory mój dom był ponury i smutny, nie gotowałam obiadów, ogród zarósł metrową trawą. Szalenie jestem Bogu wdzięczna, że mogę odkrywać prawdę o sobie, bo tym samym mogę jeszcze w tym życiu zadośćuczynić za zło, które wyrządziłam. Teraz wiem, że to wielka łaska dana od Boga. Uczę się pokory. Niekiedy miewam stany depresyjne, popełniam błędy, bo nie posiadam monopolu na wiedzę, ale nabieram powietrza w płuca... A, i wyglądam teraz po „ludzku”.

Drodzy przyjaciele, którzy niebawem rozpoczniecie swoje „kroczenie” – podjęliście jedną z najważniejszych decyzji w życiu. Uwierzcie w siebie, zaufajcie Bogu i módlcie się modlitwą o pogodę ducha, a niezliczone cuda dokonają się w waszym życiu. Nie poddawajcie się! Wierzę w was tak samo, jak moi prowadzący, którzy wskrzesili we mnie kaganek wiary. Do zobaczenia w drodze!

Hanka

ROZDZIAŁ XII

*Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych
najmniejszych moich braci, mnie uczyniliście*

(Mt 25,40)

Kiedy przez nasz dom przetoczyła się lawina, która wyrwała dzieciom ojca, moja dziesięcioletnia wówczas córeczka napisała ten wiersz, wyrażający jej bezradność i niepokój:

Powietrze ciszą jest przepełnione
oczy Aniołów patrzą w tę stronę,
jest tutaj tylko smutek i trwoga,
ale i dziecko, co prosi Boga:
żeby dał dobro i przebaczenie,
za smutek radość i pocieszenie.
Tutaj, gdzie cisza wisi zdradziecka,
słysząc modlitwę małego dziecka:
za ojca, matkę i wszystkich zdrowie,
do Boga dziecko w te słowa powie:
W Ojca i Syna, i Ducha imię,
niechaj ta cisza szybko przeminie!
W tej ciszy, co są straszne w niej lęki,
składa do Boga to dziecko dzięki.

Jeśli masz dzieci, przyznasz zapewne, że w takiej trudnej sytuacji rodzinnej zasługują one na osobny rozdział. Nie ma sposobu na to, aby uniknęły niepokoju i smutku, ale trzeba

zrobić wszystko, by spotkało je jak najmniej zła. Na rynku wydawniczym jest kilka poradników, po które można sięgnąć m.in.: J. Wallerstein, S. Blakeslee, *Rozwód, a co z dziećmi?*, A. Hart, *Rozwód. Jak ratować dzieci*. Za darmo dostępny jest także poradnik w wersji PDF na stronie internetowej Biura Rzecznika Praw Dziecka (www.brpd.gov.pl). W tych świeckich publikacjach denerwować może cię kilka zagadnień: zakładana wspólna decyzja rodziców o rozstaniu, akceptacja dla nowych związków rodziców i ich nowych partnerów, założenie, że czasem rozwód jest dobrym wyjściem i pominięcie instytucji separacji.

Jednak, z tymi zastrzeżeniami, warto poradniki przeczytać lub rozpocząć współpracę z psychologiem dziecięcym, ponieważ pewne zasady zachowania wobec dzieci są uniwersalne. Oto najważniejsze:

1. Nie izoluj dziecka od drugiego rodzica (chyba, że rodzic zagraża dziecku), podtrzymuj ich kontakt.
2. Zapewnij je, że nie jest winne problemom rodziny, że ono nie ma nic wspólnego z wyborami dorosłych.
3. Nigdy nie mów źle o współmałżonku w obecności dziecka.
4. Nigdy nie stawiaj dziecka w sytuacji konfliktu lojalności, nie każ mu w żaden sposób wybierać pomiędzy mamusią a tatusem.
5. Nie wypytuj dziecka o sprawy drugiego rodzica, ono nie jest twoim detektywem.
6. Pozwól dziecku okazywać przy tobie trudne uczucia, pomóż mu je nazywać.
7. Nie obarczaj dziecka nadmierną odpowiedzialnością i swoimi kłopotami, ono nie jest twoim partnerem i nie ma zastąpić ci małżonka.
8. No i, oczywiście, zapewnij je o miłości i nieustannie ją okazuj.

Powiedz sobie z ufnością, że macie przewagę nad rodzinami, w których Bóg jest nieobecny. Możesz prosić Ducha Świętego o pomoc w postępowaniu wobec dzieci, w trudach samotnego rodzicielstwa. Możecie razem modlić się za tatę czy mamę. Ważne, aby z maluchami modlić się o „wszystkie potrzebne łaski” dla nieobecnego rodzica. To znaczy, aby modlitwa była sformułowana pozytywnie. Przestrzegam przed wypowiedzianymi głośno konkretnymi prośbami typu: „Spraw, Boże, aby wasz tatuś szybko zerwał z tamtą panią!”. Modląc się w ten sposób, niechcący pokazujesz dziecku, że wiesz lepiej od samego Boga, co kiedy powinno się zdarzyć i wystawiasz jego niedojrzałą wiarę na przedwczesną próbę.

Jeśli masz dzieci, proces wybaczenia współmałżonkowi może być dla ciebie trudniejszy. Często się słyszy: „Wybaczyłabym mu wszystko, co mi zrobił, ale tego jak skrzywdził dzieci – nigdy!”. Mnie pomogło dopiero uświadomienie sobie, że nikt tego ode mnie nie wymaga, że nie jestem odpowiedzialna za wybaczenie cudzych krzywd. Cudzych, bo choć czuję, że dzieci są częścią mnie, to one nieuchronnie dorosną. Aby dobrze żyć, staną pewnie kiedyś przed decyzją poukładania sobie spraw z dzieciństwa, relacji z rodzicami. Przebaczenie będzie należało do nich. To mnie uwolniło z pułapki trwania w urazie i gniewie w imieniu moich dzieci.

Powstrzymanie się od negatywnych komentarzy przy dzieciach na temat współmałżonka może być dla nas szczególnie trudne. W końcu wyznajemy określone zasady i próbujemy stać na straży wartości moralnych. A drugi rodzic w tym czasie, do wyboru: zmienia kochanki jak rękawiczki, upija się na oczach dzieci, poniża nas i oczernia, ma kolejne dzieci w nowych związkach, uchyla się od płacenia alimentów... A nawet jeśli sytuacja nie jest tak dramatyczna, to i tak nie chcesz, aby twoje dziecko

myślało, że rozbitcie rodziny jest czymś normalnym i godnym naśladowania. Jeżeli jednak od kołyski wychowujesz dzieci w myśl zasady, że potępiamy czyn, a sprawcy czynu dajemy kolejną szansę, łatwiej zrozumieją, że możesz być zły/zła na współmałżonka za jego postęпки i nie akceptować ich, ale nadal szanujesz go jako człowieka i dajesz im pełne prawo kochać go po swojemu.

Będziesz nazywać się samotnym rodzicem, ale nie jesteś naprawdę samotny/samotna. Ja powierzyłam moje dzieci świętemu Józefowi. Poprosiłam, aby był ich „ojcem zastępczym”. Jeśli jesteś tatą, oddawaj dzieci codziennie najlepszej Matce – Maryi. Nasza wiara to skarb, który dopełnia każdą pustkę i każdy brak.

Zapisałam moją modlitwę:

Święty Józefie, patronie ojców i mężów! Moje dzieci nie mają przy sobie ojca, a ja męża, ponieważ się zagubił. Proszę, nie pozostaw nas „wdowami i sierotami”, ale wejdź do naszej rodziny na jego miejsce. Powierzam ci moje dzieci – proszę, adoptuj je. Uchronź od wszystkich konsekwencji wychowywania bez ojca. Zapraszam Cię do naszej rodziny! Módl się za nami!

Modłę się też do patronów moich dzieci, aby miały one wszystko, co trzeba, pomimo tego, czego nie dostały. Ponieważ ja żadnym wysiłkiem nie mogę dać im tego, czego oczekują od taty. Ogromna wartość WTM Sychar objawiła się także podczas wyjazdów, kiedy nasi wspólnotowi panowie darowali czas i uwagę nie tylko swoim dzieciom, ale i dzieciom samotnych matek. Jestem wdzięczna Leszkowi, Chrisowi, Markowi i innym za to, że mój syn i córki mogą zetknąć się także z pozytywnym wzorcem męskości i zaangażowanego ojcostwa.

Świat nie jest sprawiedliwy. Poważny kryzys w małżeństwie z reguły najbardziej mści się na dzieciach, które niczemu nie zawiniły. Bardzo łatwo jest krzywdzić lub wykorzystywać dzieci, gdy zaślepieni emocjami i własnymi „chciejstwami”, przestajemy je

naprawę dostrzegać. Niektóre skutki np. cudzołóstwa są przecież nieodwracalne. Niektórych wyborów nie można odwołać. Jeśli w drugim związku również pojawi się potomstwo, to z pewnością jakieś dziecko na tym ucierpi! Nie można być dobrym ojcem czy matką w więcej niż jednej rodzinie! Wbrew temu, co na siłę wciska dzisiaj nowoczesny świat i jego media, dla każdego malucha idealny dom to jedna mama i jeden tata razem. Takie spontaniczne opowieści snuje nawet mój najmłodszy syn, który nie pamięta już okresu, gdy rodzice mieszkali wspólnie. Jednak nawet w najtrudniejszych przypadkach z Bożą pomocą można jeszcze minimalizować straty. Poniżej zamieszczam świadectwo Joanny z niełatwego i długotrwałego procesu minimalizowania strat.

Mam na imię Asia, od dziesięciu lat jestem żoną mojego męża. Jesteśmy małżeństwem sakramentalnym. Przez osiem lat żyliśmy jak pewnie wiele małżeństw – praca, dom, dzieci, mieszkanie, samochód, wakacje, w niedzielę i święta do kościoła. Pewnego dnia dowiedziałam się, że w życiu mojego męża jest inna kobieta, potem, że jest z nim w ciąży. Mąż miotał się: z jednej strony nie chciał odejść od rodziny, a z drugiej, pragnął być przy tamtej kobiecie i dziecku. Przez rok wydarzyło się wiele: odejścia męża, jego powroty, pełen wachlarz uczuć i zachowań – istny rollercoaster.

Po roku takiej huśtawki, w dniu, w którym po raz kolejny mąż wbił mi nóż w plecy, poczułam, że muszę porozmawiać z kimś, kto ma jasno określoną moralność. Przypomniałam sobie, że kilka lat temu u kolegi spotkałam księdza, przyjaciela jego domu. Zadzwoeniłam do kolegi, a ten dał mi numer i dopilnował, żebym nawiązała kontakt z kapłanem. Ja i mąż zostaliśmy zaproszeni na nabożeństwo, podczas którego miało miejsce m.in. odnowienie przysięg małżeńskich i modlitwy wstawiennicze. Pojechałam sama. Mąż został z dziećmi. To, co tam przeżyłam, zmieniło mnie: modlitwa wstawiennicza nade mną była modlitwą o cud i cud się stał od razu – wyszłam stamtąd po kilku godzinach z głębokim przekonaniem, że

to wszystko się dobrze skończy (do tej pory tak nie było, miałam wiele szalonych pomysłów, jak naszą sytuację rozwiązać). Wróciłam do domu po kilku godzinach, nieustannie płacząc, ale nie był to już płacz rozpaczny – ten płacz mnie oczyszczał.

Tego wieczora zaczął się proces zmian. Zmieniało się moje wnętrze. Zaczęłam codziennie się modlić. Poszłam na pieszą pielgrzymkę do Częstochowy. Wiele zrozumiałam i wiele się nauczyłam. Podczas pielgrzymki dowiedziałam się, że mąż odszedł. Przyjechał jednak po mnie na Jasną Górę (pomimo rozpaczliwych prób zatrzymania go przez tamtą kobietę) i wspólnie uczestniczyliśmy we mszy świętej w intencji jego nawrócenia. W drodze powrotnej rozmawialiśmy o moich przeżyciach z TAMTEGO nabożeństwa, od którego się wszystko zaczęło. Mąż, żywo poruszony relacją z mojego nawrócenia, wyraził chęć uczestnictwa we mszy świętej o uzdrowienie i pragnienie skorzystania z modlitwy wstawienniczej. Odwiozł mnie jednak do domu i pojechał do niej. Modliłam się codziennie – za niego, za nią, za nas... Po kilkunastu dniach wrócił do domu. Za kilka tygodni wzięliśmy udział we mszy świętej o uzdrowienie w Częstochowie. Podczas modlitwy uwielbienia po Komunii Świętej mąż osunął się na ziemię – moc przychodzącego Ducha Świętego powaliła go. Gdy wstał po kilku minutach, był już innym człowiekiem. Wypowiadał się, przyjął Komunię Świętą, otrzymał łaskę wiary i już nie miał wątpliwości, jakie życie powinien prowadzić chrześcijanin. Korzystaliśmy kilkakrotnie z modlitwy wstawienniczej, a proroctwa, jakie otrzymywaliśmy, były bardzo cennymi wskazówkami co do drogi postępowania i sposobu modlitwy. Ksiądz, z którym rozmawiałam na początku, stał się naszym przewodnikiem duchowym, nieustannie się za nas modlił i odprawiał msze święte w naszej intencji. Łaska ta po pewnym czasie została zaprzepaszczona i znów zaczął się rollercoaster, ale w sercach wiele zostało. Modliłam się i trwałam niezłomnie w nadziei, a wręcz w przekonaniu, że wszystko dobrze się skończy. Trafiłam do wspólnoty Sychar. Wiele otrzymałam od spotkanych tu ludzi, ale mam wrażenie, że coś też dałam. Nauczyłam się stanowczości w miłości, przestałam przymykać oczy, określiłam warunki i granice, przekroczenie których wiązałyby się

z opuszczeniem domu przez męża. Naginał granice, ale nie doszło do wyprowadzki. Czasami udawało nam się naprawdę dobrze i szczerze porozmawiać. Gdy wracałam ze spotkań Sycharowiczów, mąż z wielkim zainteresowaniem oczekiwał relacji. To dodawało mi nadziei. Rollercoaster trwał. Z trójkąta ja – mąż – ona, ja trzymałam się najlepiej: wiedziałam, że chcę nawrócenia mojego męża i odrodzenia naszego małżeństwa. Mąż niby też chciał, ale nie umiał zrezygnować z tamtego świata, ona natomiast miała się wielu sposobów, aby mnie i męża wzajemnie do siebie zniechęcić i obrzydzić, a jednocześnie męża pozyskać dla siebie. Ja niezmiennie modliłam się o nawrócenie męża, a także za nią i za jej dziecko. Mąż się miotał, ona też, ja już nie.

Kilka miesięcy temu, w uroczystość Ciała i Krwi Pańskiej świętowaliśmy dziesiątą rocznicę zawarcia naszego związku małżeńskiego. To miał być kolejny początek naszego nowego, wspólnego życia. Ale zaledwie kilkanaście dni trwał ten nasz miodowy miesiąc, potem się rozsypało, znów upadek. Poszłam znów pieszo do Częstochowy, gdy on w domu wstawał i upadał. Znów na Jasnej Górze msza święta o nawrócenie męża i o łaskę wiary dla niego. Dokładnie wtedy on rozmawiał z naszym przewodnikiem duchowym. Pożegnali się ostrymi słowami. Przez nasz dom przetoczyło się w ciągu kilkunastu dni kilka burz z piorunami i gradobiciem, sprowokowanych przez tamtą kobietę. Wszystkie wygrała prawda, że małżeństwo sakramentalne jest świętością, na którą ręki się nie podnosi, że małżonków łączą więzi takie, jakich nie ma nigdzie indziej: oni są jednością.

Tak do końca nie wiem, w którym momencie w moim mężu nastąpiła przemiana, ale wiem, że wiele zrozumiał i otrzymał mnóstwo łask. I wiem, że jeśli jeszcze upadnie, będzie mu zdecydowanie łatwiej powstać. Zaczynamy budować nasze małżeństwo od nowa, na zupełnie innych filarach, z Bogiem i ufając Jemu. Jesteśmy dopiero na początku drogi. Nie podobało się Panu nasze życie, upominał, ale nie słuchaliśmy, dlatego wszystko to się stało. Dziś już wiem, że to musiało się wydarzyć, aby zaszyły w nas te przemiany, bo dopóki nam się wszystko układało (tak się wydawało),

nie szukaliśmy zmiany. Dopiero dotknięci ciężkim doświadczeniem zaczęliśmy szukać czegoś, na czym mogliśmy się oprzeć – i znaleźliśmy Boga. Dziś wiem, co znaczy wybaczać i co znaczy kochać. I mogę powiedzieć, że nigdy bardziej nie kochałam mojego męża niż teraz. Bogu zawieram każdy dzień, oddaję Mu wszystkie nasze sprawy, a Duch Święty nas prowadzi.

Minęło pół roku... Przez ten czas wiele się wydarzyło. Były dni lepsze i gorsze, budowaliśmy powoli nasze relacje, mąż odwiedzał swoje nieślubne dziecko nieregularnie. Obowiązywała ustna umowa z matką dziecka, co do odwiedzin (2 godziny w niedzielę), początkowo respektowana, chociaż mężowi nie szczędzono słownych upokorzeń (także ze względu na nasze zapatrywania religijne). Po kilku tygodniach dziecko zaczęło często bywać u dziadków w innym mieście, więc widzenia rzadziej dochodziły do skutku. Po jakimś czasie spotkania z dzieckiem zmieniły swój charakter. Mąż, mimowolnie słuchający argumentów o „wielkiej miłości, która zdarza się raz w życiu”, o „przeznaczeniu” i o tym, że „warto dla tej miłości poświęcić wszystko”, zaczął się wahać. Ona chciała coraz więcej, a mąż więcej nie chciał już dać. Tym razem poszło o święta Bożego Narodzenia. Mąż chciał z nimi spędzić jeden dzień, ona chciała mieć go na całe święta, a ja nie zgadzałam się na nic. Skończyło się najściem naszego domu i wykrzykiwaniem obrzydliwych słów pod naszym adresem. Od tego dnia mąż już dziecka nie widział. Z powodu braku możliwości porozumienia, założył wniosek do sądu o ustalenie kontaktów z dzieckiem. Wniósł o możliwość zabierania go poza miejsce jego zamieszkania. Argumenty? Nierespektowanie umowy słownej przez matkę, utrudnianie kontaktu przez pobyt dziecka u dziadków, chęć nawiązania więzi z naszymi dziećmi, które o przyrodnim rodzeństwie wiedzą i łakną kontaktu. Oddzielenie kontaktu z dzieckiem od kontaktu z matką dziecka jest, według nas, w tej sytuacji jedynym wyjściem, które chroni nasze małżeństwo od pokus ze strony tamtej kobiety.

Nie mogę powiedzieć, że byłam całkowicie spokojna, kiedy mąż wychodził na spotkanie z dzieckiem, zawsze z ulgą oddychałam, kiedy wracał. Niepokoiłam się, kiedy jego nieobecność się przedłużała.

Zgadzam się jednak na te spotkania, bo szanuję uczucia męża do dziecka. Widzę, jakie uczucia żywi do naszych dzieci. A przecież w stosunku do tamtego dziecka, oprócz ogromnej miłości, jest jeszcze tęsknota. Wobec zmiany sytuacji wspólnie doszliśmy do wniosku o wszczęciu postępowania sądowego w takim kształcie. Boję się trochę tego wszystkiego, co przed nami, bo to nie będzie ani łatwe, ani przyjemne. Wiem jednak, że to jest najlepsze wyjście z możliwych. Mąż nie zrezygnuje z kontaktu ze swoim nieślubnym dzieckiem, które obecnie ma 2,5 roku. Nasze dzieci, w wieku 3 i 7 lat, bardzo chcą je poznać, zabierać na wakacje, wspólnie się bawić. Dla mnie to będzie bardzo trudne, bo dziecko to będzie mi przypominało o wszystkim, spodziewam się też, że będzie nieprzychylnie do mnie nastawione przez matkę – ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że powinnam się tego podjąć. Jestem otwarta na kontakt z dzieckiem, myślę, że mój pozytywny stosunek do niego może dobrze wpłynąć również na relacje w naszym małżeństwie.

Próbując poukładać od nowa wszystko w nowej rzeczywistości napotykaemy oboje z mężem na wiele trudności. Okaleczone serce, zraniona pamięć, zawiedzione zaufanie, nieślubne dziecko nie pomagają w oddzieleniu przeszłości grubą kreską. Ale nie ma takiej sytuacji, która byłaby bez wyjścia – jest tylko trudno lub bardzo trudno. Podjęcie wyzwania się opłaca, bo prowadzi do pokoju w sercu. Nie można udawać, że nic się nie stało, że dziecka nie ma. Ono jest, żyje. I czy tego chcemy, czy nie, należy do naszej rodziny i należy mu się nasza miłość. Ode mnie także, choć to nie ja je urodziłam.

Modlimy się o chrzest dziecka i nawrócenie jego matki.

Tymczasem wiosną dowiedzieliśmy się, że Pan Bóg zaplanował dla nas powiększenie się naszej rodziny – jeszcze w tym roku dołączy do nas trzecia córka. Cieszymy się i jednocześnie wiemy, że nie będzie łatwo. Sprawa w sądzie się rozpoczęła i pewnie szybko się nie skończy, bo matka dziecka nie była skłonna pójść na ugodę czy jakieś ustępstwa.

Wszystko to jednak łączy i umacnia nasze małżeństwo, cieszy nas każda wspólnie pokonana przeszkoda. Czujemy Bożą pomoc

na każdym kroku, powierzamy Opatrzności naszą rodzinę i ufamy Panu, w nim pokładamy całą nadzieję.

[...]

Jesienią dołączyła do nas trzecia córeczka. Radujemy się, choć nie jest łatwo. Sprawa w sądzie zakończyła się ugodą, na mocy której mąż może widywać się ze swoim pozamałżeńskim dzieckiem. Nie osiągnął wszystkiego, o co wnioskował, ale, jak sam mówi, warto dać matce dziecka szansę. Niech sama wykona krok w stronę unormowania wzajemnych stosunków bez odwoływania się do sądu. Nie wiemy, co spowodowało „ocieplenie” stosunków między mężem a tamtą kobietą – czy to Bóg wysłuchał naszych modlitw? Bo znów, patrząc po ludzku, wydawało się to niemożliwe. Teraz matka dziecka potrafi już normalnie rozmawiać, bez obwiniania i czynienia wyrzutów, bez wyzwisk i absurdalnych żądań.

Nie jest mi łatwo, bo widzenia z tamtym dzieckiem zabierają czas, jaki mąż mógłby spędzić z naszymi dziećmi. Gdy wraca i mówi, że było miło, moje wspomnienia i obawy wracają, pomimo że mam teraz dużo większe zaufanie do niego. Otwarcie o tym rozmawiamy, bo taki jest nasz sposób na radzenie sobie w trudnych sytuacjach. Szczere, uśmiechnięte oczy męża rozwiewają jednak moje wątpliwości – bo nigdy wcześniej tak się nie uśmiechał do mnie.

Dziś mogę powiedzieć, że czuję jedność naszego małżeństwa. Gdy jedno się potyka (bo przecież nie zawsze jest różowo) lub, po prostu, ma dołek, drugie w dwójnasób ogarnia miłością, zrozumieniem i ciepłem, emanuje wiarą i nadzieją. Nigdy wcześniej tak nie było. Warto przejść przez to wszystko, żeby żyć tak, jak teraz. A wierzę, że do granic szczęścia i miłości Bóg jeszcze nas nie doprowadził i że ma dla nas coś jeszcze. Tego właśnie wszystkim zbolałym małżonkom, czytającym te słowa, życzę.

ROZDZIAŁ XIII

„Nie jakimś mglistym uczuciem, ale stanowczym wyborem kocham Ciebie, Panie”

(św. Augustyn)

Pewnego dnia, ponad dwa i pół roku po odejściu męża, ktoś spytał mnie, czy nadal nie daję sobie prawa do związania się z innym mężczyzną, ponieważ „zna przecież wspaniałe duszpasterstwa dla związków niesakramentalnych”. Ta osoba jakby zakładała, że naturalną konsekwencją rozpadu małżeństwa sakramentalnego jest uwikłanie w związek niesakramentalny, bo wtedy traci się co prawda Jezusa Eucharystycznego (taki „drobiazg?”), ale dzięki wspomnianemu duszpasterstwu nie trzeba tracić związku z Kościołem.

Pomyślałam sobie: „Jeśli ktoś chce zaspokajać pragnienie wodą w proszku, to niech próbuje. Mnie chce się pić i wiem, że tylko Jezus w Eucharystii jest wodą żywą, a nie podróbką”.

Chyba nikomu nie trzeba przypominać Jego słów z Ewangelii wg św. Marka: *Na początku stworzenia Bóg stworzył ich jako mężczyznę i kobietę: dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozdziela! W domu uczniowie raz jeszcze pytali Go o to. Powiedział im: Kto oddala żonę swoją, a bierze inną, popełnia cudzołóstwo*

względem niej. I jeśli żona opuści swego męża, a wyjdzie za innego, popełnia cudzołóstwo (Mk 10,6-12). Do słów Ewangelii nie możemy dopisać czy też wykreślić ani jednej linijki, ani jednej sylaby.

Ks. Marek Dziewiecki przypomina:

Małżeństwo nie jest jedyną formą wsparcia między kobietą a mężczyzną. Samo zakochanie się w kimś, kto nie jest małżonkiem, nie jest grzechem, lecz stanem emocjonalnym. Ważne, by nie przerodziło się ono w romans i nie doprowadziło do katastrofy w postaci cudzołóstwa!

Ja jestem zakochana w mojej wspólnotcie. Człowiek potrzebuje wspólnoty ludzi, którzy w tym dzikim świecie nie zapomnieli o Chrystusie, więc wszystkie darzę uznaniem, ale tylko ta jedna rozwinęła się na moich oczach, w takim tempie i odpowiadając na tak dramatyczne zapotrzebowanie. Na pierwszych wakacjach było nas jakieś trzydzieści osób, po prostu garstka. W 2013 roku trzeba było zorganizować już trzy turnusy wakacyjne po ok. 60-80 osób. Mamy Stowarzyszenie Sychar, któremu patronuje Święta Rodzina. Dwa razy w roku, wiosną i jesienią, wyjeżdżamy na weekendowe rekolekcje ogólnopolskie, rozprawdzamy broszury i koszulki z naszym nadrukiem. Nasi przedstawiciele byli obecni na Kongresach Nowej Ewangelizacji, na Międzynarodowym Kongresie Rodziny, pomagali szkolić doradców rodzinnych oraz kleryków i księży. Myślmy także o szerszym włączeniu się w nauki przedślubne, ponieważ ciężkim kryzysom lepiej zapobiegać niż je leczyć! Na spotkania wspólnoty przyjmujemy wszystkie możliwe przypadki: od przelotnych kryzysów, gdy para przychodzi razem i potrzebuje jedynie tłumacza z języka kobiety na język mężczyzny i odwrotnie, aż po osoby będące kilkadziesiąt lat po rozwodzie. Przyszedł po radę do Sycharów chłopak dwa miesiące po swoim ślubie i jest z nami Krysia o złotym sercu, która właśnie obchodzi czterdziestą drugą (!) rocznicę ślubu. Codziennie,

zimną czy latem, łączymy się grupami na skype, aby razem odmówić wieczorną modlitwę. Tym sposobem nikt nie musi pogrążyć się w samotności.

Ojciec Donat Wypchło, franciszkanin, który jest duszpasterzem ogniska Sycharowskiego w Rychwałdzie, tak przedstawia swoje pierwsze zetknięcie z nami:

Sychar spotkałem już po kilkunastu latach kapłaństwa i po licznych doświadczeniach pracy z małżeństwami. Dostałem propozycję prowadzenia rekolekcji dla Wspólnoty Trudnych Małżeństw Sakramentalnych na Górze Świętej Anny. To był 2011 rok. Zastanawiałem się, jakich ludzi tam spotkam, do kogo pojedę? Trochę się bałem, wyobrażałem sobie rozdartych, rozdrapujących rany ludzi. Tymczasem znalazłem cierpliwą, niezachwianą wiarę w sakrament małżeństwa. Okazało się, że to ja byłem księdzem niewierzącym! Nie wierzyłem wcześniej w to zdanie, że każde sakramentalne małżeństwo można uratować, nawet po rozwodzie, nawet po zdradzie, nie wierzyłem, że Bóg może uzdrawiać związki, które po ludzku są nie do uzdrowienia. Kiedy posłuchałem tych ludzi, moje myślenie uległo zmianie. Oni wytłumaczyli mi ten proces w bardzo prosty sposób: najpierw Bóg przyprowadza jednego ze współmałżonków do siebie. Zaczyna pracować nad jego sercem oraz nad jego nowym, ewangelicznym myśleniem, którego skutkiem jest przebaczenie. Potem dzieją się rzeczy, które nie są po ludzku „do zadziania się”. Czasem zgłiszcza są takie, że spustoszenie nawet trudno opisać, a i tak dokonuje się odrodzenie małżeństwa.

To były piękne rekolekcje! Od tamtej pory widziałem wiele uzdrowionych relacji. Prowadzę także duszpasterstwo dla niesakramentalnych. Zdarzało się, że zapraszałem osoby z Sycharu na spotkania, aby dały świadectwo. A potem ludzie ze związków niesakramentalnych przychodzą do mnie z jedną refleksją: – Gdyby tylko Sychar istniał dwadzieścia, trzydzieści lat temu, to może moje życie potoczyłoby się inaczej.

Nie wiem, czy tak by było. Ale ufam, że w 2003 roku, gdy Sychar powstał, Bóg dał Polsce nowy, niezwykle potrzebny charyzmat.

Ksiądz Paweł Dubowik, ogólnopolski duszpasterz wspólnoty, podsumowuje swoją pracę tak:

Moją posługę duszpasterską we Wspólnocie Trudnych Małżeństw Sychar rozpocząłem przypadkowo, jednak po jakimś czasie coraz mocniej zauważam, że przypadki są logiką Pana Boga. Opiekując się wspólnotą ciągle doświadczam działania Bożej Miłości w życiu człowieka, która może przemieniać nas i nasze postępowanie. Widzę, jak po nawróceniu można na nowo ułożyć swoje życie zgodnie z wolą Pana Boga. Oczywiście, nie wystarczy sama wiara. Człowiek nie może tylko czekać na to, że Pan Bóg zmieni jego życie i jego współmałżonka, trzeba też ciągle podejmować pracę nad sobą i relacjami z innymi ludźmi. W ten sposób odkrywamy, że w naszym życiu wystarczy zaufać i dać się prowadzić Panu Bogu. Dopiero tak rozumiane zestawienie wiary i ciągłego podejmowania wysiłku przemiany siebie sprawia, że w naszym życiu dzieją się cuda – i to jakże często inne, niż oczekujemy... Ale są to jednak Boże cuda... W takim świetle jak najbardziej można twierdzić, że każde sakramentalne małżeństwo jest do uratowania, bo każdy może się nawrócić i podjąć współpracę z Panem Jezusem, który jest obecny w sakramencie małżeństwa. Trzeba tylko ciągle szukać... I w tym poszukiwaniu widzę, jak bardzo potrzebują małżonkowie nas, kapłanów, do tego, abyśmy im towarzyszyli w ich drodze powołania, tak, jak oni towarzyszą nam.

Mój proces sądowy trwał dokładnie dwa i pół roku i skończył się na trzynastej rozprawie. Bywało, że zasiadając w ławie przed sądem czułam się jak zatwardziały przestępca recydywista. Ostatnia rozprawa trwała prawie sześć godzin z przerwami. Byłam sama, ale w Bożych rękach. A nie ma lepszego miejsca do odnalezienia się niż być w Jego rękach. Chciałam dać jakieś maleńkie choćby świadectwo w tej jaskini lwów. Moja deklaracja, że kocham męża wywołała komentarze niedowierzania. Powiedziałam, że rozumiem miłość jako pragnienie dobra dla drugiej osoby i poczucie odpowiedzialności za nią. Wyjaśniłam

jak rozumiem separację, o którą wносиłam w miejsce rozwodu – jest to czasowe rozdzielenie małżonków, potrzebne im do pracy nad sobą.

Sąd cywilny uznał, że rozpad więzi jest trwały i całkowity, i ogłosił wyrok: rozwód z winy obustronnej. Nie opuszczałam gmachu z ciężkim sercem, bo dzięki duchowym ochraniaczom założonym przez Chrystusa Zbawiciela czułam się, jakbym wyszła czysta z kąpieli w bagnistej, pełnej mułu sadzawce. Gdybym miała taką szansę, chętnie odpowiedziałabym napastliwemu adwokatowi męża na pytanie, czy istnieje jakiś powód mojej niezgody na rozwód oprócz religijnego. Powiedziałabym:

– Czy to się da rozgraniczyć? Jeśli powiem, że Kocham męża, to jest powód ludzki czy religijny? A jeśli powiem, że Kocham go, bo Bóg daje miłość, która cierpliwa jest, nie szuka swego, nie pamięta złego i nigdy nie ustaje, to jest powód ludzki czy religijny? Dla mnie to cały czas ta sama spójna rzeczywistość.

Dwa lata później w nieformalnym związku męża pojawiło się dziecko, przyrodni brat moich córek i syna. Na szczęście nasze dzieci mają nadal kontakt ze swoim tatą, choć więzi są coraz słabsze, gdy rosną bez ojca na co dzień.

W moich duchowych obowiązkach żony niewiele to zmieniło – doszła jeszcze modlitwa o chrzest i szansę na życie w wierze dla tamtego malucha.

Noszę stale obrączkę. Czasami ktoś o nią pyta. W perspektywie – nie wiem, jak odległej – mam utratę naszego domu, ponieważ nie mogę uratować go w pojedynkę. Czeka mnie zatem niechciany proces podziału majątku. Mam skromną, ale stabilną pracę w szkole. To znaczy, że codziennie otoczona jestem najmilszymi istotami na świecie: dziećmi. Jeżdżę na kolejne rekolekcje i spotykam niezwykłych ludzi. Nie starcza mi doby, aby się za nich wszystkich pomodlić. Kiedy Mirka wstaje, by powiedzieć

dziś swoje spektakularne świadectwo o powrocie i nawróceniu męża, zadaje sobie pytanie:

– Czy oni mi uwierzą, że ja już przedtem byłam szczęśliwa?

Wtedy odpowiadam jej:

– Najwyżej odesłesz ich do mnie, aby uwierzyli.

Bo jestem szczęśliwa. Czasem o tym zapominam, gdy zmęczenie, problemy z dziećmi i z bytem materialnym, a zwłaszcza choroby średniej córki, wyjątkowo mocno dadzą się we znaki. Ale powierzyłam się Bogu i ufam Jego planom. Kocham moją wspólnotę i wiem, że jest ona Oblubienicą w oczach Pana. On mówi nam:

*Będiesz prześliczną koroną w rękach Pana,
królewskim diademem w dłoni twego Boga.
Nie będą więcej mówić o tobie „Porzucona”,
o krainie twej już nie powiedzą „Spustoszona”.
Raczej cię nazwą „Moje <w niej> upodobanie”,
a krainę twoją „Poślubiona”.
Albowiem spodobałaś się Panu i twoja kraina otrzyma męża.
Bo jak młodzieniec poślubia dziewicę,
tak twój Budowniczy ciebie poślubi,
i jak oblubieniec weseli się z oblubienicy,
tak Bóg twój tobą się rozraduje.*
(Iz 62,3-5)

Dlaczego zacytowałam świętego Augustyna w tytule ostatniego rozdziału? Ponieważ w okresie odchodzenia męża w siną dal i mojego nawracania się przeżywałam skrajne emocje. Nie dla wszystkich byłam wtedy wiarygodna. Ale w ciągu trzech ostatnich lat przeszłam przez różne obszary pustynne, wzgórze i doliny. I chcę zaświadczyć że: stanowczo wybieram Jezusa oraz stanowczo wybieram wierność małżeńską i charyzmat Sycharowski.

Jestem Mu bardzo wdzięczna, że powierzył mi zadanie i mogłam napisać tę opowieść, w której każde słowo jest prawdziwe, że i dla mnie w jakiś sposób spełniło się to, czego święta Urszula Ledóchowska pragnęła i co zapisała w liście: „Bądźmy niby pióro w Jego rękach, prosimy Go, by raczył nami kreślić tysiąc i tysiąc razy w sercach ludzkich słowa: Niech żyje Jezus! – a potem niech z nami zrobi, co Mu się podoba”.

Nie mam wpływu na męża i nie wiem, jak dalej rozegra się ta historia. To wie tylko Bóg. Jedno jest pewne: **ciąg dalszy nastąpi**, bo przecież wciąż jeszcze chodzimy po tej ziemi.

NIEZBĘDNIK SYCHAROWICZA

Wybór modlitw,
dla których WTM Sychar uzyskała imprimatur

Modlitwa o odrodzenie małżeństwa

Panie, przedstawiam Ci nasze małżeństwo – mojego męża (moją żonę) i mnie. Dziękuję, że nas połączyłeś, że podarowałeś nas sobie nawzajem i umocniłeś nasz związek swoim sakramentem. Panie, w tej chwili nasze małżeństwo nie jest takie, jakim Ty chciałbyś je widzieć. Potrzebuje uzdrowienia. Jednak dla Ciebie, który kochasz nas oboje, nie ma rzeczy niemożliwych. Dlatego proszę Cię:

- o dar szczerzej rozmowy,
- o „przemycie oczu”, abyśmy spojrzeli na siebie oczami Twojej miłości, która „nie pamięta złego” i „we wszystkim pokłada nadzieję”,
- o odkrycie – pośród mnóstwa różnic – tego dobra, które nas łączy, wokół którego można coś zbudować (zgodnie z radą Apostoła: zło dobrem zwyciężaj),
- o wyjaśnienie i wybaczenie dawnych urazów, o uzdrowienie ran i wszystkiego, co chore, o uwolnienie od nałogów i złych nawyków.

Niech w naszym małżeństwie wypełni się wola Twoja. Niech nasza relacja odrodzi się i ożywi, przynosząc owoce nam samym oraz wszystkim wokół. Ufam Tobie, Panie Jezu, i już teraz dziękuję

Ci za wszystko, co dla nas uczynisz. Uwielbiam Cię w sercu i błogosławię w całym moim życiu. Amen.

Święty Józefie, sprawiedliwy mężu i ojciec, który z takim oddaniem opiekowałeś się Jezusem i Maryją – wstaw się za nami. Zaopiekuj się naszym małżeństwem. Powierzam Ci również inne małżeństwa, szczególnie te, które przeżywają jakieś trudności. Proszę – módl się za nami wszystkimi! Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1243(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa o siedem darów Ducha Świętego

Duchu Święty, Ty nas uświęcasz, wspomagając w pracy nad sobą. Ty nas pocieszasz, wspierając, gdy jesteśmy słabi i bezradni. Proszę Cię o Twoje dary:

1. Proszę o dar mądrości, bym poznał i umiłował Prawdę wiekuistą, którą jesteś Ty, mój Boże.

2. Proszę o dar rozumu, abym, na ile mój umysł może pojąć, zrozumiał prawdy wiary.

3. Proszę o dar umiejętności, abym, patrząc na świat, dostrzegł w nim dzieło Twojej dobroci i mądrości, i abym nie łudził się, że rzeczy stworzone mogą zaspokoić wszystkie moje pragnienia.

4. Proszę o dar rady na chwile trudne, gdy nie będę wiedział, jak postąpić.

5. Proszę o dar męstwa na czas szczególnych trudności i pokus.

6. Proszę o dar pobożności, abym chętnie przebywał z Tobą w modlitwie, abym patrzył na ludzi jako na braci, a na Kościół jako na miejsce Twojego działania.

7. Na koniec proszę o dar bojaźni Bożej, bym lękał się grzechu, który obraża Ciebie, Boga po trzykroć Świętego. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1244(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa małżonków I

Boże, w majestacie nieskończony, który stworzyłeś nas na swoje podobieństwo, pomóż nam dostrzegać w sobie Twój obraz i szanować siebie. Miłości niepojęta, który w Synu swoim umiłowaliśmy nas do końca, wzmacniaj w nas miłość, ślubowaną przed Twoim ołtarzem, aby w nas nieustannie wzrastała, abyśmy miłując się wzajemnie, szukali Twojej woli na każdy dzień. Boże zawsze wierny swoim obietnicom, wieczny i niezmienny, wzmacniaj nasze słowo wierności małżeńskiej, aby nie zwyciężyła nas słabość, aby niebezpieczeństwa nas nie pokonały, ale by jaśniała wierność w naszym związku ku Twojej chwale i naszemu dobru. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1246(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa małżonków II

Panie, kochamy się i dlatego jesteśmy szczęśliwi tak, jak jesteśmy szczęśliwi kochając Ciebie. Nasza miłość czasami błądzi. Prosimy więc Cię o pomoc w dotrzymywaniu naszych zobowiązań uczciwości, wierności i wzajemnego odnajdywania siebie. Nie pozwól, aby nasze gesty miłości były wyrazem małostkowości czy egoizmu. Nie chroń nas przed trudną miłością, ale przestrzegaj kiedy wystawiamy na próbę Twoją cierpliwość. Tobie ofiarujemy nasz zapał, siłę naszej miłości, świadectwo naszego małżeńskiego powołania. Wyznajemy, że jesteśmy mocni naszą wiarą w Ciebie, który jesteś Miłością. We wszystkim Ty bądź naszym Ojcem i Ojcem naszych dzieci. Amen.

Matko Boża i Matko Nasza, chcemy żyć, wzorując się na Twoim całkowitym posłuszeństwie wobec woli Ojca, Tobie powierzamy naszą miłość; niech każdy jej gest będzie odbiciem wierności. Wyjednaj nam moc Ducha Świętego, kiedy poczujemy się zmęczeni i osłabieni. Bądź zawsze blisko nas, Matko! Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1247(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa w kryzysie małżeńskim

Ojciec nasz, zwracam się z pokorną i żarliwą prośbą do Ciebie. Tyś nas połączył nierozzerwalnie w sakramencie małżeństwa i chcesz, abyśmy temu związkowi zostali wierni aż do śmierci. Boże, pospiesz na pomoc sercu memu, uczynj je przez to cierpienie mniej samolubnym. Poznając coraz lepiej, jak trudny jest stan małżeński i jak niedoskonały(a) jeszcze jestem. Uczynj mnie wielkodusznym(ą), bym umiał(a) przebaczać. Daj mi cierpliwość podobną do tej, którą Ty mi okazujesz. Spraw, by w codziennych trudnościach i doświadczeniach moja miłość wzmacniała się i dojrzewała, aż minie zły czas. Panie, chcę zostać wiernym(ą) do końca. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1248(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa za małżonka, który mnie opuścił

Dziękuję Ci Panie Jezu, że dałeś mi N za małżonkę(a). Byłem sam(a), a Tyś przywiódł ją (go) do mnie, ofiarowałeś mi jej (jego) miłość: bądź błogosławiony! My jednak staliśmy się niewierni wobec tego przymierza i odwróciliśmy się od siebie. Wierzę, że mimo separacji nadal istnieje nasza jedność; każdego dnia powtarzam TAK łasce sakramentu, który nas ze sobą łączy. Pojednaj nas Panie Jezu! Ofiaruję Ci całe cierpienie, które wypływa z tego doświadczenia, dla zbawienia naszego związku i wszystkich rozbitych małżeństw. Dziękuję Ci, Panie Jezu, za Twoje nieskończone miłosierdzie, za płomień Twojej Miłości. Bądź błogosławiony, Jezu. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1249(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa o łaskę wierności

Panie Boże, prosimy Cię o łaskę dochowania wierności słowu danemu w dniu naszego ślubu. Spraw, abyśmy w dniach pomyślności wspólnie Ci dziękowali, a w chwilach smutku razem dźwigali nasz krzyż. Niech Twoja wierność wobec człowieka będzie dla nas wzorem i źródłem mocy, a zarazem szkołą naszej wzajemnej wierności. Daj nam, byśmy przez nierozzerwalną więź, która jednoczy nasze serca, dawali świadectwo Twojej bezgranicznej miłości, a po wspólnie przebytej drodze naszego życia osiągnęli koronę wiecznej chwały, przyobiecanej tym, którzy dochowują wierności aż do końca. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1250(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa o pogodę ducha

O Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego.

Pozwól mi, cały ten dzień przeżyć w świadomości upływającego czasu. Pozwól mi rozkoszować się chwilą w świadomości jej ograniczenia. Pozwól mi zaakceptować konieczność, jako drogę do wewnętrznego pokoju. Pozwól mi, za przykładem Jezusa, przyjąć także ten grzeszny świat, jakim jest, a nie, jakim ja chciałbym, aby był. Pozwól mi zaufać, że będzie dobrze, jeśli zdam się na Ciebie i Twoją wolę.

Tak będę mógł być szczęśliwym w tym życiu i osiągnąć pełnię szczęścia z Tobą w życiu wiecznym. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1241(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa do Świętego Michała Archanioła

Święty Michale Archaniele broń nas w walce. Przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź nam obroną. Niech mu rozkaże Bóg, pokornie prosimy, a Ty, Księżę wojska niebieskiego, szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz krążą po świecie, mocą Bożą strąć do piekła. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1245(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Modlitwa do Matki Bożej Gidelskiej, patronki Ruchu Wiernych Serc

Matko Boża Gidelska, Nasza Patronko, dziękujemy Ci, że polecasz nas Najświętszemu Sercu Pana Jezusa. Chroniąc nas, Matko spraw, abyśmy nieustannie uczyli się czystości, pokory, wierności oraz uczciwości małżeńskiej, zawierając wszystkie nasze sprawy niezgłębionej miłości Bożej. Niech przez Twoje wstawiennictwo Bóg Ojciec dokonuje wielkich cudów w naszych sercach. Przez Chrystusa, Pana Naszego. Amen.

Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 02.09.2010, nr 1688(K)2010 (do prywatnego odmawiania)

Akt zawierzenia (w stanie łaski uświęcającej) przy wstąpieniu do Ruchu Wiernych Serc odnawiany w codziennej modlitwie Akt poświęcenia się Niepokalanemu Sercu Maryi

Obieram Cię dziś, Maryjo, w obliczu całego dworu niebieskiego, na swoją Matkę i Panią. Z całym oddaniem i miłością powierzam i poświęcam Tobie swoje ciało i swoją duszę, wszystkie swoje dobra wewnętrzne i zewnętrzne, a także zasługi swoich dobrych uczynków przeszłych, terażniejszych i przyszłych. Tobie zostawiam całkowite i pełne prawo dysponowania mną jak niewolnikiem oraz

wszystkim, co do mnie należy, bez zastrzeżeń, według Twojego upodobania, na większą chwałę Bożą teraz i na wieki. Amen.

Św. Ludwik Maria Grignion de Montfort

*Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 28.06.2010, nr 1242(K)2010
(do prywatnego odmawiania)*

Modlitwa zawierzenia Panu Jezusowi i Matce Bożej

Panie Jezu, oddaję Ci nasze małżeństwo.

Dziękuję, że nas połączyłeś, że podarowałeś nas sobie nawzajem i umocniłeś nasz związek sakramentem małżeństwa, jednak w tej chwili nasze małżeństwo potrzebuje uzdrowienia.

Oddaję Ci, Panie, swoją duszę i ciało, swoją pamięć i rozum. Proszę, naucz mnie kochać żonę (męża) i dzieci miłością, która pochodzi od Ciebie.

Jezu Chryste, daj nam obojgu serca czyste na wzór Twojego.

Pozwól mi dochować wierności w trudnej sytuacji i daj mi łaskę, abym mógł (mogła) przebaczyć swojej żonie (swojemu mężowi) wszystkie zranienia i krzywdy. Abym nie tracił(a) nadziei na pojednanie (w przypadku separacji, rozwodu).

Oczyszczaj moje myśli, abym trwał(a) w wierności i miłości. Niech mi w tym pomaga częste uczestnictwo we Mszy świętej i przyjmowanie Twego Najświętszego Ciała oraz codzienny różaniec i koronka do Bożego miłosierdzia, a każdy cięższy upadek niech będzie zaraz wyznawany w sakramencie pojednania. Daj, bym stale umacniał(a) się łaską sakramentu małżeństwa. Panie Jezu, bądź jedynym Panem mojego życia. Ucz mnie zdobywać umiejętność kontrolowania moich pobudzeń seksualnych i emocji, aby moja miłość do żony (męża) była trwała i wierna aż do śmierci, jak w dniu zaślubin.

Oczyszczaj moją miłość z wszelkiego egoizmu, bym zawsze umiał(a) przebaczać, nie chował(a) uraz i umiał(a) modlić się za siebie. Postanawiam nigdy nie czytać, nie kupować i nie oglądać

czasopism, programów ani filmów o treściach pornograficznych, aby zachować czystość serca.

Proszę Cię, Panie, o pomoc, abym unikał(a) wszystkiego, co uzależnia, zniewala i zachęca do złego. Amen.

Maryjo, Matko moja, prowadź mnie drogami wiary do jedy-
nego źródła miłości w naszym małżeństwie – do Jezusa, abym
zawsze Mu ufał(a) i wierzył(a). Amen.

*Za zgodą Kurii Biskupiej Warszawsko-Praskiej z dnia 02.09.2010, nr 1687(K)2010
(do prywatnego odmawiania)*

Lista lektur polecanych w kryzysie małżeńskim

1. James C. Dobson: *Miłość potrzebuje stanowczości*
2. John Eldredge: *Miłość i wojna. Jak znaleźć małżeństwo, o jakim marzymy*
3. John Eldredge: *Dziki serce. Tęsknoty męskiej duszy*
4. John i Stasi Eldredge: *Urzekająca. Odkrywanie tajemnicy kobiecej duszy*
5. Emmerson Eggerich: *Miłość i szacunek*
6. Emmerson Eggerich: *Język miłości i szacunku*
7. Thierry Maucour: *Świadectwo rozwiedzionego mężczyzny*
8. Mieczysław Guzewicz: *Małżeństwo – tajemnica wielka*
9. Jacek Pulikowski: *Warto naprawić małżeństwo*
10. Bernard Dubois: *Uzdrowienie relacji w rodzinie*
11. Stephen i Alex Kendrick: *Miej odwagę kochać*
12. Gary Chapman: *Małżeństwo w separacji*
13. Karol Wojtyła: *Miłość i odpowiedzialność*
14. Clendenen Avis, Martin Troy: *Uzdrawiająca siła przebaczenia*
15. ks. Marek Dziewiecki: *Miłość przemienia. Przewyciężanie trudności małżeńskich i rodzinnych*
16. ks. Marek Dziewiecki, *Ona, on i miłość*
17. ks. Marek Dziewiecki, *Komunikowanie miłości w małżeństwie i rodzinie*
18. Briega McKenna: *Cuda się zdarzają*
19. Robert Hemfelt, Paul Meier, Frank Minirth: *Miłość to wybór. O terapii współuzależnień*
20. o. Jacek Salij: *Szukającym drogi*
21. Gabriela Pindur: *Nowenna o przemianę i nawrócenie współmałżonka*

Lista 48 ognisk wspólnoty Sychar (stan z kwietnia 2017 r.)

Białystok – www.bialystok.sychar.org
Biała Podlaska – www.bialapodlaska.sychar.org
Bełchatów – www.belchatow.sychar.org
Bonn (Niemcy) – www.niemcy.sychar.org
Bydgoszcz – www.bydgoszcz.sychar.org
Chicago (USA) – www.usa.sychar.org
Gdańsk – www.gdansk.sychar.org
Gdynia – www.gdynia.sychar.org
Gołdap – www.goldap.sychar.org
Gorzów Wlkp. – www.gorzowwlpk.sychar.org
Hodyszewo – www.hodyszewo.sychar.org
Kartuzy – www.kartuzy.sychar.org
Katowice – www.katowice.sychar.org
Kędzierzyn-Koźle – www.kedzierzynkozle.sychar.org
Kielce – www.kielce.sychar.org
Kraków – www.krakow.sychar.org
Koszalin – www.koszalin.sychar.org
Kluczbork – www.kluczbork.sychar.org
Legnica – www.legnica.sychar.org
Leszczyny – www.leszczyny.sychar.org
Lublin – www.lublin.sychar.org
Łomża – www.lomza.sychar.org
Łódź – www.lodz.sychar.org
Łuków – www.lukow.sychar.org
Marki k. Warszawy – www.marki.sychar.org
Opole – www.opole.sychar.org
Ostrów Mazowiecka – www.ostrowmazowiecka.sychar.org
Piaseczno – www.piaseczno.sychar.org
Płock – www.plock.sychar.org

Poznań – www.poznan.sychar.org
Puławy – www.pulawy.sychar.org
Przasnysz – www.przasnysz.sychar.org
Radom – www.radom.sychar.org
Radomsko – www.radomsko.sychar.org
Rychwałd – www.rychwald.sychar.org
Rydułtowy – www.rydultowy.sychar.org
Rzeszów – www.rzeszow.sychar.org
Siemiatycze – www.siemiatycze.sychar.org
Skierniewice – www.skierniewice.sychar.org
Strumień – www.strumien.sychar.org
Szczecin – www.szczecin.sychar.org
Szydłowiec – www.szydlowiec.sychar.org
Tarnów – www.tarnow.sychar.org
Toruń - www.torun.sychar.org
Tarnowskie Góry - www.tarnowskiegory.sychar.org
Wałbrzych – www.walbrzych.sychar.org
Warszawa-Skaryszewska – www.warszawa.sychar.org
Warszawa-Ursynów – www.warszawa.sychar.org
Włocławek – www.wloclawek.sychar.org
Wrocław – www.wroclaw.sychar.org
Zambrów – www.zambrow.sychar.org
Zabrze – www.zabrze.sychar.org
Zielona Góra – www.zielonagora.sychar.org
Żory – www.zory.sychar.org

Strony wspólnoty

www.sychar.org

– strona główna

www.kryzys.org

– forum pomocy

www.rekolekcje.sychar.org

– strona rekolekcji

www.12krokov.sychar.org

– strona warsztatów „Wreszcie żyć – 12 kroków ku pełni życia”

www.rws.sychar.org

– strona Ruchu Wiernych Serc (RWS)

www.galeria.sychar.org

– błogosławieństwa, sprawozdania, zdjęcia etc.

www.kronika.sychar.org

– ważniejsze wydarzenia z życia wspólnoty

www.skype.sychar.org

– skype’owa grupa modlitewna, mityngi 12-krokowe

Podziękowania

Każdą chwilę życia i każdą literkę tego opracowania zawdzięczam Bogu Najwyższemu i Jemu wdzięczność i chwała. Działa On poprzez ludzi, których sobie wybiera, dlatego pragnę szczególnie podziękować:

Mojemu Mężowi za minione dziesięć lat pracy na rzecz naszej rodziny i za wspaniałe dzieci, które razem sprowadziliśmy na ten świat.

Moim Rodzicom za nieustający przykład ich małżeńskiej miłości w trzydziestą siódmą rocznicę ślubu.

Andrzejowi Szczepaniakowi oraz wszystkim liderom, moderatorom i duszpasterzom wspólnoty za to, że jest Sychar!

Księdzu Pawłowi Dubowikowi za cudowną opiekę duchową roz-taczaną nad nami w skali całej Polski, księdzu Czesławowi Liczbańskiemu za opiekę i zaangażowanie w Poznaniu.

Moim Przyjaciółkom: Asi, Agnieszce i Mirce, za to, że są blisko, nawet kiedy dzielą nas całe kilometry.

Pani Barbarze Tabace za pierwsze światełko wniesione w ciemny korytarz.

Pani Beacie Kolskiej-Lach za wszystkie światełka nadziei zapalane zawiedzionym przez opiekunów dzieciom przez tyle lat pracy

Księdzu Markowi Dziewieckiemu za cenną pomoc merytoryczną.

Annie Ilskiej za bezcenne rozmowy.

Moim Córkom i Synowi za każdy poranek i wieczór, które napełniają stale nową treścią.

Zapraszamy małżonków sakramentalnych do
Ruchu Wiernych Serc (RWS)
www.rws.sychar.org



Uczestnikami ruchu RWS są małżonkowie, którzy chcą być wierni Bogu i sakramentalnemu współmałżonkowi – wierni Kościołowi.

Ruch Wiernych Serc (RWS) powstał w Dniu Najświętszego Serca Pana Jezusa – 30 maja 2008 roku, w oparciu o Wspólnotę Trudnych Małżeństw SYCHAR. Ruch Wiernych Serc jest jednym z dzieł Wspólnoty, która przyjmuje zgłoszenia nowych członków, prowadzi Księgę Wiernych Serc oraz publikuje świadectwa i artykuły zachęcające do trwania w wierności i przezwycięzania kryzysów zgodnie z zamysłem Bożym. RWS powstał we współpracy z dwumiesięcznikiem „Miłujcie się!”.

Dla kogo jest RWS?

Ruch Wiernych Serc jest dla małżonków sakramentalnych przeżywających kryzys w małżeństwie na każdym jego etapie, gdy:

- są razem,
- są w separacji,
- są po rozwodzie,
- współmałżonek po rozwodzie wchodzi w nowy związek (także w sytuacji, gdy w tym drugim niesakramentalnym związku pojawiają się dzieci).

Dla wszystkich małżonków, którzy poważnie traktują sakrament małżeństwa i przysięgę małżeńską złożoną w dniu ślubu i umacniając się Bożą łaską płynącą z sakramentu małżeństwa decydują się żyć w miłości i wierności do współmałżonka aż do śmierci.

Jak wstąpić do RWS?

Zgłoszenia do RWS przyjmowane są za pomocą formularza elektronicznego na stronie – www.rws.sychar.org.

1. Osoby zdecydowane wstąpić do RWS powinny podpisać się odpowiedzialnie pod następującą deklaracją:

Deklaracja wierności – przynależności do Ruchu Wiernych Serc

Jako członek Ruchu Wiernych Serc podpisuję się pod następującym zobowiązaniem:

Kocham (przynajmniej aktem woli) mojego męża/moją żonę. Uznaję małżeństwo sakramentalne jako nierozzerwalne przymierze i decyduję się bezwarunkowo swoją postawą pragnąć i świadczyć dobro dla mojego męża/mojej żony.

W głębi serca jestem przekonany/na o ważności swojego sakramentalnego małżeństwa i pragnę wytrwać w wierności, wywiązując się z zobowiązań złożonych w przysiędze małżeńskiej.

Ufam, że tylko z Bożą pomocą przy aktywnej współpracy z łaską wpływającą z mocy sakramentu małżeństwa (przymierza z Bogiem), zarówno moje jak i inne sakramentalne małżeństwa mają szansę być uzdrowione, a w przypadku zdrowych związków – wzajemne relacje małżeńskie pogłębiane i udoskonalane.

W związku z powyższym, deklaruję, że:

- W każdej sytuacji jestem otwarty na pojednanie ze współmałżonkiem i jego powrót (w przypadku opuszczenia), przebacząc mu aktem woli i prosząc o przebaczenie.
- Nie jestem zainteresowany/a występowaniem do Sądu Cywilnego z pozwem o rozwód. W sytuacji, kiedy zostaną wezwany przed Sąd Cywilny bądź Sąd Biskupi z wniosku współmałżonka, stawię się i będę świadczył o prawdzie, o swojej miłości i wierności do współmałżonka.
- W sytuacji, gdyby współmałżonek sam wystąpił do Sądu Cywilnego z pozwem o rozwód, nie wyrażę zgody na rozwód, a jedynie w skrajnych uzasadnionych przypadkach mógłbym/mogłabym wystąpić, bądź wyrazić zgodę na separację.
- Nie będę używał/a zwrotów „mój były mąż”, „moja była żona”, które zakłamyją prawdę o małżeństwie sakramentalnym i mogą ranić innych małżonków, w tym przede wszystkim samego Pana Jezusa.
- Będę się wyrażał/a z szacunkiem i życzliwością o moim sakramentalnym współmałżonku.

Ponadto zobowiązuję się:

- Nosić na palcu poświęconą ślubną obrączkę.
- Żyć w łasce uświęcającej, rozwijając żywą relację z Panem Jezusem.
- Często przystępować do Komunii Świętej i regularnie czytać Biblię.
- Modlić się codziennie wzbogacając swoją modlitwę np. takimi modlitwami jak: „Modlitwą o odrodzenie małżeństwa” – str. 166 (dla szczęśliwych małżonków, bądź po kryzysie np. „Modlitwą Małżonków” – str. 168), „Modlitwą o siedem darów Ducha Św.” – str. 167 oraz „Aktem poświęcenia się Niepokalanemu sercu Maryi” – str. 171.
- Powierzać siebie i bliskich w „Koronce do Bożego Miłosierdzia” i w „Różańcu Świętym” (w miarę możliwości – również codziennie).

Mam świadomość, że w każdej chwili mogę wystąpić z Ruchu Wiernych Serc, gdyby okazało się, że w jakimś czasie nie mogę się wywiązać z któregoś punktu tej deklaracji.

2. Wstępujący do Ruchu Wiernych Serc w dniu, w którym podpisuje powyższą deklarację powinien:

- Być w stanie łaski uświęcającej.
- Przyjąć Komunię Św.
- Całym sercem zawierzyć Jezusowi i wyznać ustami wierność Jemu, odczytując akt zawierzenia („Akt poświęcenia się Niepokalanemu Sercu Maryi” – str. 171 i „Modlitwę zawierzenia Panu Jezusowi i Matce Bożej” – str. 172) oraz podjąć wymienione w p. 1. zobowiązania, jednocześnie korzystając z wzajemnego duchowego wsparcia.

3. Członkowie RWS są wpisywani do Księgi Wiernych Serc i mogą otrzymać specjalne błogosławieństwo – www.rws.sychar.org/blogoslawienstwo .

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne.	7
Wprowadzenie.	13
Rozdział I	
<i>Bo dary łaski i wezwanie Boże są nieodwołalne.</i>	15
Rozdział II	
<i>Dlatego zamknę jej drogę cierniami i murem otoczę tak, że nie znajdzie swych ścieżek.</i>	22
Rozdział III	
<i>Dlatego chcę ją przynęcić, na pustynię ją wyprowadzić i mówić jej do serca.</i>	31
Rozdział IV	
<i>Przybył więc do miasteczka samarytańskiego, zwanego Sychar. Było tam źródło Jakuba.</i>	37
Rozdział V	
<i>Oto co do mnie należy – zachowywać Twe postanowienia.</i>	49
Rozdział VI	
<i>Będzie to dla was sposobność do składania świadectwa.</i>	62
Rozdział VII	
<i>Trzymajmy się niewzruszenie nadziei, którą wyznajemy, bo godny jest zaufania Ten, który dał obietnicę.</i>	90
Rozdział VIII	
<i>Strzeżcie się więc w duchu waszym: wobec żony młodości twojej nie postępuj zdradliwie!.</i>	101
Rozdział IX	
<i>Niech miłość i wierność cię strzeże; przymocuj je sobie do szyi, na tablicy serca je zapisz.</i>	114
Rozdział X	
<i>I tak ścieżki mieszkańców ziemi stały się proste, a ludzie poznali, co Tobie przyjemne, i wybawiła ich Mądrość.</i>	129

Rozdział XI	
„Wreszcie żyć!	141
Rozdział XII	
<i>Cokolwiek czyniliście jednemu z tych najmniejszych moich braci, mnie uczyniliście.</i>	149
Rozdział XIII	
„ <i>Nie jakimś mglistym uczuciem, ale stanowczym wyborem kocham Ciebie, Panie</i> ”.	159
Niezbędnik Sycharowicza	
Wybór modlitw	
<i>Modlitwa o odrodzenie małżeństwa.</i>	166
<i>Modlitwa o siedem darów Ducha Świętego.</i>	167
<i>Modlitwa małżonków I.</i>	168
<i>Modlitwa małżonków II.</i>	168
<i>Modlitwa w kryzysie małżeńskim.</i>	169
<i>Modlitwa za małżonka, który mnie opuścił.</i>	169
<i>Modlitwa o łaskę wierności.</i>	170
<i>Modlitwa o pogodę ducha.</i>	170
<i>Modlitwa do Świętego Michała Archanioła.</i>	171
<i>Modlitwa do Matki Bożej Gidelskiej, patronki Ruchu Wiernych Serc.</i>	171
<i>Akt zawierzenia (w stanie łaski uświęcającej) przy wstąpieniu do Ruchu Wiernych Serc odnawiany w codziennej modlitwie Akt poświęcenia się Niepokalanemu Sercu Maryi.</i>	171
<i>Modlitwa zawierzenia Panu Jezusowi i Matce Bożej.</i>	172
Lista lektur polecanych w kryzysie małżeńskim.	174
Lista istniejących obecnie ognisk wspólnoty Sychar.	175
Strony wspólnoty.	177
Podziękowania.	178

MARZENA ZIĘBA

SYCHAR
ROZWAŻANIA
RÓŻAŃCOWE

Zróbcie wszystko
cokolwiek wam powie Jezus



SYCHAR ZNOWU RAZEM

Jak wrócić do sakramentalnego małżonka,
wychowując nieślubne dzieci?

ŚWIADECTWA



MARZENA ZIĘBA
ROBERT ŁAJEWSKI

SYCHAR

DROGA KRZYŻOWA MAŁŻONKÓW W KRYZYSIE

Dwoje ludzi jedna Droga Krzyżowa





o. Augustyn Pelanowski OSPPE

Życie udane czy udawane?

Bez względu na ciemności twojego życia, szukasz światła w wyjaśnieniu, które daje Biblia. Szukasz siły, którą daje Chrystus, bo wierzysz, że skoro Jego Ciało zostało podniesione z ruiny Krzyża – a ktoś by chciał tak umierać! – to jeśli ty masz udział w Jego Ciele przez Jego Słowo i Jego sakramenty, zmartwychwstaniesz, podniesiesz się z ruiny swojego życia. A nawet twoje życie będzie jeszcze wspanialsze.

format: 140/200, stron 160, cena: 27 zł



o. Augustyn Pelanowski OSPPE

Ostatnie rekolekcje

Książka zawiera rekolekcje wygłoszone w Wielkim Tygodniu. Tytuł dotyczy ostatnich rekolekcji, jakie sam Jezus wygłosił do uczniów swoim życiem – poprzez wydarzenia paschalne: od Ostatniej Wieczerzy, poprzez mękę i śmierć na Krzyżu do Zmartwychwstania. W czasie wielkiego cierpienia Jezus pozostał osamotniony. Został opuszczony przez uczniów już w Getsemani, gdy oni spali. Jak mówi o. Pelanowski: „Śpiąc, jesteśmy jak ślepi. Nie widzimy rzeczywistości, lecz miewamy sny zwodnicze”. Jezus kocha nas i cierpi dla nas, abyśmy obudzili się z tego snu.

format: 140/200, stron 128, cena: 25 zł



o. Augustyn Pelanowski OSPPE

Od Ducha do ucha

Kiedy wschodzi nad nami słońce Bożej sprawiedliwości i Bożego miłosierdzia, w jego blasku inaczej widzimy nasze życie – i to nas zmienia. „Od Ducha do ucha” to rekolekcje radiowe osnute wokół fragmentów Pisma Świętego mówiących o miłosierdziu i miłości Boga do człowieka. Książka niesie nadzieję dla każdego, kto staje twarzą w twarz ze swoją słabością i swoim grzechem. Autor stawia nam też swoiste wymaganie: *Jesteśmy powołani do miłosierdzia. A miłosierdzie jest sztuką. O jedno cię proszę. Nie uciekaj w noc, nie chowaj się w swoją ciemność.*

format: 140/200, stron 310, cena: 35 zł



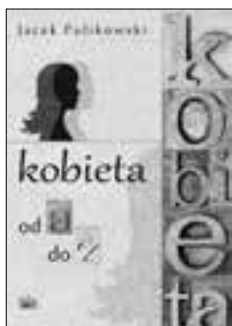
Jacek Pulikowski

Gdzie ci mężczyźni?

Książka dla każdego, kto chce się dowiedzieć:

- dlaczego mężczyźni trudno zawołać na obiad,
- kto w małżeństwie powinien być ekspertem od seksu,
- po co mąż ma mówić żonie, że ją kocha,
- dlaczego nie oplaca się podnosić głosu na kobietę,
- gdzie można znaleźć przepis na 100% męczyźnę,
- dlaczego nie warto bawić się w Casanovę,
- kto jest w stanie rzucić palenie dla dziewczyny,
- dlaczego mężczyzna musi mieć wszystko napisane na kartce,
- jak kapłan powinien rozmawiać z kobietami.

format: 125/200, stron 152, cena: 27 zł



Jacek Pulikowski

Kobieta od A do Z

akceptacja adoracja antykoncepcja • babcia bliskość ból • czystość
czułość córka cykl hormonalny • delikatność dzieci dobro dotyk
• empatia emocje entuzjazm • fanaberie feminizm fryzura • godność
granice gender • harmonia higiena humor • ideał intymność intuicja
• jedność jedzenie • kobieta krzyk kwiaty • labilność psychiczna
lęk lojalność • łagodność łaszki łóżko • małżeństwo matka mąż
miłość • nadopiekuńczość nadzieja niezależność • obgadywanie
oddanie opiekuńczość • pierścionek płacz poświęcenie przemoc
• rada rodzina rozum • seksualność serce siła syn • teściowa tradycja
troskliwość • uczucia ukojenie uwaga • wiara wrażliwość wybaczenie
• zakochanie zaufanie zazdrość • żona życie życzliwość

format: 125/200, stron 123, cena: 25 zł



ks. Andrzej Muszala, Béatrice Dufour

Jak zacząć modlić się w ciszy

Na modlitwie wewnętrznej wchodzisz w przestrzeń między Ojcem, Synem i Duchem Świętym: jesteś otoczony Bogiem z każdej strony. „Bóg nade mną, Bóg pode mną, Bóg obok mnie, Bóg przede mną, Bóg za mną, Bóg we mnie” – mówił św. Patryk.

Według Świętej Teresy z Ávili modlitwa to wzajemne bycie-z Bogiem, bycie-dla Niego. Owszem, czasem takie przebywanie wyraża się w słowach, podobnie jak mąż i żona rozmawiają ze sobą o różnych sprawach lub szepczą sobie do ucha o wzajemnej miłości. Równocześnie małżonkowie wiedzą, że istotą ich relacji jest po prostu obecność jednego przy drugim; to, że to są-dla siebie i są-ze sobą.

Kiedy modlisz się w ciszy, w niebie także panuje cisza. Bóg wpada w zachwyt, widząc, że oddajesz Mu się całkowicie. Jakby zaniemówił...

format: 125/200, stron 80, cena: 19 zł

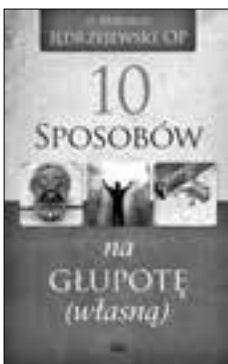


Jacek Pulikowski

Mężczyzna od A do Z

aborcja agresja alkoholizm ambicja antykoncepcja • blizna bezpieczeństwo bogactwo braterstwo • cielesność cisza córka cynizm • decyzje duma dziadek działanie • elegancja etos mężczyzny • fachowość fantazja fizyczna sprawność • gniew górowanie gry • hipochondryk honor humor • innowacje intelekt introwertyk • jedynek jedzenie • kibic koledzy koncentracja • lenistwo lewizna logika • ład łowca łyzy • małżeństwo mądrość mąż miłość mycie • nadzieja narcyzm narzeczeństwo • odpowiedzialność ojciec • praca prezerwatywa przywództwo piwo • racjonalizm rodzina rozmowa rozwód • seks singiel syn sport stanowisko • testosteron teściowa • umowa uznanie • wiara władza wolny związek współzycie • XY • zaradność zasady zdrada • żargon żona

format: 125/200, stron 130, cena: 25 zł



o. Wojciech Jędrzejewski OP

10 sposobów na głupotę (własną)

Istnieje tylko jeden człowiek na świecie, którego możesz zmienić na lepsze – ty sam! – pisze autor. Książka dla każdego, kto chce podjąć pracę nad sobą. Opisuje 10 zaczerpniętych u źródeł Pisma Świętego lekarstw na głupotę (własną): Zajmij się sobą, Naucz się ufać, Nie obwiniaj, Wyznawaj przewinienia, Kochaj Mądrość, Nie potępiaj innych...

format: 120/170, stron 80, cena: 21 zł



Jacek Pulikowski

Jak budować więzi w rodzinie?

Autor pisze: o wolności, miłości i wierności, które są naszym przeznaczeniem i źródłem najpełniejszego szczęścia; o tragicznych skutkach użytkowania pornografii; o tym, w jaki sposób rozmawiać ze sobą, abyśmy czuli się sobie bliżsi; o utopijnych próbach budowania domu na ruinach poprzedniego; o mocy wspólnej modlitwy w małżeństwie; o 5 obszarach, na których każdy małżonek (nawet w pojedynkę) może inwestować w dobro swojego małżeństwa; o pozornym traceniu czasu na budowaniu więzi z dzieckiem; o roli teściów w życiu młodego małżeństwa; o konieczności konstruowania planu ojcostwa, tak jak kariery.

I także o tym, że człowiek ma przymioty stwórcze, ma moc przemiany własnej osoby i swojego życia.

format: 125/200, stron 106, cena: 22 zł



ks. Stanisław Orzechowski

Najkrócej o... zwyciężaniu kryzysów małżeńskich

ORZECH – jeden z najbardziej znanych duszpasterzy wrocławskich – dzieli się refleksjami na temat zwyciężania kryzysów małżeńskich. W sposób bezpośredni autor mówi o tym, że kryzysy w małżeństwie i rodzinie są zjawiskiem naturalnym, pojawiają się nawet w najlepszych związkach i aby małżeństwo przetrwało, potrzebna jest świadomość, że każdy kryzys można przezwyciężyć.

W rozważaniach znajdziemy też, poparte osobistym doświadczeniem towarzyszenia wielu rodzinom, przekonania dotyczące małżeńskiej i rodzinnej modlitwy oraz wagi sakramentu pojednania.

format: 125/200, stron 114, cena: 21 zł



ks. Stanisław Orzechowski

Najkrócej o... miłości w małżeństwie

ORZECH – jeden z najbardziej znanych duszpasterzy wrocławskich – dzieli się refleksjami na temat miłości między małżonkami. Przemyslenia wypływają z doświadczenia miłości w rodzinnym domu i z towarzyszenia od 45 lat studentom w duszpasterstwie akademickim „Wawrzyny”. W sposób bezpośredni, bez zacierania prawdy, autor mówi o zakochaniu, o wzajemności w miłości, o darze rodzicielstwa oraz o miłości bezinteresownej, ofiarnej – takiej, jaką ukochał nas Bóg.

format: 125/200, stron 78, cena: 19 zł



Anna Jedna

Miłość nie ma wcale końca!

Jak wygląda rozstanie mamy i taty widziane oczyma dziecka? Książka jest opowieścią o wydarzeniach i towarzyszących im zachowaniach i emocjach dzieci, o tym, jak to jest, gdy dom bez taty boli... Autorka prowadzi ognisko Wspólnoty Trudnych Małżeństw Sychar, jest mamą samotnie wychowującą trójkę dzieci.

format: 140/200, stron 88, cena: 19 zł

WWW.WYDAWNICTWOFIDES.PL



Wydawnictwo Fides, ul. Koziennicka 17, 30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

**Wspólnota
Trudnych
Małżeństw
Sychar**



SYCHAR

to miasteczko położone w Samarii, obok którego przy studni Jakuba miała miejsce rozmowa Chrystusa z Samarytanką. Pan Jezus powiedział Samarytance prawdę o jej życiu i wskazał na Siebie jako źródło wody żywej.

*Wspólnota Trudnych
Małżeństw
Sychar wspiera
sakramentalnych
małżonków, których
małżeństwa przeżywają
kryzys. Opiera się
na prawdzie o mocy
sakramentu, który
jest darem od Boga,
a On – Bóg daje
siłę na odrodzenie
wspólnoty małżeńskiej
w każdej sytuacji,
nawet, po ludzku
patrzac, beznadziejnej.*

www.sychar.org

ISBN 978-83-61860-38-9



CENA: 25 ZŁ

WydawnictwoFides.pl

Anna Jedna jest sakramentalną żoną, matką trojga dzieci, nauczycielką, prowadzi Ognisko Wspólnoty Trudnych Małżeństw SYCHAR w Poznaniu. Będąc w trudnej kryzysowej sytuacji małżeńskiej, dzieli się doświadczeniem mocy Bożej miłości i nadziei na uzdrowienie swojego małżeństwa. Daje także świadectwo nawrócenia – kształtowania w sobie postaw wiernej miłości, przebaczenia i osobistej wolności wynikającej z aktywnej współpracy z Jezusem-Bogiem, które pozwalają z nadzieją oczekiwać na powrót współmałżonka.

Książka „Ile jest warta twoja obrączka?” Anny zachwycą... prawdą. W niej wszystko jest prawdziwe, bo wydarzyło się (i nadal się dzieje) naprawdę. Prawdziwe są opisywane sytuacje, prawdziwe reakcje ludzi, prawdziwe ich przemiany, prawdziwe i głębokie wybaczenie małżonkowi, który odszedł, prawdziwe czekanie – choćby na najmniej prawdopodobny – powrót współmałżonka, prawdziwe i szczere dostrzeżenie swego udziału w tragedii rozbicia rodziny, wreszcie prawdziwe nawrócenie i zaufanie Panu Bogu, że czemuś dobremu ma to wszystko służyć.

Książka mówi o nienaruszalnej (nawet odejściem współmałżonka) świętości sakramentalnego małżeństwa, o którego naprawę trzeba walczyć do końca życia, bez względu na nawet beznadziejne (patrzac po ludzku) okoliczności.

Powinni ją przeczytać wszyscy małżonkowie przeżywający kryzys małżeński, aby nabrać poczucia sensu walki o małżeństwo i ducha niezłomnej troski o przywrócenie jedności małżeńskiej.

Książkę powinny przeczytać też małżeństwa mające się dobrze oraz wszyscy przygotowujący się do zawarcia sakramentalnego związku małżeńskiego, by docenić zawczasu („przed szkodą”) rangę świętości, sakramentalności, wierności i nierozzerwalności małżeństwa.

Książkę tę powinni przeczytać również kapłani pracujący z małżeństwami i spowiednicy, by nigdy względy ludzkie nie przesłoniły im poczucia głębokiego sensu walki o ratowanie każdego małżeństwa sakramentalnego.

W dobie kryzysu małżeństwa, zwłaszcza sakramentalnego, książkę tę powinni przeczytać wszyscy ludzie wierzący, by w ich myśleniu, wyobrażeniach i tęsknotach małżeństwo było jedno, nierozzerwalne, święte, sakramentalne, wierne, wyłączne i dożgonne.

Jacek Pulikowski